

DLP 1172 ES-3-79006306

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 10/373

1978



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

St. SWIANIEWICZ :

400-LECIE UNIWERSYTETU WILEŃSKIEGO

Wł. MART :

o ESEJACH JULIUSZA MIEROSZEWSKIEGO

S. FEDOTOW : **POLITYKA KIEROWNICTWA**

RADIA WOLNA EUROPA - RADIA SWOBODA

A. ZINOWIEW : **LIST DO REDAKTORA "KULTURY"**

SPIS RZECZY

| | | |
|-----------------------------|---|-----|
| Stanisław Swianiewicz: | <i>400-lecie Uniwersytetu Wileńskiego</i> .. | 3 |
| Gustaw Herling Grudziński: | <i>Dziennik pisany nocą</i> | 17 |
| Konstanty Ostrogski: | <i>Leningrad - Moskwa 1977</i> | 36 |
| WIERSZE | | |
| Andrzej Koraszewski: | <i>Byty kształtują świadomość</i> | 48 |
| ARCHIWUM POLITYCZNE | | |
| Włodzimierz Mart: | <i>O esejach Juliusza Mieroszewskiego</i> .. | 50 |
| Dominik Morawski: | <i>Korespondencja z Rzymu</i> | 59 |
| SPRAWY I TROSKI | | |
| Siergiej Fedotow: | <i>Polityka kierownictwa Radia Swoboda</i> | 67 |
| Brukselczyk: | <i>Widziane z Brukseli i z... Argentyny</i> | 75 |
| K R A J | | |
| Franciszek Komiga: | <i>Kierownicza rola czy ubezwłasnowolnienie?</i> | 83 |
| J. Ś.: | <i>Niecenzurowana prasa krajowa</i> | 99 |
| — | <i>Władze Oddziałów Związku Literatów w Polsce</i> | 101 |
| SĄSIEDZI | | |
| Aleksander Zinowiew: | <i>List do Redaktora „Kultury”</i> | 104 |
| — | <i>Dziesięciolecie „bratniej pomocy”</i> | 105 |
| — | <i>Relacja z Pragi</i> | 108 |
| Adam Kruczek: | <i>W sowieckiej prasie</i> | 109 |
| Wołodymyr Janiw: | <i>O konieczności współpracy</i> | 117 |
| Andrzej J. Chilecki: | <i>Kronika niemiecka</i> | 120 |
| Wł. Brylewski: | <i>Kronika białoruska</i> | 122 |
| KRONIKA KULTURALNA | | |
| A. K.: | <i>Ilość, która nie chce przejść w jakość</i> | 124 |
| Józef Czapski: | <i>Józef Jarema</i> | 129 |
| — | <i>Działalność Biblioteki Polskiej w Londynie w roku 1977</i> | 131 |
| CI CO ODESZLI | | |
| Maria Danilewicz Zielińska: | <i>Żywoycie i śmierć Pawła Łyska</i> | 133 |
| WOŁANIE NA PUSZCZY | | |
| Kisiel: | <i>W sprawie reklamy</i> | 138 |
| KSIĄŻKI | | |
| Józef Czapski: | <i>Piękna książka</i> | 144 |
| — | <i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> | 145 |
| — | <i>Podwyżka prenumeraty „Kultury” na rok 1979</i> | 146 |
| ◆ | | |
| Zofia Hertz: | <i>Humor krajowy</i> | 147 |
| ◆ | | |
| — | <i>Wydarzenia miesiąca</i> | 149 |
| ◆ | | |
| Ś. Bilicz: | <i>List do Redakcji</i> | 154 |
| — | <i>Odpowiedzi Redakcji</i> | 154 |
| — | <i>Sprostowania</i> | 155 |
| DOKUMENTY | | |
| — | <i>Amerykański Kongresman w obronie praw człowieka</i> | 156 |

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Październik - Octobre 1978

INSTYTUT  LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

| | |
|--|-------------|
| A. T. (USA) — dla uczczenia pamięci doc. dr. Tadeusza Siuty, zmarłego w New Yorku | F. 154,00 |
| Stefan Jachna, Parsippany, N.J. (USA) | F. 440,00 |
| Koło Przyjaciół Kultury, Sztokholm — ze zbiórki po odczycie Stefana Kisielewskiego | F. 282,00 |
| Jerzy Langrod, Paryż, po raz dwudziesty dziewiąty | F. 100,00 |
| Maria Łatyńska, Monachium (RFN), po raz drugi | F. 210,00 |
| Witold Osiński, Lund (Szwecja) | F. 200,00 |
| Rodzina — zamiast kwiatów na grób Marii Waroka, Lund (Szwecja) | F. 100,00 |
| Towarzystwo Przyjaciół Kultury, Lund (Szwecja), po raz drugi | F. 300,00 |
| Bezimiennie z New Yorku, po raz dwunasty | F. 212,00 |
| Bezimiennie z Paryża (9 ^e) (po raz czwarty) | F. 1.000,00 |
| Bezimiennie z Paryża, po raz piętnasty | F. 100,00 |
| Tadeusz Brzostek, Paryż — na pomoc dla opozycji w Polsce .. | F. 100,00 |
| Bezimiennie z Kalifornii — na pomoc dla opozycji w Polsce .. | F. 435,00 |
| Bezimiennie z Rawensburg (RFN) — na pomoc dla opozycji w Polsce | F. 217,04 |

DZIĘKUJEMY!

WPLATY NA KSS „KOR”

| | |
|---|-------------|
| Jan Chodakowski, Paryż | F. 200,00 |
| Stefan Jachna, Parsippany, N.J. (USA) | F. 440,00 |
| Polish Alliance of Canada | F. 1.352,00 |
| Towarzystwo Przyjaciół Kultury w Lund (Szwecja) | F. 100,00 |
| W. Z. (USA) | F. 286,00 |

WPLATY NA PPN

| | |
|--|----------|
| Barbara i Józef Kordeczka, Aix-en-Provence | F. 50,00 |
|--|----------|

WPLATY NA ROPCio

| | |
|---|-----------|
| A. Kołakowski, Union, N.J. (USA) — na apel „Konfederacji 76” | F. 220,00 |
| Koło Byłych Żołnierzy Armii Krajowej w Cleveland, Ohio (USA) | F. 880,00 |
| Na apel „Konfederacji 76” — lista ofiarodawców z New Jersey i New Yorku | F. 433,00 |

400 - lecie Uniwersytetu Wileńskiego

Akt Erekcyjny

7 lipca 1578 roku Stefan Batory podpisał we Lwowie akt erekcyjny Akademii Wileńskiej, która przez kilka stuleci (jakkolwiek z przerwami) była latarnią cywilizacji zachodniej na wschodnich połaciach dawnej Rzeczypospolitej polsko-litewskiej. Historycznie na pojęcie cywilizacji zachodniej złożyło się w przeciągu stuleci szereg prądów umysłowych i religijnych: styl życia średniowiecznego i filozofia scholastyczna, Renesans i Reformacja, XVIII-towieczny racjonalizm i XIX-towieczny romantyzm, który na początku bieżącego stulecia zaczął się wyrażać w różne formy biologiczno-lingwistycznego nacjonalizmu. Uniwersytet Wileński w okresie swego istnienia ulegał wszystkim tym prądom w większym lub mniejszym stopniu.

Jak wynika ze studiów archiwalnych osobą, która szczególną rolę odegrała w okresie przygotowawczym do założenia Uniwersytetu Wileńskiego był biskup Wileński ks. Walerian Protasiewicz-Szuskowski, który objął diecezję Wileńską w 1556 roku. Uważał on za konieczne stworzenie w stolicy Wielkiego Xięstwa Litewskiego instytucji wyższego nauczania. Chodziło mu specjalnie o podniesienie poziomu wykształcenia podległego mu kleru. Były w owym czasie specjalne powody, które wymagały od tego kleru wzmoczonych wysiłków.

Po pierwsze ludność Litwy etnicznej, chociaż ochrzczona przed dwustu laty, w XVI-tym wieku pozostawała wciąż w sferze pojęć i obyczajów pogańskich, czciła dawnych bogów i składała ofiary świętym węzom. Biskup Żmudzki ks. Melchior Giedroyc, rodowity Litwin, pisze w roku 1587 do Generała Jezuitów: „W bardzo wielkiej części mego biskupstwa nie ma nikogo kto by się

raz w życiu spowiadał, nikogo... kto by umiał pacierz lub znak Krzyża świętego, nikogo, kto by miał jakąkolwiek wiadomość o tajemnicach wiary¹. Sytuacja ta wymagała od księży na szeroko rozsianych parafiach dobrego przygotowania do szerzenia zasad wiary i moralności chrześcijańskiej, a więc także — z jednej strony — dobrej znajomości łaciny, która była wewnętrznym językiem Kościoła Katolickiego, a z drugiej umiejętności przedstawienia tych zasad w językach miejscowych. Pierwszy katechizm (luterancki) po litewsku został wydany w Królewcu w 1547 roku, a katolicka *Postylla* w 1599 roku w Wilnie². Nowy Testament został przetłumaczony na litewski dopiero w 1701 roku³.

Po wtóre hierarchia katolicka była zainteresowana w tym, aby istniejące ośrodki rzymskiego katolicyzmu były przygotowane do stykania się, współżycia i dysputowania z przedstawicielami Wschodniego Chrześcijaństwa. Większość ludności w Wielkim Xięstwie, poza terenami etnograficznie litewskimi, mówiła po białorusku i wyznawała prawosławie. Dawni Litwini byli narodem imperialnym. Mieli ogromne zdolności organizacyjne i przywódcze, lecz nie mieli tendencji do narzucania swego języka i swych obyczajów. W średniowieczu nie było nawet pisanego języka litewskiego. Podporządkowując więc sobie wschodnio-słowiańskie księstwa oraz broniąc je przed niewolą tatarską, przyjmowali język i obyczaje ruskie, tak samo jak Mongołowie, gdy podbili Chiny, przyjmowali język i obyczaje chińskie. Język ruski, odpowiadający temu co dziś nazywamy białoruskim, stał się językiem aktów państwowych i językiem dworu wielkksiążęcego, a także językiem jednego z największych twórców ustawodawczych Rzeczypospolitej: Statutu Litewskiego (1588). Gdyby w 1399 roku Witold wygrał bitwę nad Worklą, prawdopodobnie wyzwolenie Wschodniej Rusi od jarzma tatarskiego byłoby przyspieszone o stulecie i Litewskie imperium byłoby czynnikiem dominującym w całej Wschodniej Europie.

Wiek XVI-ty był okresem pewnego ożywienia intelektualnego w życiu zachodnio-ruskiego prawosławia. Franciszek Skoryna, rodem z Połocka, założył w Wilnie pierwszą ruską drukarnię. Konstanty Ostrogski, Wielki Hetman Litewski, założył w Ostrogu na Wołyniu Akademię, gdzie przetłumaczono Biblię na cerkiewno-słowiański. W wielojęzycznym Wilnie dominowała ludność ruska. W tej sytuacji Kościół Katolicki był zainteresowany aby powstała jakaś instytucja kulturalna, która by szerzyła zrozumienie zalet i problemów cywilizacji łacińskiej.

1. Wł. Wielhorski, *Litwini, Białorusini i Polacy w dziejach kultury Wielkiego Xięstwa Litewskiego*, Alma Mater Vilnensis, Londyn, 1957, str. 92.

2. W. Sukiennicki, *Pamiętnik Wileński*, Londyn, 1972, str. 147.

3. Wielhorski, *tamże*, str. 113.

Trzecim czynnikiem była reformacja, która stanowiła siłę atrakcyjną dla warstw wyższych zarówno katolickich jak prawosławnych. Konfrontacja pomiędzy katolicyzmem a reformacją wprowadzała Litwę w krąg sporów, które rozdzierały ówczesną Europę. W różnych mniejszych miejscowościach na terenie Wielkiego Xięstwa powstają szkoły kalwińskie i luteranckie oraz szereg niedużych drukarni, które tłoczą pamflety protestanckie i antytrynitarskie. W tej sytuacji zadaniem Kościoła było wychowanie ludzi przygotowanych do dysputowania tych sporów zarówno po łacinie jak po polsku, gdyż reformacja na Litwie była ważnym czynnikiem polonizacyjnym, wprowadzając wszędzie język polski zamiast łaciny lub cerkiewno-słowiańskiego. Utożsamianie polskości z katolicyzmem przyszło dopiero później.

Biskup Protasiewicz założył w Wilnie Kolegium, do prowadzenia którego zaprosił niedawno powstały zakon Jezuitów, specjalnie nastawiony do zwalczania reformacji i mający już doświadczenie w organizowaniu oświaty. Wśród pierwszych nauczycieli byli, między innymi, ks. Jakub Wujek, sławny potem tłumacz Biblii z greckiego na polski, oraz ks. Piotr Skarga wybitny kaznodzieja, a, po podniesieniu Kolegium do godności Uniwersytetu, pierwszy jego Rektor.

Działalność biskupa Protasiewicza była prawdopodobnie powodowana przede wszystkim względami kościelnymi. W decyzji Stefana Batorego w sprawie aktu erekcyjnego Uniwersytetu dużą rolę musiały odegrać również względy polityczne. W 1578 roku Batory był w trakcie przygotowywać do wyprawy Inflanckiej, która zakończyła się, po zdobyciu Wielkich Łuk i oblężeniu Pskowa, włączeniem całych Inflant jako trzeciego członu do Rzeczypospolitej Polsko-Litewskiej. Wojna inflancka była spowodowana przez parcie Moskwy ku Bałtykowi, co stwarzało poważne zagrożenie Litwy. Jagiellonowie przez dwa stulecia swego panowania mieli przeważnie oczy zwrócone na Południe i Zachód, potomkowie Giedymina zasiadali na tronach węgierskim i czeskim. Lecz zwierzchnie władze Rzeczypospolitej mało udzielały uwagi sprawom północno-wschodnich rubieży. Toteż Rzeczypospolita nie interweniowała, gdy Iwan III-ci, po ostatecznym uwolnieniu się od jarzma tatarskiego, najechał bogatą Republikę Nowgorodzka, która należała do Związku Hanzeatyckiego i kontrolowała handel futrami na całej ogromnej przestrzeni północy dzisiejszej Rosji Europejskiej. Iwan III-ci deportował całą ludność Nowgorodu nad Wołgą, stwarzając w ten sposób model, z którego dzisiejsi władcy Rosji korzystają na bardzo szeroka skalę.

Był to pierwszy etap marszu Moskwy ku Bałtykowi. Drugi etap przyszedł dopiero w końcu XVI-go wieku, gdy Iwan IV-ty

(Groźny) zaatakował Inflanty. Inflanty oddały się pod opiekę Rzeczypospolitej. I wówczas zainterweniował geniusz Batorego.

Inflanty nie były krajem dzikim ani prymitywnym. Była to domena Kawalerów Mieczowych, gdzie wyższe warstwy były przeważnie pochodzenia niemieckiego, miasta przechowywały tradycje hanzeatyckie, ludność wiejska była przeważnie łotewska mówiąca językiem pokrewnym litewskiemu; na północy byli Estończycy pokrewni Finom. Kraj w znacznym stopniu był objęty ruchem reformacji. Idąc na te tereny Batory na pewno uważał, że trzeba zrobić wszystko, aby podnieść poziom życia umysłowego w społeczeństwie Litwy, które musiało nawiązać bliższy kontakt z życiem Wschodniej Nadbałtyki. Akt erekcyjny Uniwersytetu Wileńskiego był jednym z objawów zainteresowania północnym Wschodem oraz objawem woli Batorego, aby podjąć tam misję historyczną.

Wiek XVI - XVIII

Dzieje Uniwersytetu Wileńskiego można podzielić na kilka okresów, gdy rozwój ducha i myśli był przerywany siłami zewnętrzными, które niosły upadek, śmierć i zniszczenie. Potem jednak znowu twórczy duch ludzki wybuchał raptem jaskrawymi płomieniami, które swoje iskry rzucały na wszystkie strony świata.

Pierwszy okres od chwili założenia do najazdu Moskiewskiego w połowie XVI wieku był niewątpliwie okresem wielkich intelektualnych wysiłków, które włączały Wszechnicę Wileńską w w tętno życia Zachodu i nieuniknione kontrowersje z twórczością umysłową związane. Jezuita zdołał zgromadzić w Akademii Wileńskiej szereg najwybitniejszych umysłowości, które wówczas można było znaleźć na terenie Rzeczypospolitej. Obok wspomnianych już powyżej Jakuba Wujka i Piotra Skargi-Pawęskiego, należy wymienić także nazwiska takie jak Maciej Kazimierz Sarbiewski poeta piszący zarówno po łacinie jak po polsku, którego dzieła były wydawane w Kolonii, Antwerpii i Lyonie i ozdabiane rysunkami Rubensa; jak Maciej Szmiglecki, rodem ze Lwowa, który swymi rozprawami o logice zyskał sobie pozycję międzynarodową; jak Aleksander Olizarowski, pochodzący z niezamożnej szlachty na Podlasiu, prawnik, który występował przeciwko eksploatacji chłopów, twierdząc, że pańszczyzna nie da się wywieść ani z prawa narodów ani z prawa cywilnego. Prof. Albert Wijuk-Kojałowicz i późniejszy rektor, z urodzenia Litwin spod Kowna, napisał po łacinie dwutomową historię Litwy, wydaną drukiem częściowo w Gdańsku i częściowo w Antwerpii, z biegiem czasu przetłumaczoną na niemiecki i polski, oraz zyskał sobie opinie

jednego z najwybitniejszych historyków w Europie. Inny profesor, Konstanty Szyrwid opracowuje słownik litewsko-łacińskopolski, oraz przygotowuje pierwszą gramatykę litewską, wydaną już po jego śmierci. W pierwszej połowie XVII wieku Jezuita wileński ks. Jan Jachnowicz wydaje szereg druków religijnych po litewsku. Akademia zatrudnia również szereg profesorów pochodzących z różnych krajów Europy Zachodniej.

Wpływ Akademii na życie umysłowe kraju był zarówno bezpośredni gdy chodzi o słuchaczy, jak również pośredni przez kształcenie nauczycieli do różnych szkół, które powstawały wówczas na terytorium Litwy. Niektóre z tych szkół, np. szkoła w Krożach, stanowiły rodzaj filii Akademii. Akademia przez liczne pamflety pisane przez jej profesorów i wychowanków przyczyniła się znacznie do wyrobienia doktryny kontr-reformacji, co miało znaczenie nie tylko dla Litwy lecz również dla życia całej Rzeczypospolitej. Zbiegło się to z Soborem Trydenckim, który miał miejsce w połowie XVI-go stulecia. W ciągu pierwszego półwiecza istnienia Akademii zarysował się wyraźnie zanik wpływów protestanckich i przejście na łono Kościoła przeważnej części szlachty litewsko-ruskiej spolonizowanej przez reformację.

Gdy jakaś doktryna, sformułowana na wyższym szczeblu intelektualnym, ogarnia masy, ulega nieuchronnie wulgaryzacji. Doktryna kontr-reformacji, gdy ogarnęła masy szlacheckie spowodowała zanik tradycyjnej tolerancji, która była cechą polityki Jagiellonów; powstała atmosfera sprzyjająca zatargom zbrojnym z protestancką Szwecją, co zbiegło się z objęciem tronu polskiego przez dynastię Wazów, której interesy dynastyczne wiązały się z walką pomiędzy Kościołem a reformacją. Racja stanu Rzeczypospolitej, a Litwy w szczególności, wymagała raczej przymierza ze Szwecją, gdyż oba kraje były zagrożone przez parcie Moskwy w kierunku Bałtyku. W 1598 roku Zygmunt III-ci próbuje zorganizować wyprawę, aby odzyskać tron szwedzki, który przyszedł mu się prawnie należy, chociaż Rzeczpospolita nie ma w tym żadnego istotnego interesu. Wyprawa kończy się niepowodzeniem. Potem znowu w 1605 przychodzą działania wojenne w związku ze sprawą Estonii, podczas których były student Akademii Wileńskiej Jan Karol Chodkiewicz, Wielki Hetman Litewski, odnosi wspaniałe zwycięstwo pod Kirchholmem, chociaż sprawy o które ta walka toczy się, nie mają istotnego znaczenia. Rozpoczyna się epoka zwycięskich bitew, które w sumie składają się na polityczną klęskę. W jakiś czas potem Karol Gustaw zakłada Uniwersytet w Dorpacie, który wydaje się być protestanckim odpowiednikiem Akademii Jezuitkiej w Wilnie. Stwarza to warunki do akademickiego dialogu pomiędzy katolicką a protestancką częścią zagrożonej od Wschodu Nadbałtyki, do którego

jednak nie dochodzi, bo przychodzi klęska Potopu opisana przez Sienkiewicza.

Książę Janusz Radziwiłł ucharakteryzowany przez Sienkiewicza na zdrajcę — jakiegokolwiek były jego osobiste motywy — w tym szukaniu oparcia się o Szwecję — być wyrazicielem Litewskiej racji stanu. Konsekwencją Potopu był bowiem najazd moskiewski, kiedy Moskwa miała okazję zadania śmiertelnego ciosu Litwie, swemu współzawodnikowi przez kilka stuleci w procesie łączenia ziem ruskich. Wielkie Xięstwo Litewskie było siłą, która umożliwiła utworzenie się narodowości Białoruskiej i Ukraińskiej w odróżnieniu od Wielko-ruskiej, którą wychowało jarzmo tatarskie. W tej sytuacji Litwa nie mogła sobie pozwolić na żaden konflikt militarny ze Szwecją. Wilno zostaje po raz pierwszy w historii zajęte przez wojska moskiewskie; podobno około 25 tysięcy ginie od mordów i rabunków. Dobytek Akademii Wileńskiej zostaje rozgrabiony.

Po wycofaniu się Moskali w 1661 roku odbudowa postępuje powoli. Rzeczpospolita przeżywa ciężkie lata: ogólny upadek dyscypliny, samowola magnatów, kontrowersje zrodzone z Unii Brzeskiej, secesja Ukrainy, nowy wybuch namiętności wyznaniowych w związku ze sprawą dyzunitów. Moskwa rozpoczyna ostatni etap swego marszu ku Bałtykowi, tym razem dość paradoksalnie, bo w sojuszu z Rzeczpospolitą. Powoduje to nową wojnę i nowe najazdy szwedzkie. „Sojusznicze” wojska moskiewskie przemaszerowują przez terytorium Wielkiego Xięstwa Litewskiego. Car Piotr daje wyraz swoim uczuciom sojuszniczym mordując w Połocku osobiście kilku księży bazylianów. Wszystko to nie sprzyjało rozwojowi uniwersytetu, który dopiero w XVIII wieku zaczyna rozszerzać pole swoich zainteresowań i studiów. W 1753 roku powstaje, dzięki hojnym darom księżnej Elżbiety z Ogińskich Puzyniny, obserwatorium astronomiczne pod kierownictwem matematyka ks. Tomasza Żebrowskiego oraz astronoma ks. Marcina Poczobut-Odlanickiego. Po kasacie zakonu Jezuitów Uniwersytet zostaje przejęty przez Komisję Edukacyjną i przemianowany na Szkołę Główną Wielkiego Xięstwa Litewskiego. Rektorem zostaje ks. Marcin Poczobut-Odlanicki, który tę funkcję pełni do 1799 roku.

Płomień

Po trzecim rozbiórce i upadku Rzeczpospolitej losy uniwersytetu przyjmują niespodziewany obrót, zdawałoby się sprzeczny z logiką historii i całym doświadczeniem poprzednim i późniejszym. Car Aleksander I-szy, intelektualista na tronie samowład-

ców Wszechrosji, bierze Szkołę Główną Wileńską pod swoją opiekę i przemianowuje na Wileński Uniwersytet Imperatorski z językiem wykładowym polskim, wyznaczając swego przyjaciela księcia Adama Czartoryskiego na kuratora Okręgu Naukowego Wileńskiego.

Jest znane powiedzenie Stanisława Staszica, że gdyby „światło nie zapaliło się w Wilnie zgasłoby w Polsce całej”. Można powiedzieć, że to nie było tylko światło — lecz płomień. Uniwersytet zgromadził znaczną ilość wybitnych profesorów z kraju i zagranicy; niektórzy z nich pozostawili swój trwały ślad w historii kultury polskiej: Śniadeccy, Leleweł, Groddeck, Bojanus, Daniłowicz, Józef Frank. Lecz nie oni zapalili ten płomień. Wybuchnął on jako skutek wyjątkowego skoncentrowania wśród słuchaczy szeregu utalentowanych, a nawet genialnych, jednostek, przenikniętych poczuciem własnej misji, powszechnej i narodowej. Mickiewicz, Słowacki, Kraszewski, Wincenty Pol, filareci, filomaci i promieniści byli oczywiście dziećmi swojej epoki, myśleli w kategoriach XIX-wiecznego romantyzmu i w tych kategoriach ujmowali tragedię Rzeczpospolitej. I z tego ujęcia wyrastały kwiaty nadziei i wiary.

Ten zastrzyk wiary dawali nie tylko narodowi polskiemu, lecz pobudzali do odrodzenia wartości kulturalne innych narodów, z których składała się Rzeczpospolita. Filareci i Filomaci bardzo dobrze sobie uświadamiali, że wielkość Rzeczypospolitej znajdowała swój wyraz nie tylko w dźwiękach polskiej mowy; że ziarna, z których ta wielkość wyrosła, kiełkowały w Litwie gniazdowej, że język ruski, który stanowił w pewnym stopniu mieszaninę dzisiejszego białoruskiego i ukraińskiego, był językiem hetmanów i kanclerzy Wielkiego Xięstwa Litewskiego i językiem, którym mówili prawdopodobnie Jagiellonowie, gdy występowali w oficjalnym charakterze jako Wielcy Książęta Litewscy. Ze Tadeusz Kościuszko, który pierwszy podniósł sztandar walki o niepodległość, był z pochodzenia Białorusinem.

Filareci interesują się również życiem ludu białoruskiego, zapisują pieśni i wierzenia, biorą osobiście udział w tradycyjnych obrzędach ludowych, szukając dróg bliższego zespolenia się z ludem. Jeden z przywódców antypolskiej orientacji w ruchu białoruskim Aleksander Cwikiewicz w książce wydanej w Berlinie wkrótce po pierwszej wojnie światowej⁴ tak charakteryzuje swój stosunek do dawnego Uniwersytetu Wileńskiego:

« Trudno w historii innych krajów i innych narodów znaleźć przykłady tak szybkiego i świetnego rozkwitu ducha i związanych

4. A. Cwikiewicz, *Addraidiennie Bielarusi i Palszcza*, Berlin, 1921.

« z nim historycznych przepowiedni. I chociaż Uniwersytet Wileński stworzony został nie białoruskimi siłami, ale Białorusi niemniej od Polski ma prawo z dumą wspominać o tej wspólnej stronie historii. Pamięć o tej sławnej karcie naszych wspólnych dziejów dla białoruskiego narodu ma bezwarunkowo większe znaczenie, niż dziesiątki zaplesniałych i zjedzonych przez mól aktów unii... Nie prawniczymi formułami, nie przewrotnymi politycznymi machinacjami, korzyść od których dla Białorusi była bardzo względna, ale ogniem i siłą ducha, tego ducha, co z powodu krótkiego okresu czasu nie zdołał wyjawić źródeł swojej mocy, związane są nasze narody ».

Uniwersytet Wileński zamknięto w 1832 roku w ramach represji popowstaniowych, zostawiając jedynie wydział teologiczny jako seminarium diecezjalne oraz wydział medyczny jako akademię wojskową-chirurgiczną, którą zresztą zlikwidowano w dziesięć lat później. Należy przypuszczać, że Uniwersytet zostałby zamknięty nawet gdyby nie było Powstania Listopadowego. Rosja była państwem niewolniczym, około 80 % ludności stanowili chłopci pańszczyźniani, których od czasów Katarzyny II-giej można było swobodnie sprzedawać i kupować. Banki wydawały pożyczki pod zastaw posiadanych „dusz”. Ten stan rzeczy wywoływał krytyki szczególnie wśród ludzi którzy, podczas niedawnych wojen napoleońskich, poznali stosunki w Zachodniej Europie. Przodowała w tym szlachta świeżo zabranych prowincji Rzeczypospolitej, gdzie żywe były hasła Insurekcji Kościuszkowskiej. W tej sytuacji Wszechnica Wileńska, gdzie było około 1.500 słuchaczy, sporo zagranicznych profesorów, wrzała intensywną pracą naukową i szerzyło się przekonanie o konieczności „ruszenia z posad bryły świata”, stanowiłaby niebezpieczeństwo dla wewnętrznego ładu i porządku w Imperium. Iskry z tych płomieni mogły się łatwo przerzucić na Rosję centralną i na Ukrainę.

Lecz kilka tysięcy wychowanych w ciągu dwudziestu lat dyplomantów było wstrzykniętych do Wielkiego Xięstwa Litewskiego i spełniało tam swoją misję historyczną oddziaływując na kształtowanie się umysłów.

Po licznych represjach, które zaczęły się w 1822 roku i po ostatecznym zamknięciu Uniwersytetu, wielu wychowanków Śniadeckich i Lelewela musiało opuścić kraj rozsypując się po świecie. Niektórzy objęli katedry w różnych odległych uniwersytetach. O tym, że Mickiewicz i Aleksander Chodźko wykładali w College de France wiedzą prawie wszyscy, ale mniej jest znane, że jego przyjaciel Ignacy Domeyko był organizatorem uniwersytetu w Santiago oraz przez kilkanaście lat jego rektorem. Dziś są miejscowości w Chile nazwane jego imieniem. Inny wychowanek Wileńskiego Uniwersytetu ks. H. M. Ryłło był założycielem, a

potem rektorem francuskiego uniwersytetu w Beyrucie, w którym podczas ostatniej wojny nie jeden Polak studiował.

Adam Wrzosek w pierwszym numerze *Alma Mater Vilnensis* (Wilno, 1922) podaje kilkadziesiąt nazwisk wychowanków uniwersytetu, którzy odegrali wybitną rolę na różnych punktach kuli ziemskiej.

U. S. B.

Uniwersytet Wileński został wskrzeszony w 1919 roku dekretem Józefa Piłsudskiego jako Naczelnego Wodza wojsk, które zdobywały Wilno w kwietniu tego samego roku. Nadano mu imię Uniwersytetu Stefana Batorego na cześć jego założyciela. 11 października tego samego roku odbyła się uroczysta inauguracja, która wywołała entuzjazm w całej Polsce, gdzie żyła wciąż legenda ogniska „wiedzy, cnoty i kultury” jakim ten uniwersytet był za czasów Czartoryskiego. Dekret o otwarciu U.S.B. został podpisany przez Józefa Piłsudskiego jako Naczelnego Wodza, nie zaś jako głowę Państwa Polskiego. Wilno bowiem nie należało jeszcze do odrodzonego państwa polskiego, lecz znajdowało się na terenie obsadzonym przez wojska polskie i administrowanym przez Zarząd Cywilny Ziem Wschodnich podlegający Naczelnemu Wodzowi, a nie rządowi w Warszawie.

Nie leżało też wcale w zamiarach Piłsudskiego, aby to miasto inkorporować do Polski. Piłsudski myślał o stworzeniu jakiejś nowej formacji, która odpowiadałaby dawnemu Wielkiemu Xięstwu Litewskiemu. Spodziewał się, że ta formacja będzie miała swoje centrum w Wilnie i będzie jakimiś prawnopolitycznymi więzami związana z Polską.

Uniwersytet w Wilnie miał być latarnią rozsiewającą blaski, które by przyciągały ludzi żądnych wiedzy z różnych części ziem należących kiedyś do Wielkiego Xięstwa Litewskiego. Inteligenci litewscy i białoruscy witali nową instytucję wyższego nauczania z pewną obawą; bali się bowiem, że Uniwersytet może stać się czynnikiem polonizującym miejscową ludność tak jak to było w przeszłości, kiedy tyłu Litwinów i Białorusinów przejęło język i kulturę polską, straciło świadomość swojej przynależności narodowej i stało się Polakami.

Piłsudski nikogo nie chciał asymilować. Chciał on przede wszystkim, tak samo jak Batory, odsunięcia Rosji na Wschód. Mogłoby to stać się, gdyby powstały niepodległe republiki ukraińska i białoruska. Był więc zainteresowany w rozwoju kulturalnym obu tych narodowości oraz w tym, aby ludność tych krajów miała mocne poczucie swojej odrębności narodowej. Jego

postulatem było, aby Ukraińcy i Białorusini przede wszystkim zechcieli być sobą, bo tylko w ten sposób mogli stworzyć dla świeżo odbudowanego Państwa Polskiego osłonę przeciwko możliwym zaborczym tendencjom ze strony Rosji.

Zachodziła uderzająca analogia pomiędzy sytuacją wojskowo-polityczną w okresie gdy Batory zakładał Uniwersytet Wileński, a 340 lat potem kiedy Józef Piłsudski ten uniwersytet wskrzeszał. Batory podpisał akt erekcyjny w czasie, gdy szykował się do wyprawy inflanckiej. W kilka miesięcy po uroczystej inauguracji październikowej w 1919 roku wojska polskie pod dowództwem młodego generała Rydza-Smigłego przekroczyły Dźwinę pod Dyneburgiem i, współdziałając z armią łotewską, zaczęły posuwać się szlakami Batorego wśród ciągłych bojów na Północny Wschód, oczyszczając południową część Inflant od wojsk bolszewickich. Po spełnieniu tego zadania wycofały się znowu na lewy brzeg Dźwiny przekazując zdobyte tereny administracji rządu łotewskiego w Rydze. Był to model tego jak Piłsudski zamierzał zachować się na Ukrainie i ewentualnie na Białorusi.

Tymczasem organizacja świeżo odbudowanego Uniwersytetu szybko posuwała się naprzód, pomimo toczących się jeszcze działań wojennych. Nauczanie szybko podciągało się na przeciętny poziom uniwersytetów europejskich. Było sześć wydziałów: humanistyczny, teologiczny, prawa i nauk społecznych, matematyczno-przyrodniczy, lekarski (z oddziałem farmaceutycznym) i sztuk pięknych. Po kilku latach dodano wydział rolniczy oparty w dużym stopniu o fundację margrabiny Umiaostowskiej. Powstały specjalne instytuty jak np. Instytut Historii Dawnego Prawa Litewskiego pod kierownictwem prof. Ehrenkreutz'a i doc. Wysłoucha, lub Instytut Badania Mózgu pod kierownictwem prof. dr. Maksymiliana Rose, który poprzednio stał na czele podobnego zakładu przy uniwersytecie Berlińskim. Po jego śmierci zakład objął prof. Włodzimierz Godłowski. Prof. Ehrenkreutz został ostatnim rektorem Uniwersytetu; zmarł w 1945 roku w więzieniu sowieckim, a zwłoki prof. Godłowskiego leżą w mogile katyńskiej.

Podczas dwudziestolecia istnienia odrodzonego uniwersytetu Stefana Batorego wykładało tam wielu znakomitych uczonych, którzy mieli ustaloną pozycję międzynarodową; byli również wychowankowie Uniwersytetu, którzy taką pozycję zdobywali. Od początku istnienia Uniwersytetu wykładali tam Wincenty Lutosławski i powszechnie uznany autorytet w zakresie filozofii Platona, Marian Zdziechowski, znany na świecie specjalista w zakresie rosyjskiej filozofii religijnej, który był rektorem w latach 1925-27. Władysław Zawadzki, profesor ekonomii politycznej, był znany w świecie jako specjalista od ekonomii matematycznej.

Po śmierci Wilfredo Pareto w 1922 roku był kandydatem na jego katedrę w Lozannie; wycofał się jednak, nie chcąc rezygnować ze swego udziału w budowaniu odrodzonego państwa Polskiego. Gdy w latach trzydziestych powstawało „The Econometric Society” powołano Zawadzkiego jako jedyne Europejczyka do grona pierwszych pięciu *fellows* tego dość ekskluzywnego towarzystwa naukowego. W połowie lat trzydziestych wychowanek Uniwersytetu Doc. Henryk Niewodniczański należał w Cambridge do zespołu prowadzącego pod kierownictwem lorda Rutherforda badania w zakresie fizyki atomowej razem z późniejszym prof. Oliphantem i znanym rosyjskim fizykiem Kapicą, potem wrócił do Wilna na katedrę fizyki doświadczalnej. Gdy wybuchła wojna i stało się jasne, że fizycy atomowi mogą być potrzebni, Niewodniczański otrzymał wezwanie aby natychmiast przyjechał do Cambridge. Z powodu różnych komplikacji osobistych nie mógł tego dokonać przed okupacją Litwy przez Sowiety. Po wojnie był dyrektorem Instytutu Fizyki Atomowej przy Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie.

W ciągu 20-lecia funkcjonowania U.S.B. biblioteka uniwersytecka osiągnęła około 500.000 tomów; w 1939 roku było 368 pracowników naukowych (profesorów, docentów i asystentów), 104 zakłady naukowe (licząc w tym nowoczesnie urządzone kliniki). W okresie 1919-1939 pracownicy naukowcy ogłosili około 7.500 publikacji w różnych językach.

Oceniając z perspektywy dzieje Uniwersytetu Stefana Batorego można powiedzieć, że jako instytucja naukowa, szczególnie w zakresie nauk ścisłych, wznosił się na niezbędny poziom. Nie wytworzyła się jednak ta atmosfera filarecka, na którą często się powoływano przy okazjach różnych uroczystości. Uniwersytet nie stał się symbolem braterstwa wszystkich narodowości tych połaci ziemi, dla których Wilno było naturalnym centrum. Na początku wiele się słyszało o utworzeniu katedr literatury litewskiej i białoruskiej. Spodziewano się, że z czasem będą one rozbudowane przez utworzenie różnych dodatkowych katedr i lektoratów związanych z rosnącym od początku bieżącego stulecia ruchem odrodzenia narodowego wśród Litwinów i Białorusinów. Byli nawet tacy co spodziewali się, że, jeżeli te działy badawcze się rozwiną, mogą one stać się atrakcją przyciągającą studentów spoza granicy państwowej, np. z Litwy Kowieńskiej. Autor niniejszego artykułu podówczas student wydziału prawnego, pisał w 1922 roku w inauguracyjnym numerze *Alma Mater Vilmensis*:

„Nasz uniwersytet na granicy dwóch światów, dwóch kultur odrębnych, położony, musi się stać nie tylko jak najdalej na Wschód wysuniętą placówką kultury polskiej, ale także laboratorium, gdzie by dawne kresowe narody, pod wpływem dwóch różnych psychik od

wieków wzrastające, mogły, czerpiąc z wielkiej skarbnicy ducha polskiego, zacząć wytwarzać swe własne wartości kulturalne, będące syntezą dwóch światopoglądów różnych, dwóch dusz odrębnych — duszy Wschodu i Zachodu”⁵.

Nic jednak w tym kierunku nie zrobiono, nawet te katedry nigdy nie zostały obsadzone; rzekomo z braku kandydatów. Faktycznie atmosfera była niesprzyjająca do tego rodzaju inicjatywy.

W ostatnich latach przed wojną skrajni nacjonaści polscy zażądali aby studenci Żydzi mogli zajmować miejsca tylko po lewej stronie sal wykładowych. W wyniku zaburzeń z tym związanych rektor prof. W. M. Jakowicki zawiesił wykłady, a potem złożył berło rektorskie, uważając, że wydanie podobnego zarządzenia byłoby sprzeczne z jego zasadami etycznymi. Jest rzeczą charakterystyczną, że prof. Jakowicki został prawie natychmiast aresztowany po zajęciu Wilna przez wojska sowieckie i słuch po nim zaginął. Ilustruje to jaki typ ludzi na terenie Polski jest dla Sowietów szczególnie niepożądany.

Jeśli uniwersytet, spełniając swoją funkcję naukową, nie wytworzył jednak tego stylu filareckiego, o który na pewno chodziło Wskrzesicielowi, był w tym niewątpliwie wpływ ducha epoki. Gdy Batory podpisywał akt erekcyjny nad życiem Europy dominowały problemy kontrowersji pomiędzy Kościołem Rzymskim a reformacją. Gdy Aleksander I-szy brał pod swoją opiekę Szkołę Główną Wileńską nad światem wiały wiatry zrodzone z hasła rewolucji francuskiej oraz zaprawione romantyzmem literackim. Gdy w 1919 roku Józef Piłsudski inaugurował wskrzeszony Uniwersytet, znaczna część Europy Środkowej i Wschodniej była już objęta nacjonalistyczną pasją.

Cechą nacjonalizmu jest usposobienie, które wysuwa na pierwszy plan niechęć i wrogość do innych narodów, co góruje nad przywiązaniem do własnego narodu i nad racją stanu własnego państwa. Nacjonalizm jest ruchem, który zajmuje postawę ahistoryczną, wysuwając na pierwszy plan wagę elementów biologicznych i lingwistycznych. Marian Zdziechowski, profesor i Rektor Wszechnicy Wileńskiej w latach 1925-27, jeden z najgłębszych myślicieli Polski odrodzonej, powtarzał wielokrotnie, że widzi dwie siły, które prowadzą cywilizację chrześcijańską do ruiny: komunizm i nacjonalizm. Komunizm działa przez pobudzanie nienawiści klasowej, nacjonalizm narodowościowej. Na rok przed śmiercią wygłosił przez radio wileńskie odczyt, w którym powiedział że stoimy w przededniu katastrofy i że czeka nas

5. Stanisław Swianiewicz, *My i Oni*, Alma Mater Vilnensis, Wilno, 1922, str. 77.

męczeństwo. Jego ostatnia książka wydana niedługo przed śmiercią nosiła tytuł: „W Obliczu Końca”. Umarł w dniach kryzysu Monachijskiego, kiedy wielu ludzi w Polsce było ogarniętych entuzjazmem z powodu odzyskania Śląska Cieszyńskiego. Na kilka dni przed śmiercią powiedział, że nie widzi powodu do radości i oczekuje czarnych dni.

Uniwersytet Wileński został zlikwidowany rozporządzeniem rządu litewskiego niemal natychmiast potem jak Wilno zostało w dniu 28 października 1939 roku przekazane Litwie przez Związek Sowiecki. Z dniem 15 grudnia 1939 musiały być przerwane prace wszystkich laboratoriów, zakładów badawczych oraz klinik szeroko rozbudowanego Wydziału Lekarskiego. Nie mam jasnego obrazu jak to się wszystko odbywało, bo nie było mnie wówczas w Wilnie. Sądząc z tego, co mi opowiadali świadkowie i co wynika z tych dokumentów, które zostały opublikowane, skrajni litewscy nacjonaści przeżywali dnie krótkotrwałego triumfu. W pół roku potem w czerwcu 1940 roku wojska sowieckie okupowały Litwę. Wielu najbardziej czynnych działaczy litewskich zabrano do łagrów. Litwa, tak samo jak Polska, weszła w świat zapowiadziany przez ponurą wizję Zdziechowskiego.

Stanisław SWIANIEWICZ

PROGRAM OBCHODÓW LONDYŃSKICH

Niżej podpisane polskie instytucje naukowe i organizacje w Wielkiej Brytanii, w rozumieniu ogromnego znaczenia dorobku Uniwersytetu Wileńskiego — krzewiciela kultury zachodniej i wychowawcy wieszczów narodowych, postanowiły uczcić zbliżającą się rocznicę jego powstania:

1. Obchodem z programem naukowym i artystycznym w Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym w Londynie w dniu 20 października 1978.

2. Wystawą książek, map i pamiątek związanych z Uniwersytetem Wileńskim i Wilnem w Bibliotece Polskiej POSK oraz w Bibliotece Instytutu Polskiego i Muzeum im. Generała Sikorskiego.

3. Wystawą prac fotograficznych, graficznych i rysunkowych, ilustrujących Wilno i jego Uniwersytet w POSK w okresie października 1978.

Jednocześnie zwracamy się do całego społeczeństwa emigracyjnego o poparcie, a do tych, którzy posiadają odpowiednie pamiątki i materiały o udostępnienie ich publiczności w sposób uzgodniony z Komitetem Organizacyjnym 400-lecia Uniwersytetu Wileńskiego, c/o POSK, 240 King St., London W.6.

Londyn, we wrześniu 1978.

Uniwersytet Polski na Obczyźnie; Społeczność Akademicka Uniwersytetu Stefana Batorego; Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie; Polskie Towarzystwo Historyczne w Wielkiej Brytanii; Instytut Józefa Piłsudskiego

w Londynie; Instytut Polski i Muzeum im. Generała Sikorskiego; Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny w Londynie; Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie; Zrzeszenie Studentów i Absolwentów Polskich w Wielkiej Brytanii.

Prezydium Rady Społeczności Akademickiej Uniwersytetu Stefana BATOREGO zwraca się do wszystkich Kolegów i Koleżanek w wolnym świecie, którzy choćby przejściowo byli związani pracą naukową lub studiami z WSZECHNICĄ BATOROWĄ o włączenie się do obchodu 400-lecia jej powstania. Włączenie to może przybrać różne formy.

1) Nawiązanie z nami bezpośredniej łączności pod adresem: 47, Sterndale Road, W14 OHU.

2) (dla zamieszkałych w Londynie lub sąsiednich hrabstwach).

Przybycie na obchód naukowo-artystyczny, który odbędzie się 20 października 1978 w sali malinowej POSK-u, a także odwiedzenie wystaw, które odbędą się w ciągu października br. w gmachu POSK-u oraz w Bibliotece Instytutu Polskiego i Muzeum im. Generała Sikorskiego.

3) Porozumienie się między sobą w poszczególnych krajach wolnego świata i zorganizowanie w nich lokalnych obchodów 400-lecia Uniwersytetu Wileńskiego w jubileuszowym roku 1978/79.

4) Zasilenie miejscowej prasy artykułami związanymi z tematyką obchodu.

5) Podjęcie opracowań naukowych związanych z dziejami WSZECHNICZY WILEŃSKIEJ, obrazujących jej powiązania z kulturą zachodnią od lat najwcześniejszych.

Czy nie byłoby celowe, aby z okazji rocznicy (która właściwie wypada dopiero w przyszłym roku) pomyśleć o jeździe wychowanków USB i Uniwersytetu Wileńskiego, nie tylko dla przypomnienia sobie lat swej młodości ale również dla zastanowienia się czy Uniwersytet Wileński raz jeszcze może odegrać rolę w życiu Wschodniej Europy i być jednoczącą klamrą dla narodów ją zamieszkujących? Naszym zdaniem tak. — Redaktor „Kultury”.

CZESŁAW MIŁOSZ

UTWORY POETYCKIE-POEMS

stron 400

Wyd. Michigan Slavic Publications, Ann Arbor.
Cena dol. 9,50.

Wiersze zebrane z przedmową w języku angielskim
prof. A. Schenkera.
Zamówienia kierować do:

Department of Slavic Languages and Literatures,
University of Michigan, Ann Arbor, Michigan. USA.

Dziennik pisany nocą

Maisons-Laffitte, 26 czerwca 1978 (Monolog na dwa głosy)

— Nowa książka Zinowiewa *Świetlana przyszłość*, pod pewnymi względami wybitniejsza może nawet od jego *Przepastnych wyżyn*, wywołuje w trakcie lektury reakcję jakby dwutaktową. Najpierw odruch: „Oczywiście, oczywiście, nic szczególnie odkrywczego”. I zaraz potem: „A jednak niezwykle, nikt dotąd tyle i tak nie powiedział”. Jak to się dzieje? Chodzi tylko o dar syntezy, o umiejętność zobaczenia komunizmu w jego pełnym wyrazie, o zdolność utrafiania w sedno zjawisk widzianych przedtem w sposób zbyt fragmentaryczny, oderwany od całości?

— Zapewne, ale nie wystarczyłoby to by *Świetlaną przyszłość* uznać za książkę przełomową, za książkę otwierającą następny etap. Zestawienie z Sołżenicynem, na pierwszy rzut oka niedorzeczne, pozwala uchwycić doniosłość Zinowiewa. Sołżenicyn opisuje represyjność systemu, krwawą maskę nałożoną przez rewolucję społeczeństwa podbitego i ujarzmionemu. Zinowiew, jak w noweli Maxa Beerbohma o masce która na swoje podobieństwo kształtuje rysy twarzy, odsłania „przerażającą normalność” systemu. Oto czym jest komunizm jako forma życia zrzeszonego, oto jakie jest sowieckie społeczeństwo komunistyczne. Nie traćcie czasu na rozważania, czy urzeczywistniło zasady marksizmu-leninizmu. Urzeczywistniło. Przyjmijcie więc, że tak wygląda „ideologia” wprowadzona w życie. I zajmijcie się tym życiem, które ucieleśniło „ideologię”, jako społeczeństwem nowego typu. Taki byłby początek poznania komunizmu realnego, jego „przerażającej normalności”. Kto poprzestaje na wskazywaniu zbrodni systemu — procesów, prześladowań, więzień, łagrów,

mordów, deportacji — zakłada tym samym, że gdzieś w głębi istnieje inna realność, pogwałcona i zdławiona. Jest oskarżycielem, zasługuje na podziw i respekt; ale nie mówi całej prawdy. Cała prawda wymaga założenia, że powstało społeczeństwo oparte na zasadach odmiennych od wszystkiego, co przywykło się uważać za podstawę ludzkiej cywilizacji. Powstał człowiek sowiecki, *gatunkowo* różny od ludzi żyjących poza granicami Imperium. Chociaż akcja drugiej książki Zinowiewa rozgrywa się w Moskwie lat siedemdziesiątych, w cieniu odlanego ze stali gigantycznego sloganu „Niech żyje komunizm świetlana przyszłość ludzkości!”, w tle trwa półimaginacyjny Ibańsk ze swoim „socyzmem”. Zinowiew posiada talent destylowania czystej, niemal wzorcowej postaci rzeczy z powszedniej, codziennej rzeczywistości. Jest realistą moralistycznym, na pograniczu spraw ostatecznych. Wyobraźmy sobie, jeżeli to w ogóle możliwe, skrzyżowanie kafkowskiego Józefa K. ze swiftowskim Gulliverem.

— W kluczowej, a w każdym razie bardzo ważnej, rozmowie Zimina z synem Narratora pada zdanie o „wulgarnym” wyjaśnieniu istoty komunizmu. Interpretacja „wulgarna” polega na tym: komunizm jest aplikacją „socjalności” nagiej, praw „socjalnych” ludzkiego postępowania w kolektywie pozbawionym sztucznych ograniczeń i hamulców cywilizacji (tradycyjnych obyczajów, moralności, prawa, religii, własności, sztuki). Właśnie tutaj, w wykładzie Zimina na użytek młodego studenta moskiewskiego, pojawia się twierdzenie że Sołżenicyn w swojej krytyce marksizmu i poszczególnych faktów (darujmy Ziminowi eufemizm!) życia sowieckiego nie dostrzega „przerazającej normalności” komunizmu. Wulgarnie czy raczej banalne po prostu, to twierdzenie podpira się równie banalną na pozór formułą: „Socjalizm jest przede wszystkim zburzeniem tworców cywilizacji — które u nas nazywają instytucjami klasowego społeczeństwa wyzysku — i stworzeniem warunków, umożliwiających odgrywanie decydującej roli prawom życia kolektywnego”. Formuła banalna na pozór; a czuje się w niej przecież głęboką i sprawdzoną w doświadczeniu prawdę, z której niewiele sobie robią mistrzowie „ideologicznego” przelewania z pustego w próżne, „naukowi” kapłani marksizmu-leninizmu. Zinowiew, dramatyzując pozorną banalność, dociera do korzeni systemu.

— Jak żyją ludzie zajęci wyłącznie walką o byt, w ramach nagiej „socjalności” kolektywu, uwolnieni od wszelkich hamulców cywilizacyjnych? Z tego uwolnienia rodzi się niewola prymitywnych praw zwierzęcych: kto kogo? W *Świetlanej przyszłości* mowa wprost o komunizmie i socjalizmie, ale oba terminy są tak zużyte i wytarte w debatach „ideologiczno-doktrynalnych”, że lepiej chyba pamiętać o „socyzmie” z *Przepastnych*

wyżyn, o genialnym wynalazku ibkańskim z jego posmakami ironicznej alegorii, z jego funkcją wyznacznika sytuacji zerowej. Zinowiew, także w *Świetlanej przyszłości*, ma wzrok wyostrzony na sytuację zerową, na to co się kryje za parawanem tekstów, słów, hasel, przemówień. Jest podobny do Swifta: Gulliver w krainie Yahoo; dziekan katedry Świętego Patryka w Dublinie, który w *Skromnej propozycji* radzi z nieodpartą logiką zabijać i zjadać dzieci irlandzkie, dla przeciwdziałania rosnącej na wyspie nędzy, dla wprowadzenia regulacji urodzin i (dodatkowo) dla przetrzebienia szeregów „papistów”. W jednym i drugim wypadku zabieg imaginacyjny Swifta sprowadza ludzi do poziomu przedcywilizacyjnego, pokazuje czym są lub mogą być bez hamulców. Zinowiew nie musi sobie zanadto pomagać wyobraźnią, jest kronikarzem namacalnego, stosowanego *hic et nunc* „socyizmu”, konsekwentnego i codziennego pochodu ku „przepastnym wyżynom” i „świetlanej przyszłości” w społeczeństwie wyzutym programowo z osobowości ludzkiej.

— Zgoda na Swifta. Ale skąd Kafka?

— Kiedy Zinowiew pisze w swojej formule socjalizmu o „stworzeniu warunków, umożliwiających odgrywanie decydującej roli prawom życia kolektywnego”, dodaje natychmiast że „rozbudowywany jest ogromny aparat władzy, który przylega ściśle do tych warunków”. Między „socjalnością” elementarną kolektywu, zepchniętą w szranki „kto kogo?”, i ogromniejszą wciąż Władzą nie ma komunikacji innej poza jednokierunkową, z góry w dół, wydawaniem rozkazów, zakazów, wyroków. Kafkowska samotność człowieka wobec sił wyższych, w obliczu nieosiągalnej i nieprzenikalnej Władzy, nie ma naturalnie u Zinowiewa charakteru metafizycznego. Zinowiew opisuje „jednostkę społeczną którą społeczeństwo urabia wbrew jej woli”, a nie „osobowość jaką człowiek staje się z własnej woli i wbrew społeczeństwu”. Ale tkwi coś z ducha Kafki w nieskończonym dystansie, działającym z inowiewowskiego *soczeka* od Zamku Władzy; w Metaforozie gatunku, która ludzką osobę zamienia w „jednostkę społeczną”; i w nieustannym Procesie, zawieszonym nad głową każdego *soczeka* przez Trybunał Władzy. Ekskluzywna „socjalność” kolektywu skazuje bohaterów Zinowiewa na bezgraniczną samotność społeczną.

— Córka Narratora odbiera sobie życie, dowiedziawszy się przypadkiem, że jej ojciec zadenuncjował niegdyś Zimina. Młoda dziewczyna łamie, suwerennym gestem, „prawa życia kolektywnego”: samobójstwo jest skrajną i jedyną zarazem formą afirmacji osobowości w społeczeństwie bez hamulców. Obok zbuntowanej i rozgadanej Lenki przemyka się ukradkiem w *Świetlanej przyszłości*, niby epizodycznie lecz z ekspresyjnością żywego symbolu,

milcząca Pijana Starucha. Narrator widuje ją niekiedy z okna swego mieszkania, pochłoniętą zbieraniem odpadków i starych łachów, obojętną na otoczenie, popychającą na osłep przed siebie śmieciarski wózek. „Gdy widywałem Pijaną Staruchę lub myślałem o niej, ogarniało mnie takie uczucie jak gdybym zapomniał o czymś bardzo ważnym, w żaden sposób nie mogąc sobie przypomnieć o czym mianowicie”. Motyw niezmiernie istotny w *Świetlanej przyszłości*, skoro zamyka książkę. „A jednak zbudujemy komunizm” — mówi do siebie głośno na ulicy Narrator, rozbity śmiercią córki i porażkami osobistymi. „Przestraszyłem się, że przechodnie spojrzą na mnie drwiąco. Ale nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Taszczyłem mój bezsensowny wózek obok nich, wśród nich, w jakimś nieistniejącym dla mnie przekroju bytu. Dokąd?”.

— Tłumaczenie symbolu jest zawsze żenujące, niszczy jego aluzyjność. Tu jednak chciałoby się zaryzykować przypuszczenie, że Zinowiew czytał wydaną po rosyjsku za granicą *Przygodę biednego chrześcijanina* Silonego. Jest tam piękna scena pojedynku słownego między papieżem Bonifacym VIII i uwięzionym w pałacu Caetanich w Anagni trzynastowiecznym świątobliwym mnichem abruzyjskim Fra Pietro da Morrone, który wyrzekł się tronu papieskiego po sześciu miesiącach panowania pod imieniem Celestyna V. Mówiąc o rzeczywistości z którą należy się liczyć (powiada Fra Pietro) ty, Ojciec Święty, masz na myśli instytucje i władzę, a ja dusze ludzkie. Bonifacy VIII wzrusza ramionami: po cóż taki wyraźny podział, czyżby dusze ludzkie nie zależały od instytucji? Na co Fra Pietro: „Bóg stworzył dusze, nie instytucje. Nieśmiertelne są dusze, nie instytucje, nie królestwa, nie armie, nie kościoły, nie narody. Ojciec Święty, jeżeli wychylisz się z tego okna, zobaczysz na schodach katedry obdartą staruchę, żebraczkę, istotę bez znaczenia w życiu naszego świata; prześiaduje na schodach od rana do wieczora. Lecz za milion lat, za tysiąc milionów lat, istnieć będzie jeszcze jej dusza, gdyż Bóg stworzył ją nieśmiertelną. A tymczasem Królestwo Neapolu, królestwa Francji i Anglii i wszystkie inne, ze swoimi wojskami, trybunałami i fanfarami, obróca się w nicłość”.

— Więc o tym zapomniał Narrator *Świetlanej przyszłości*, tego nie mógł sobie w żaden sposób przypomnieć, śledząc z okna Pijaną Staruchę? I to ciągnął na swoim bezsensownym wózku, nie wiedząc dokąd, mamrocząc pod nosem o budowie komunizmu, brodząc w nieistniejącym dlań przekroju bytu, zinowiewowski soczek w ostatnich słowach książki?

— Gdzieś w głębi, pod „przeróżającą normalnością”, czeka cierpliwie w milczeniu inna realność, pogwałcona i zdławiona.

30 czerwca

Sołżenicyn wygłosił w Harvard, z palcem wbijanym co kilka minut jak miecz ognisty w dość roztargnione i sceptyczne audytorium, swój *Untergang des Abendlandes* a raczej *Zakat Zapada*. W komentarzach i polemikach nazywany jest najczęściej, nie bez osłanianego dłonią grymasu pozieywania, Prorokiem; czasem dokładniej Jeremiaszem, albo Savonarolą. Nikt, jak dotąd, nie wspomina Spenglera i jego tezy o utracie przez Zachód „ducha faustowskiego”. Słuszna uwaga Revela: rosyjski Prorok, wynurzywszy się po trzech latach milczenia z pustelni w Vermont, dostarczył szeregiem spornych twierdzeń pretekstu wszystkim, którzy wolą nie słyszeć tego co jest w jego kaznodziejskiej oracji bezsporne. Widać to na przykładzie przepytywanych w prasie luminarzy Abendlandu: w większości wypadków robią wrażenie prowincjonalnych kauzyperdów, skaczących do oczu Prorokowi tym zapalczywiej, czepiających się jego drugorzędnych i wątpliwych zarzutów z tym obfitszą pianą na ustach, im bardziej chcą zagłuszyć główny i gromki ton proroctwa autentycznego.

Proroctwo autentyczne, bezsporne, da się ująć tak: dwa zderzające się w świecie systemy są według Sołżenicyna ukształtowane wokół dwóch ekstremów — całkowitego braku wolności i jej nadmiaru; nie ma potrzeby dowodzić który jest wyższy, lecz nie ma też powodu ukrywać że absolutny, niczym nieokiełznany „permissywnizm” prowadzi do zaniku odwagi cywilnej, bezinteresowności, zdolności do poświęceń, równowagi praw i obowiązków, sakralnego czy choćby tylko moralnego wymiaru życia, do „antropocentrycznej” egzaltacji jednostki jako produktu pełnej „autonomii humanistycznej”, do degradacji walorów duchowych na rzecz swoistego nienasycenia materialnego; jeżeli Zachód nie zatrzyma się na tej drodze, nie opamięta się i nie powściągnie swej zachłanności materialnej, nie nałoży dobrowolnie ograniczeń własnej wolności, nie przewycięży swojej miernoty moralnej i rosnącej pustki duchowej, nie odzyska miary ludzkiej i boskiej, na dalszą metę ulegnie naporowi zniewolonego Wschodu.

Kolektyw bez hamulców w opisie kronikarza Ibańska, jednostka bez hamulców w profetycznej i apokaliptycznej wizji krytyka Abendlandu. Zinowiewa i Sołżenicyna łączy impuls, który określiłbym jako „anachroniczną” rehabilitację Dziesięciorga Przykazań (o konieczności „powrotu do Dziesięciorga Przykazań” Bucharin mówił Nikołajewskiemu podczas paryskiego spotkania w roku 1935). Oto rosyjska edukacja rewolucyjna, niestrawna na ogół dla Zachodu. Jeden tylko komentator harwardzkiego kazania, publicysta włoski, zrozumiał jego sens. „Komunały”

Sołżenicyna zestawiał z „komunałami” słynnej dantejskiej *orazion picciola* Ulissesa: *Considerate la vostra semenza: fatti non foste a viver come bruti, ma per seguir virtute e conoscenza*. „Zważcie początki wasze: nie stworzono was byście żyli jak bestie, lecz byście za cnotą zdążali i wiedzą”.

Dragonea, 10 lipca

Naga „socjalność” z *Świetlanej przyszłości* ma swój odpowiednik, wcale nie na antypodach, w nagiej „nacjonalności”. Formuła stosownie przerobiona brzmiałaby z grubsza następująco: „Nacjonalizm jest przede wszystkim zburzeniem tworców cywilizacji — które nacjonalisci nazywają instytucjami pluto-judeo-liberal-demokratycznego społeczeństwa wyzysku — i stworzeniem warunków, umożliwiających odgrywanie decydującej roli prawom czystego kolektywu narodowego”. Metamorfoza gatunku zamienia ludzką osobę w „jednostkę nacjonalną”.

Klasyczną „jednostkę nacjonalną” obserwował i prowokował ciągłymi pytaniami do spowiedzi Kazimierz Moczarski w okresie dziewięciu miesięcy 1949 roku, we wspólnej celi Więzienia Mokotowskiego. Jürgen Stroop, generał SS o wyglądzie plebejskiego nieco wojownika ze szczepu Nibelungów, o mózgu (bardziej sępim niż orlim) i aspiracjach małomieszczańskiego arrywisty, ulubieniec Himmlera i Hitlera, wykonawca licznych „rozwiązań ostatecznych”, pogromca powstania w getcie, likwidator żydowskiej „dzielnicy wyłączonej” w Warszawie. *Rozmowy z katem* Moczarskiego są książką niebywałą, przewyższając chwilami *Eichmanna w Jerozolimie* Hanny Arendt. Nic tak jak pobyt w celi więziennej, monotonia życia za kratami przzerwana nagle posiadaniem pilnego i uważnego słuchacza, nie pobudza ostrego głodu obnażania się, nie wywołuje tej szczególnej dyspozycji psychologicznej, w której wdęciu próżności i szczeroci prymitywa towarzyszy natychmiast biegunka elokwencji. Śledztwo, ekspertyzy biegłych, sąd (jak w wypadku Eichmanna obserwowanego przez Hannę Arendt), to mniej czy więcej skuteczne środki na wstrzymanie.

„Kto chciał być prawdziwym człowiekiem, to znaczy silnym, musiał działać jak ja. *Gelobt sei was hart macht!*” (prawdopodobnie jedyne zdanie Nietzschego, jakie Stroop znał). „Litość i współczucie są szkodliwe w wojsku, polityce i życiu publicznym... Nakazem działań patriotycznych, narodowych, jest skuteczność, a nie tak zwana moralność... Uznaję miłość bliźniego tylko wobec Niemców, którzy budowali z nami Trzecią Rzeszę... Żydzi nie mają, nie są w stanie mieć, poczucia honoru i godności.

Przecież Żyd nie jest pełnym człowiekiem. Żydzi to podludzie. Mają inną krew, inne tkanki, inne kości, inne myśli niż my Europejczycy, aryjczycy, a zwłaszcza nordycy”. Raz jeden w ciągu dziewięciu miesięcy Moczarski miał prośbę do Stroopa, opisującego *Grossaktion in Warschau*. Stroop: „Najpierw wyciągnęliśmy z bunkra matkę Żydówkę. Półprzytomna, brudna, blada, cera piwniczna, patrzy jak zahipnotyzowana w otwór bunkra, gdzie pozostało jej dziecko, maleńki synek...”. Moczarski: „Niech pan nie mówi dalej, niech pan milczy! Panie Stroop, niech pan nic nie mówi, proszę”. Siewca śmierci bał się jednak sam śmierci. Zabrakło mu odwagi do popełnienia samobójstwa po runięciu Trzeciej Rzeszy, na procesie gotów był w zamian za darowanie życia wystawić świadectwo „bohaterstwu Żydów i pomagających im Polaków”, w przeciwnym razie szykował się do zeznania że „żydowski opór w getcie był głównym i zabawką, i że Polacy patrzyli obojętnie a nawet aprobująco na likwidację Żydów”.

Ale *Rozmowy z katem* są połową sterczącej z morza góry lodowej. Drugą połowę odsłania Aniela Steinsbergowa w książeczce *Widziane z ławy obrończej*. Moczarski, cierpliwy indagator więzienny Stroopa, był w tym samym 1949 roku poddawany czterdziestu dziewięciu rodzajom tortur w ramach „piekielnego śledztwa”, które mu zapowiedzieli Romkowski i Różański. „Dla poniżenia go kazano mu wymalować na czole anilinowym ołówkiem napis *Gestapo*, osadzono w celi z Jurgenem Stroopem, katem getta warszawskiego... Moczarski zaprotestował ogłaszając głódówkę, którą brutalnie złamano. Do celi Stroopa wrzucono go siłą zbitego i skrwawionego... Przy torturowaniu byli obojście obecni Różański i Fejgin”.

Myślę że w przyszłości, gdyby nie okazała się nazbyt „świetlana”, wydanie książki Moczarskiego z tekstem Steinsbergowej w aneksie (i z jego własną pełną relacją o „rozmowach” prowadzonych w przerwach rozmów ze Stroopem, jeżeli istnieje i zachowa się w papierach pośmiertnych) będzie prawdziwym zapisem polskiego „mojego wieku”; mostem „nacjonalno-socjalnym” między nazistami doskonałymi i komunistami doskonałymi.

15 lipca

Ucichło nawet szczekanie psów w Dragonei, w Padovani, w Jacanti: najgłębszy moment nocy, od niego zaczyna się wolno przecierać świt. Przebrnąłem przez dziennik Normana Lewisa *Naples 1944*. Mój Neapol z tego okresu — przelotny, kilkuniedniowy, w drodze z Sorrento na front — był taki sam. I podobny jest Neapol 1944 w *La Pelle* Malapartego. Pod powłoką

blażenady, szachrajstwa, diabelskiej pomysłowości, niezmiernie gorycz neapolitańska; jak w sztukach Eduardo De Filippo. Lewis odnotowuje w dzienniku rozprawę sądową przeciw starymu Neapolitańczykowi, u którego znaleziono części amerykańskiego umundurowania wojskowego (pamiętam jak się ten proceder odbywał: żołnierzy amerykańskich, przeważnie Murzynów, zwabiano wieczorami do któregoś z zakazanych zaułków czyli po prostu kurwidółków, sycono płatną miłością i pojono winem z domieszką proszków nasennych, po czym rozbierano do bielizny i wynoszono do sąsiednich zaułków przed porannym objazdem łazików żandarmerii). Stary coś plecie pod nosem. Młody amerykański sędzia wojskowy każe sobie to przetłumaczyć. „Ach, nie warto panie sędzio, gada głupstwa, twierdzi że za Niemców jadało się w Neapolu raz dziennie, a za Amerykanów jada się raz na tydzień”. „Co takiego? Nic dla niego nie znaczy wyzwolenie Neapolu spod jarzma faszyzmu?”. Stary wykonuje ordynarny gest ręką przytkniętą do genitaliów, poruszając bezzębnymi ustami. „Co on znowu gada?”. „Nie warto tego tłumaczyć, panie sędzio, twierdzi że Niemcy czy Amerykanie to dla niego wszystko jedno; wysysali nas jedni, wysysają teraz drudzy”. „Dość, wyprowadź go z sali! Sprawa umorzona”. Stary kłania się nisko: „Życzę panu sędziemu liczne potomstwa; i samych synów”. Dla przeciwnego Neapolitańczyka funkcję wysysania przejął dziś Rzym, *la capitale sanguisuga*, stolica pijawka.

Przypomina mi się wypadek do oswobodzonego Rzymu, po bitwie pod Monte Cassino. Był wygłodzony, z kolejkami po wodę, w nieustannym poszukiwaniu byle czego do zjedzenia. Z zapadnięciem zmierzchu na słabo oświetlonym placu San Silvestro, skąd odchodziły zamiast autobusów rozklekotane kamionetki do różnych dzielnic miasta, wystawał tłum kobiet. Tam przychodzili żołnierze z puszkami wyfasowanych konserw. Skojarzone w ten sposób pary, czasem bez wzajemnego zajrzenia sobie w twarze, wciskały się do odpowiednich kamionetek. W tłoku na San Silvestro poznałem miłą nauczycielkę M., wojenną wdowę i matkę dwojga dzieci. Nasza przyjaźń przetrwała dłużej, niż zwykle jednodniowe schadzki sołdackie. Do *V-Day*, w którym dostałem od niej karteczkę: „Nie zobaczymy się nigdy więcej, skończyła się wojna”.

19 lipca

Znowu Guido Morselli, znowu jego książka z za grobu! Która z kolei? W każdym razie chyba ostatnia, bo nieukończona. Pisał za życia te swoje książki, wysyłał manuskrypty do rozmaitych

wydawców, dostawał krótkie i grzeczne odpowiedzi odmowne. Aż pewnego dnia miał dosyć i strzelił sobie w łeb. Od paru lat wydaje się wszystko co zostawił w szufladach, kreując go na „współczesnego klasyka”, stawiając obok księcia Tomasi di Lampedusa (pisarz tej miary co Vittorini odrzucił *Gattopardo*, w rzymskim szpitalu umarł autor arcydzieła znanego tylko z kilku rozdziałów w kółku palermitańskich przyjaciół i uczniów). Lektorami w wydawnictwach nie powinni być pisarze i zawodowi krytycy literaccy.

Un dramma borghese jest subtelnym studium pierwszej miłości młodej dziewczyny do własnego ojca. Nie bardzo rozumiem dlaczego „dramat mieszczański”, przykro byłoby pomyśleć że również inteligentny Morselli zaraził się modą na „socjologizm”, chcąc może w ten sposób wkupić się w łaski włoskiego dworu kulturalnego. W opowiadaniach o pierwszej miłości, niezależnie od ich osobliwości erotycznych, „wymiar społeczny” nie odgrywa żadnej roli. Ziemiańska jest *Pierwsza miłość*, najpiękniejsza dla mnie nowela Turgieniewa? Mieszczański jest młodzieńcy *Agostino Moravii*, śliczna opowieść o miłości dorastającego chłopca do własnej matki? Dramat z wyższych sfer rozgrywa się anonimowej angielskiej *Olivii*, historii dziewczyny zakochanej w nauczycielce na pensji żeńskiej? Proletariackie zabarwienie ma *Ernesto* poety triesteńskiego Umberto Saba, w którym chłopiec na posyłki przeżywa wtajemniczenie miłosne w związku homoseksualnym z robotnikiem?

Zagadkowa poetyckość opowiadań o pierwszej miłości zależy od trudno uchwytnego styku: przebudzenia do życia na wąskiej i śliskiej krawędzi śmierci. Jak gdyby gwałtowności uczucia, więcej: radości i zarazem bojaźliwego odkrycia, towarzyszyła krok w krok całkowita bezbronność podobna do odarcia ze skóry. Morselli wiedział o tym dobrze, ale w swojej powieści niepotrzebnie kazał sięgnąć w końcu młodzieńczej bohaterce po rewolwer; mieszczańska, w dramacie pierwszej miłości, jest melodramatyczność kropki nad i. Postawił ją jednak człowiek, dla którego wkrótce potem miała się hukem wystrzału urwać nieodwzajemniona miłość do literatury.

24 lipca

Siedem lat — biblijny trud — pracował Moravia nad swoją nową powieścią *La vita interiore*. I odpocząć zamierza też biblijnie, na zawsze: „To moja ostatnia powieść, pisanie powieści jest fizyczną męczarnią”. Tomiszczce sprzedaje się w księgarniach jak *hot cakes*, przypuszczalnie obciąża co dziesiątą walizkę rodzin

włoskich w drodze na wakacje. Letnia, orzeźwiająca krynica kultury Abendlandu; obowiązkowa lektura sezonu po dalszym względnym rozrzedzeniu (dzięki wyborowi Pertiniego) morowego powietrza we Włoszech. Nawet gdybym miał na to ochotę, nie wolno mi w dzienniku przejść nad rzymskim *Życiem wewnętrznym* do dragonejskiego porządku dziennego.

„Życie wewnętrzne” należy rozumieć, chociaż niezupełnie takie są intencje piewcy Abendlandu z Wiecznego Miasta, jako penetrację i eksplorację bebeczków seksualnych. Nie zaliczam się do czytelników pruderyjnych, lubię pornografię jeśli okraszona jest odrobiną bodaj wdzięku, jestem przysięgłym admiratorem *Fanny Hill*, ale przy kosztowaniu owocu siedmiu biblijno-galer niczych lat Moravii nie łatwo obronić się przed mdłościami. Upór w lekturze wymaga przedstawienia oka o jedną kreskę podziękki: śmiertelna powaga autora sąsiaduje, na szczęście, z niezamierzonym i niepohamowanym komizmem. Przy wtórze cichych chichotów, czy miejscami głośnych wybuchów śmiechu, można jako tako pograżać się stopniowo w „filozoficznych” otchłaniach *Życia wewnętrznego*.

Powieść ma formę wcale oryginalną. Na czterystu stronicach toczy się wywiad autora („Ja”) z rzymską smarkułą z bogatej i „szykownej” dzielnicy Parioli (imieniem Desideria). Smarkuła jest „prawiczką”, a ponieważ nawiedza ją Głos, godzimy się chcąc nie chcąc wraz z autorem na to, że uważa się sama za nowoczesną inkarnację Joanny d’Arc, za Dziewicę Pariolitańską. Owym Głosem z zaświatów jest, zbyteczne dodawać, Rewolucja *tout court*: nie „mętny potok rewolty”, lecz „wielkie przeczyste morze Rewolucji”. Głos nakazuje „prawicze” z Parioli wysoko sprzedać dziewictwo: tylko i wyłącznie rycerzowi (powiedzmy z Czerwonych Brygad), który zdefloruje ją męskim organem „rewolucyjnym” i uczyni z niej „lewiczkę”. Dojdzie do tego w epilogu powieści, lecz w trochę inny sposób, niż sobie wymarzyła Dziewica Pariolitańska pod wpływem zwodniczego Głosu. Czy mogła biduła przewidzieć, wzdychając do brodatego Marksa na wysokościach, że jego deflorujący wysłannik przybierze postać półdzikiego bandziora-terrorysty z fabryki mediolańskiej? Tymczasem zaś, zanim przeobrażenie „prawiczki” w „lewiczkę” pozostawi jej w buzi mulisty smak „rewolucyjnego” kaca, kwitnie w powieści bujne „życie wewnętrzne” przy wydatnym udziale figur drugoplanowych: masturbacyjne, analne, oralne, itepe, itede. „Wielkie przeczyste morze Rewolucji” niewiele potrafi zdziałać dla oczyszczenia bebeczków „rzeczywistości”. Opatrzność („filozoficzna”, rzecz jasna, a nie boska) przymruża złośliwe i smutne ślepie. Odpływa w sino-czerwoną dal przewrotny Głos.

I pomyśleć że ten niebotyczny kretynizm nosił w sobie siedem lat, jak drogocenny płód, jeden z najważniejszych kandydatów Abendlandu do nagrody literackiej Nobla, pisarz niegdyś wnikliwy, terminator Dostojewskiego...

31 lipca

Parę dni temu „bomba” w *Humanité*, ekshumacja zwłok Trockiego i coś w rodzaju przygotowań do jego „rehabilitacji”: w dwóch fragmentach pamiętników komunista meksykański Valentin Campa opisuje kulisy zamordowania Trockiego, ujawniając po raz pierwszy że Stalin powierzył misję likwidacji swego przeciwnika nie tylko profesjonalistom z NKWD, lecz i zagranicznym towarzyszom z *Kominternu*. Pociągnięcie Marchais wygląda na wywiązanie się z ustalonego podziału ról. Od dawna już komuniści włoscy przymierzają się do „rehabilitacji” Bucharina (jego syna odwiedził w Moskwie korespondent *Unità*), teraz na komunistów francuskich spada obowiązek otworzenia trumny z dziurawą czaszką Trockiego. Nie trafia mi do przekonania żadna z wysuniętych na gorąco interpretacji tych cmentarnych manewrów eurokomunistycznych. W mojej własnej punktem centralnym jest kolczasta kwestia „leninizmu”. Carrillo zdecydował się na rozbrat, Berlinguer i Marchais usiłują obejść wilczy dół szantażem wobec Moskwy: jeżeli upieracie się przy leninizmie, uważając zerwanie z nim za zdradę, to pamiętajcie że Lenin nazywał Bucharina „ulubieńcem partii” a Trockiego „orłem rewolucji”; i do śmierci nie zmienił o nich zdania. Więc jedno z dwojga: albo leninizm z Bucharinem i Trockim, i bez Stalina; albo przestańcie powarkiwać groźnie, jakby chodziło o gardłową sprawę dogmatyczną, ilekroć próbujemy zagrzebać leninizm w milczeniu i zastąpić wierność dogmatowi apologią (krytyczną w miarę) sowieckiego socjalizmu „realnego”. Zagrywka jest dość misterna, bo implikuje włączenie do eurokomunistycznego *Totentanzu* „przewartościowanego” Lenina.

Z okazji „bomby” *Humanité* Leo Valiani — w młodości komunista i uczestnik wojny domowej w Hiszpanii, dziś historyk socjalizmu i czołowy włoski publicysta polityczny — wspomina zbrojne najście komunistów meksykańskich na urządzoną w roku 1943 w stolicy Meksyku akademię żałobną, której głównymi mówcami byli Victor Serge i Julian Gorkin. Celem operacji, inspirowanej przez NKWD i w rezultacie nieudanej, było zamordowanie obu mówców, zwłaszcza Gorkina, odkrywcy tożsamości zabójcy Trockiego. Akademię urządzono nie ku czci Trockiego,

lecz ku czci Altera i Ehrlicha. I tak bez końca w historii „ruchu”, gdzie dotknąć — mordercy, ofiary i kandydaci na ofiary.

6 sierpnia

Carter uważa się za Świętego Ludwika? Jimmy Krzyżowiec wyobraża sobie, że jest w jego mocy nawrócić niewiernych? W imię jakiej Ewangelii? Ewangelii Helsinek? Świetne pytania „same w sobie”, jeszcze świetniejsze gdy stawia je powieściopisarz historyczny *de l'Académie Française*, deputowany RPR z okręgu paryskiego, b. minister, krótko mówiąc Maurice Druon goszczony w *Le Monde*. Dostałem dziś z Paryża ten wycinek, przed wrzuceniem go do kosza zawisła mi w powietrzu ręka. Niezrównana *clarté* francuska, niedościgniona zwięźłość konserwatysty i realisty politycznego, podszyta irytacją wobec wszelkiego autoramentu „krzyżowców”, prostaczków usiłujących zamącić i zatruć Wielką Politykę jakimiś „zasadami”! Jedna szpalta w *Le Monde* zastępuje kilkaset stron *The Cloud of Danger* Kennana. W *Prawdzie* nie będą musieli streszczać i przystrzygać wywodów francuskiego akademika-ministra, jego artykuł może być przedrukowany po rosyjsku w całości.

W kwaśny humor wprawiła Druona wiadomość, że po wyrokach w ostatnich procesach moskiewskich Carter wypina pierś i gędzi o represjach, grożąc wstrzymaniem eksportu do ZSSR wyposażenia technicznego do wierceń naftowych. „Czyżby sądził, że politykę zagraniczną prowadzi się metodą drobnych ogłoszeń w gazetkach lokalnych, w rubryce wymiany: Ofiarowuję udoskonalone maszyny wiertnicze za ułaskawienie dysydentów?”. Powinien chyba wiedzieć, jak się przedstawia sytuacja. Za pięćdziesiąt lat Związek Sowiecki ryzykuje przestoczenie się z eksportera w importera ropy, dla siebie i dla krajów Paktu Warszawskiego. Jeżeli Ameryka nie dostarczy mu nowoczesnej aparatury do eksploatacji ogromnych złóż na Syberii, będzie zmuszony albo zwrócić się do Japonii, albo wzmocnić „kontrolę strategiczną” źródeł naftowych i dróg do nich; czyli wejść głębiej jeszcze na Bliski Wschód i do Afryki. Ameryka zrozumie wtedy czym to pachnie, ale może już być za późno. Blokada kontynentalna niezbyt się udała Napoleonowi. Carter zamierza rzucić ZSSR na kolana, ogłaszając antysowiecką blokadę technologiczną? „Istnieją prowokacje, których należy się wystrzegać”. Ach, jaki zachwyty wzbudzi w *Prawdzie* słówko „prowokacje”, dwukrotnie użyte przez Druona! I jak rozczuli komentatorów swiekroch odmalowany jego akademickim piórem, natychmiast po ostrzeżeniu przed „prowokacjami”, obraz potęgi militarnej ZSSR w cyfrach! ZSSR

nie chce wojny, lecz nie boi się wojny. Demokracje zachodnie nie chcą wojny, lecz boją się wojny. „Prawa człowieka są piękną rzeczą; przetrwanie ludzkości jest jednak realnością, która również zasługuje na wzięcie pod uwagę”. Nie lepiej więc dać spokój prawom człowieka, uznać że zatrzymują się na linii Odry i Nysy (dopiero? czy są przestrzegane w NRD?), pogodzić się z faktem że słynny „trzeci koszyk” jest dla ZSSR pusty? „Rząd sowiecki dał jasno do zrozumienia, że jest panem na własnej zagrodzie, że opozycjonistom wyznacza miejsce tylko w więzieniach. Ostatnie wyroki skazujące miały to dobitnie wykazać, a deklaracje amerykańskie pogorszyły prawdopodobnie los skazanych”. Jaki z tego morał? „Carter ma dobre serce, wiadomo. Zawdzięcza mięśniowi sercowemu swoją karierę. Ale od ludzi o tęgich głowach” się roi. Cierpimy raczej na brak ludzi o tęgich głowach”.

Nie, nie możemy się dziś w Abendlandzie uskarżać na brak ludzi o tęgich głowach. Mimo to w Moskwie wyróżnią słusznie Druona: Tęga Głowa. I pomyśl, śmiejąc się w duchu do rozpuku, o zupełnie innej części ciała Członka Akademii Francuskiej.

Koniec sierpnia z *Tołstojem*

W stu pięćdziesiątą rocznicę urodzin *Tołstoja* fala obchodów i hołdów wzbiera w Rosji tak niepowstrzymanie, z takim biciem w kotły i dęciem w trąby, że rodzi się osobliwe podejrzenie. A może w sześćdziesiątą rocznicę nowego ustroju postanowiono usunąć w cień pospolitego bosiaka Gorkiego i na opróżnionym tronie pre-socrealizmu osadzić hrabiego w *tołstoje*, łącząc buntowniczo-rosyjski splendor pisarski i rodowy z historyczną legitymizacją współczesnej literatury sowieckiej? Byłby to zabieg tyleż zabawny, co zuchwały. Jedynym, literacko więcej niż skromnym a umyślowo dworackim, wkładem znakomitego rodu do nowego ustroju i jego piśmiennictwa pozostanie twórczość wyszarmawiano po proletariacku hrabiego Aleksieja.

Z drukowanych w prasie zagranicznej rozmów, jakie zachodni goście prowadzą w roku rocznicowym na temat *Tołstoja* z inteligencją moskiewską czy leningradzką, widać że wrzawa obchodów stała się niezłą okazją do „porachunków tołstojowskich” w ojczyźnie pisarza. Oczywiście tyłu *Tołstojów* ilu rozmówców, przeważa jednak admiraacja krytyczna. Na zestawieniu „dwóch największych” zyskuje Dostojewski, ale w sposób dość szczególny: jest odczuwany jako bliższy, „bardziej zróżniony z naszą straszną epoką”, przy równoczesnej tęsknocie do *Tołstoja* „ogarniającego świat z góry wzrokiem Stwórcy”. *Zmartwychwstanie*, o dziwo,

zdaje się niekiedy przyćmiewać *Wojnę i pokój* i *Annę Kareninę*. Trafiają się czytelnicy, dla których (jak i dla mnie zresztą) ważną sprężyną miłości do Tołstoja jest *Śmierć Iwana Iljicza*. U ostrzejszych admiratorów krytycznych słysząc pogłos Sołowiewa, jego ataku na „nihilizm i pseudochrześcijaństwo” Tołstoja, na religię zredukowaną wyłącznie do moralności racjonalnej i praktycznej. No i nieuniknione: kim był, artystą czy moralistą? Odpowiedź ma zawsze odcień wymówki: artystą, przede wszystkim artystą, wielkim artystą, ale chciał niestety być demiurgiem, założycielem nowej religii bez Boga. Czasem wymówka przechodzi w oskarżenie: chciał być sam Bogiem, spadkobiercą i następcą Chrystusa.

Nicola Chiaromonte zaczyna swój szkic *Tołstoj i sztuka* od wykpienia „dylematu”: artysta czy moralista? Twierdzić że Tołstoj moralista dławi i zniekształca, jeśli nie wręcz zdradza, Tołstoja artystę, to tyle co nie rozumieć pisarza dręczonego przez problemy, w obliczu których sztuka staje się faktem drugorzędnym. Ale i takie postawienie sprawy, w zasadzie trafne i usprawiedliwione potrzebą reakcji na banał „dylematu”, grzeszy pewną schematycznością. O wielkości sztuki Tołstoja decyduje wspaniała naturalność, z jaką wytryska ona ze źródła, określonego przez niego samego przykazaniem: „żyć na serio”.

Rilke zanotował po wizycie u Tołstoja: „Kiedy zobaczyłem tego starca, który poświęcał swoją sztukę i swoją chwałę w imię szukania siebie samego i prawdy, który narażał na szwank swoją sławę robieniem głupstw, miałem wrażenie że nie zatracił się i nie gubił lecz odnajdywał”. Także Rilkego, chociaż należał do załamujących ręce nad „poświęcaniem sztuki”, uderzył blask czegoś niespodzianego: człowiek i artysta, żyjąc i pisząc na serio, rośli razem. A że w przebiegu i zwłaszcza epilogu tego wzrostu doszły do głosu elementy tragedii szekspirowskiej, jest całkiem odrębnym rozdziałem dziejów Króla Lira z Jasnej Polany.

Tomasz Mann nazwał Tołstoja „ulubionym, wybranym synem natury”. Tołstoj był nim rzeczywiście w tym sensie, że w jednym jego życiu natura zgromadziła jak gdyby wszystko, co zazwyczaj rozłożone jest na wiele biografii i dzieł ludzkich; wszystkie wloty i upadki, zwycięstwa i porażki, aspiracje i zwątpienia, pasje i nudy, szczęścia i nieszczęścia, wszystkie sprzeczności i konflikty wiary i rozumu, całą gamę charakteru człowieka od dumy do pokory, od egocentryzmu do roztopienia się w uniwersalnym, od czujności sumienia do jego zaciemnień, od wybuchów energii i śmiałości do napadów zniechęcenia i lęku. Otrzymawszy od natury wszystko, doszedł łatwiej do granicy swego stanu posiadania.

„Moje życie według nauk świata było męką, moje życie według nauk Chrystusa dało mi szczęście”. Najczęściej mówi się o „naturalnym chrześcijaństwie” Tołstoja, niektórzy przypisują mu ambicję sformułowania własnej „heretyckiej wersji chrześcijaństwa”. Ścisłejsze byłoby widzieć w nim wyznawcę religii „jako takiej”. Przeciwstawiał ją hedonizmowi i sceptycyzmowi. „Od niepamiętnych czasów religie służyły do wyznaczania nam miary uczuć ludzkich”. Albo: „Pojęcia religijne są zawsze wskazówką przyszłości, czyli nowych stosunków człowieka ze światem zewnętrznym”. Społeczeństwo porównywał do rzeki, w której „prądem jest świadomość religijna; jeśli rzeka płynie, to dlatego że istnieje impuls prądu; jeśli społeczeństwo żyje, to dzięki prądowi świadomości religijnej”.

Ale jest chyba prawdą że, przytomnie czy bezwiednie, igrał też z pokusą przekroczenia granicy swego stanu posiadania. Stąd właśnie pomówienia, że pragnął być demiurgiem, założycielem nowej religii bez Boga, a nawet samym Bogiem i następcą Chrystusa. Obojętne w jakim stopniu te pomówienia są uzasadnione; istotne jest, że ocierają się o rzeczywisty, podskórny motyw w tragedii Tołstoja. Kiedy zbliżyła się do finału, u schyłku jego życia, w dzienniku intymnym pisarza pojawił się zapis wstrząsający: boski pretendent przestawał być pewny w jakiego Boga wierzy, chwilami tracił w ogóle rozeznanie jak trzeba Go pojmować. Domykał się krąg historii „ulubionego, wybranego syna natury”. Dane mu było, w obrębie jednego życia, doświadczyć naprawdę wszystkiego.

„Religia nie może być tylko formą. Religia musi być wszystkim”. Tołstoj? Nie, Dostojewski. Przesadny jest nacisk, z jakim umieszcza się „dwóch największych” na przeciwstawnych biegunach. Z ust Dostojewskiego wydobył się okrzyk „straszne jest to, że istnieję”. Wtórował mu Tołstoj: „Postępujcie tak, by wasze życie było użyteczne, cnotliwe, szczęśliwe, mówią ludzie; lecz szczęście, użyteczność, cnota sprowadzają się do jednej rzeczy, którą zrozumiałem po trzydziestu dwóch latach życia: że nasza sytuacja jest straszna”. Tołstoj też głosił, że „świat w którym żyjemy opiera się na zabójstwie”. A w trzydziestym roku życia wyznał w dzienniku: „Moją jedyną potrzebą jest pracować i zapomnieć. Zapomnieć o czym? Zapomnieć, że żyję”.

Natomiast, i tu tkwi główna różnica, Tołstoj nie zgodziłby się nigdy ze słynnym listem Dostojewskiego o „prawdzie i Chrystusie”. Gdybym musiał wybrać między prawdą i Chrystusem, pisał Dostojewski, „pozostałbym z Chrystusem”. Tołstoj, zmuszony do takiego wyboru, pozostałby z prawdą. Ale za jaką cenę?

Krewnym Starca Zosimy jest tołstojowski Ojciec Sergiej. Święty anachoreta, niegdyś błyskotliwy oficer, odkrywa któregoś dnia prawdę: jego ascetyzm jest postacią dumy, jego świętość kłamstwem, jego pancierz przeciw pokuszeniom zła kruchą blachą. Porzuca swoją pustelniczą chatę, wychodzi na drogę, aby zniknąć w ludzkiej masie. Ceną prawdy staje się desperackie utonięcie w tłumie. Niezbyt odległe od ucieczki z Jasnej Polany.

◆
Listy Tołstoja, jest ich około dziesięciu tysięcy, wydany w rocznicę wybór włoski liczy 1.250 stron. Był epistolografem (i w niektórych listach, szczególnie do „cioteczki” damy dworu, epistolo-grafem) wybornym, pasjonującym, wypracował sobie gatunek w połowie drogi między twórczością pisarską *sensu stricto* i dziennikiem intymnym. Kiedyś, jako bardzo młody człowiek, złożył w dzienniku deklarację: „Podczas pisania pragnę jednej tylko rzeczy: by człowiek, człowiek bliski memu sercu, radował się tym czym ja się raduję, oburzał na to na co ja się oburzam, płakał moimi łzami. Nie odczuwam potrzeby przemawiania do całego świata”. Z biegiem lat opanowywała go coraz bardziej „potrzeba przemawiania do całego świata”, lecz nie słabło jednocześnie pragnienie „by człowiek bliski sercu” dzielił z nim radość, oburzenie, rozpacz. Wyładowywał to pragnienie w listach.

W roku 1906 zapewniał Czertkowa w liście, że cała bieda tkwi „w złudzeniu samych siebie, własnego ja, które nie istnieje i nigdy nie istniało”. Istnieje tylko Bóg, „a ja jestem Jego przejawem... jestem wyłącznie otworem przez który przepływa życie, jestem niczym”. W trzy lata później, w euforycznym liście do tegoż Czertkowa, słał własne ja, „o wiele ważniejsze od Lwa Tołstoja”. Choć tego wprost nie powiedział, chodziło mu o „ja boskie”. Do „boskiego ja” wrywał się nieustannie; i ciągle pętało go „nic”, przez które „przepływa życie”; życie umiłowane namiętnie przez twórcę *Wojny i pokoju* i *Anny Kareniny*. Tołstoj to ponawiana bez przerwy, z dramatycznym uporem, próba wydobycia się z „ja personalnego” i połączenia z „ja boskim”. A druga „osoba” dramatu? Wkrótce po ożenku pojawił się w dzienniku zapis: „Obsuwam się, obsuwam na równi pochyłej śmierci, nie dostaje mi sił by się zatrzymać. Nie chcę śmierci, chcę nieśmiertelności i kocham ją”. W *Spowiedzi* lękał się już nazywać śmierć po imieniu, pisał z zabobonna ostrożnością „ona”. Więc kto wygrał w pojedynku: boski pretendent czy „ona”? Można jedynie bez komentarza powtórzyć, w stu pięćdziesiątą rocznicę urodzin autora *Śmierci Iwana Iljicza*, jego ostatnie słowa w dzienniku po ucieczce z Jasnej Polany: „Może myślę się z po-

trzeby samousprawiedliwienia, wierzę jednak że ocaliłem samego siebie; nie Lwa Nikołajewicza, lecz ocaliłem tego, który nie zawsze, chwilami tylko i bodaj trochę, jest we mnie”.

28 sierpnia

Wczoraj pochowano w Pescina dei Marsi, rodzinnej wsi-mieście Silonego w Abruzzach, urnę z jego zwłokami spopielonymi w Genewie. Umarł w Szwajcarii, gdzie był długo emigrantem. Gdy raz w jego rzymskim mieszkaniu zdarzyło mi się poskarżyć na mój emigrancki los, uśmiechnął się smętnie: „Niewielka to dla ciebie pociecha, ale ja też jestem emigrantem we Włoszech”. Na krótko przed śmiercią zapytano go, czy tęskni do swoich Abruzzów. Wzruszył ramionami: „Moje Abruzzi mogą być wszędzie”.

„Urodziłem się 1 maja 1900 roku”, przypominał często z iskierką na wpeł ironii a na wpeł zadowolenia w ciemnych, głębokich oczach. Kto ma skłonność do szukania w datach wymowy symbolicznej, mógłby dziś dodać: „I umarł w nocy z 21 na 22 sierpnia 1978, prawie dokładnie w dziesiątą rocznicę inwazji Czechosłowacji”. Dwie daty, zamykając w swoich klamrach życie i dzieło jednego z najwybitniejszych pisarzy współczesnych i jednego z bardzo nielicznych autentycznych socjalistów i zarazem autentycznych chrześcijan, wyznaczają również całą epokę: od wiary w socjalizm idealny do definitywnego (na Zachodzie) pogrzebania socjalizmu „realnego”. Podsumowanie doświadczeń i przemyśleń Silonego zawarte jest w zdaniu: „Nie ma reform zdolnych zmienić w sposób istotny człowieka problematycznego, zdolnych usunąć konflikt jednostki ze zbiorowością, społeczeństwa z państwem, zagłuszyć rozdźwięk między dążeniem do szczęścia i bólem”.

Chyba koło roku 1936, w przedostatniej klasie gimnazjum kieleckiego, przeczytałem (po polsku oczywiście) *Fontamare* i *Chleb i wino*. Wrażenie było ogromne. Silone należał do ulubionych pisarzy polskiej lewicy. Nawet komuniści, nie wiedząc jeszcze o kłótni dojrzewającej nad głową „renegata”, zachwycali się jego książkami. Po wojnie, u tzw. steru władzy, skazali go rzecz jasna na nieistnienie. „Październik” umożliwił fuksem wznowienie *Fontamary*. Po czym, zapewne pod naciskiem Moskwy, kontynuacja nieistnienia. Niedawno Turowicz zabiegał, najwidoczniej bez powodzenia, o wydanie *Przygody biednego chrześcijanina*. Pozwolono tylko na druk dwóch stosunkowo „nieszkodliwych” opowiadań „renegata” w *Tygodniku Powszechnym*.

Pamiętam epizod, opowiedziany mi przez Silonego już w okresie naszej przyjaźni. Do Rzymu przyjechał Ochab z oficjalną rewiżytą państwową, po wizycie Saragata w Polsce. Ambasada PRL urządziła w wielkim hotelu rzymskim przyjęcie dla „świata kulturalnego” stolicy. Silone, zaproszony lecz początkowo pełen wahań, zdecydował się w końcu pójść. W momencie prezentacji twarzy Ochaba rozjaśniła się: „Silone? Ach jak się cieszę, jaki jestem szczęśliwy że mogę pana poznać osobiście! Pożerałem pana książki w więzieniach przedwojennej reakcyjnej Polski”. Na co Silone: „Czuję się pochlebiony, panie prezydencie. Ale skoro tak stoją sprawy, czy nie można by wznowić moich książek w postępowym państwie którego pan jest głową, jeżeli nie dla czytelników w więzieniach, to przynajmniej dla czytelników w wolności?”. Ochab zbladł i nie odpowiedział. Był w tym cały Silone: obojętny na „reguły gry” gdy w grę wchodziła prawda, cięty i wspaniale ludzki, stanowczy i spokojny. Ten sam Silone, który w roku 1927 w Moskwie oparł się jedyńemu Stalinowi na posiedzeniu *Kominternu*, odmawiając potępienia „w ciemno” dokumentu „kontrewolucyjnego” Trockiego.

Poznałem Silonego pod koniec roku 1955, równocześnie z Nicolą Chiaromonte. Zaproponowali mi pisywanie do ich nowo założonego miesięcznika *Tempo Presente*. Dziś słyszy się i czyta nie rzadko komplementy pod adresem *Tempo Presente*, jako najbardziej żywego, pobudzającego i niezależnego czasopisma włoskiego po wojnie. Ale wtedy, w atmosferze konformizmu intelektualnego, złej wiary, dezinformacji i ośpienia moralnego, zeszyty *Tempo Presente* przyjmowano na ogół z niechęcią, jeśli nie ze wstrętem i zgrzytaniem zębów, przy użyciu zwykłej głupiej etykiety „produkt zimnej wojny”. W każdym razie dla mnie, polskiego pisarza emigracyjnego świeżo osiadłego we Włoszech, zakotwiczenie się w tym naturalnym porcie było darem fortuny.

I Silone i Chiaromonte stali się szybko przyjaciółmi *Kultury*. W bibliotece *Kultury* wyszedł *Wybór towarzyszy* Silonego, wszystkie tomy serii *Archiwum rewolucji* opieczetowane są na odwrocie okładki jego krótkim i pięknym tekstem.

W Rosji, gdzie klątwa zadziałała natychmiast po ostatecznej rozmowie Togliattiego z „renegatem” w Szwajcarii u progu lat trzydziestych, Silone jest mniej znany niż w Polsce. Sytuacja uległa pewnej zmianie, gdy kilka lat temu wydano po rosyjsku za granicą *Przygodę biednego chrześcijanina*. Miałem tego dowód w okresie zakładania *Kontynentu*. Maksimow poprosił mnie o przekonanie Silonego do zgody na udział w międzynarodowym Komitecie redakcyjnym, dodając że zależy na tym bardzo Sołżenicynowi i Sacharowowi. Na moją „operację przekonywania” wystarczyły dwie minuty. Silone podziwiał wolnych pisarzy i inte-

lektualistów rosyjskich, polskich, węgierskich, czeskich, jugosłowiańskich. „Cenię bardzo wysoko Sołżenicyna — powiedział w ostatnim wywiadzie na miesiąc przed śmiercią, zapytany o harwardzką orację — chociaż nie we wszystkim się z nim zgadzam. To nieprawda, że siła duchowa przetrwała dziś tylko na Wschodzie”.

Znowu, jak po odejściu Nicoli, skurczył się dla mnie Rzym; nie będę więcej jeździł na małą uliczkę w okolicach *Piazza Bologna*. Podwójny emigrant Silone (wiele jego rysów posiada Battaglia w moim opowiadaniu *Książę Niezłomny*) wrócił na zawsze do swoich rodzinnych Abruzzów.

Gustaw HERLING GRUDZIŃSKI

ZAPRENUMERUJ **“AN
POLITYCZNY
KWARTALNIK EKS”** do ocenzurowanej prasy
A N E K S
w Polsce

W nr. 19 m.in.: *EKONOMIA WYZYSKU* — dokumenty dot. problemu rekompensaty za polski węgiel w negocjacjach polsko-radzieckich w 1956 roku; P. MARER: *Stosunki gospodarcze między ZSRR a Europą Wschodnią*; A. AMALRIK: *Ideologie w społeczeństwie radzieckim*; G. WATSON: *Czy intelektualści dali się nabrać?*; A. MA-TEJKO: *Czy komunizm może przetrwać?*; W. SZAŁAMOW: *Oddzielny pomiar*.

Uprzednio w nr. 18 m.in.: L. KOŁAKOWSKI: *Moje słuszne poglądy na wszystko*; O. LANGE: *Jak pojmuję socjalizm*; K. DOROSZ: *Faust współczesny*; N. GORBANIEWSKA: *Samizdat szkołą wolności*; *CHINY - POLSKA - ZSRR*: Zapis rozmów polsko-chińskich, Moskwa 1960 z wprowadzeniem A. Michnika; J. LÉVESQUE: *Chiny wobec wydarzeń październikowych 1956 roku*.

ROZCZNIK — 4 numery — US \$ 12, Skr/FF 40, w Wielkiej Brytanii — £ 5.00.

ZAMÓWIENIA wraz z wpłatą należy przesyłać na adres:

**A N E K S, 61 DORSET ROAD, LONDON W.5.
ENGLAND.**

Leningrad - Moskwa 1977

Są to fragmenty listów młodego studenta Polaka, urodzonego i zamieszkałego w Stanach Zjednoczonych.

Wyleciałem z Warszawy wieczorem. Mało kto leciał bezpośrednio lotem do Leningradu. Było cicho z wyjątkiem delegacji 8-miu PRL-owców, którzy się natychmiast upili i po chamsku zachowywali aż do przylotu. Czy to na tle jakiegoś strachu przed Rosją?

Kontrola odbyła się bardzo szybko. Trasa z lotniska prosta i płaska. Minęliśmy centrum miasta. Najładniej wyglądało oświetlone wybrzeże Newy. Mieszkam po stronie prawobrzeżnej. Rosyjski mój jest wciąż nijaki (wtrącam bezmyślnie czeski), na ogół mam wrażenie, że strasznie go kaleczę.

W sklepach spożywczych wybór jest bardzo skromny. Masło np. kosztuje 3 i pół rubla za kilogram, czyli więcej niż w Polsce. Jabłka, małe i poobijane, są jedynymi owocami na rynku z wyjątkiem cytryn. O jarzynach świeżych praktycznie nie ma mowy. Raz widziałem długą kolejkę po marchewkę. Czasem widać jakąś sałatkę z kapusty (*prowansalskaja*). Jajka są, *butoczki* też, ale strasznie mało serów. W Polsce człowiek mógł się obżerać serami. Nie wiem jak Rosjanie sobie radzą wobec ogromnej drożyzny.

W niedzielę rano zerwałem się, aby zdążyć na mszę. Jedyny kościół katolicki w Leningradzie (czynnych prawosławnych cerkwi jest 4) jest kościołem polskim, w centrum, niedaleko konsulatu amerykańskiego, na ul. Kowieńskiej. Jest tam już od czterdziestu lat jeden ksiądz, Litwin mówiący po polsku z silnym akcentem, ale poprawnie. Msza odbyła się po łacinie przy głównym ołtarzu. Ewangelię czytał i kazanie mówił po polsku, a potem

jeszcze podziękował za pamięć i życzenia na jego imieniny. Ze wzruszeniem niemal prosił, żeby w przyszłości prezenty przyniesili nie jemu „ale dla Pana Jezusa”.

Na mszy było przeszło 120 osób, w 90 % starszki, które całe ruble kładły na tacę, a emeryturę otrzymują na pewno niższą niż 100 rubli. Podchodziły bliżej aby wsłuchiwać się w kazanie. Śpiewały piszczącymi głosami, do komunii przystępowały klęcząc wzdłuż głównej nawy.

Było trochę młodzieży. Do mszy służyli starsi panowie. Ksiądz tu odprawia 3-4 msze w każdą niedzielę, słuchając przed nimi spowiedzi.

Kościół solidnie, porządnie utrzymany. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek bardziej wzruszył się w kościele. To było zarazem piękne i smutne.



W restauracji poznałem młodego Rosjanina. Ma siostrę, która wyszła za Amerykanina i przysłała mu porządne ubrania i gumę do żucia. Strasznie narzekał, że tu nudno. Jeździ z kolegami jak tylko może do *Pribatki*. „Tam życie!”. Dziewczyny tu chodzą w *mini* jak u nas 7-8 lat temu.

Wczoraj od rana było wietrzno i mroźno. Poza tym sucho tak, że kurz łyka się na ulicy. Potem śnieg zaczął padać, ale przy tym wietrze i mrozie rozwiewał się po wszystkim jak oszalały i jest tak suchy, że z początku myślałem, że pierze leci. Na ulicy było tak ślisko, że dreptałem małymi kroczkami, jak Chinka. Ale po południu dzień się zrobił śliczny, przezroczysty. Przespaćcerowałem się wzdłuż Newy z Konsulatu do Ermitażu, choć lodowaty wiatr nad samą rzeką ciął mnie na kawałki. Było pięknie, ostre słońce oślepiało, otoczenie ożyło, ponura rzeka przemieniła się w błękit. Już z Ermitażu wyglądałem z okien, żeby nasycić się jej srebrnym blaskiem. Muszę przyznać, że nie wiem co zrobiło na mnie większe wrażenie: Nawa tego dnia, czy wszystkie arcydzieła Rembrandta, które obejrzałem. Po przeciwnej stronie rzeki nawet więzienie Piotra i Pawła ładnie wyglądało; a następnego rana, kiedy znów było ponuro, myślałem, że to wszystko mi się tylko śniło.

Kilka dni temu pojechałem tramwajem (10 minut z centrum) obejrzeć zachód słońca nad Zatoką Fińską. Trzeba przejść dość długą nową drogą do samej plaży, gdzie wybrzeże jest wciąż zamarznięte, a wicher który tam wieje przechodzi nasze wyobrażenie. W okolicy tej wybudowano wiele nowych bloków mieszkaniowych, niektóre nawet bardzo solidne, ceglaste, z ogromnymi oknami na górnym piętrze, z widokiem, niestety, nie na zatokę, ale na brudny kanał który do niej wpada. Byłem tam ze znajo-

mym Rosjaninem w moim wieku z Brześcia nad Bugiem, czyli Litewskiego. Rozumie po polsku przez słuchanie radia i oglądanie polskiej telewizji. On chyba naprawdę wierzy, że jest tu coraz lepiej, że niczego mu nie brakuje. Ze śmiertelną powagą pokazał mi artykuł „Światowe echa przemówienia tow. Breżniewa”. Nie rozumiał i nie aprobował moich uwag o podobieństwach i różnicach biurokracji sowieckiej i polskiej: polski bałagan istnieje, żeby móc sztywne przepisy jakoś omijać, a tu na odwrót i żeby nie wiem jak się starać — zawsze cię mają; a każdy ci tu powie, że to jest konieczne bo trzeba ludzi pilnować.

Dotychczas nikt z mną nie łązi i chyba, póki będę cicho siedział, dadzą mi spokój.

Dzięki koszykówce poznałem jednego Afrykanina z Centralnej Republiki Afrykańskiej (wtedy jeszcze nie przemienionej na „Centralne Cesarstwo Afrykańskie — przypisek Redakcji). Nawet nigdy o tym państwie nie słyszałem, znalazłem je na mapie później. Zaprosił mnie do siebie na herbatę. Mieszka we trzech z innym Murzynem i Rosjaninem, który na *week-end'y* ucieka do siebie do domu, bo się współlokatorów boi (tak się przynajmniej mojemu Murzynowi wydaje). Pokój niewielki, świeżo pomalowany. Materacyk na łożku cienki. Mają swój sprzęt kuchenny i na ogół sami sobie gotują. Na każdym piętrze jest kuchnia i łazienka, a prysznice tylko na parterze, czynne (z ciepłą wodą) codziennie z wyjątkiem piątków bo to *sanitarny dzień*. Mój gospodarz z kolegami Murzynami rozmawia po francusku, bo w jego państwie są 24 szczepy. Zna też trochę angielski ze szkoły, gdzie uczył Amerykanin z „Peace Corps”. Śmieszny, sympatyczny facet. Nie znam żadnych Afrykanów i nie wiem czy wszyscy są anty-biali. Ale czułem że on i jego kolega nie chcieli mi niczym imponować, raczej pokazać, że są normalnymi ludźmi. On jest tu na swoim państwowym stypendium; Rosjanie patrzą niechętnie, że oni się z Amerykanami zaprzyjaźniają.



Problem z kolejkami jest tu o wiele poważniejszy niż w Polsce, choć zupełnie inaczej ludzie w nich stoją, tzn. cierpliwie, czytając sobie książkę (jak w autobusach i metrze) i wcale się nie kotłując. Kolejka jest po prostu rzeczą tak zwykłą, jak woda i słońce; ludzie nawet pewno nie myślą, że jest w tym coś dziwnego.

Wszyscy żyją tu codziennością, cieszą się, że stać ich na trochę więcej. Tłumy na Newskim to przede wszystkim po różnorakie zakupy. Dzieci pysznie i zdrowo wyglądają. Często się widzi, jak ojciec lub matka tuli i pieści swe dziecko na ulicy

czy w metrze. To robi miłe wrażenie. Kobiety stroją się i szminują, włosy farbują, paznokcie lakierują (nie gorzej niż w Polsce). Wieczorem kina, teatry, sale koncertowe zapchane są jak w Polsce. Tak to się toczy, bez myśli o Sacharowie, czy Sołżenicynie.

Mieszkając raczej izolowany od szerszego grona Rosjan, także przez moją naturę, nie wiem jak prędko się dowiem co ludzie tu myślą. Podobno jest tu sporo handlarzy, operujących na czarnym rynku na polską skalę, ale z tym się jeszcze nie zetknąłem. Z drugiej strony podziemie inteligencji o wszystkim wie i roznosi te wiadomości. Coś w rodzaju Polski, gdzie każdy student ma listę podpisujących i kopię ostatniego listu otwartego do Gierka. Z tym, że nie wyobrażam sobie, żeby to miało taki szeroki zasięg jak w Polsce. Zetknąłem się z trzema Rosjanami w moim wieku, dwaj nawet bardzo inteligentni, ale operują sloganami o rewolucji, walce klasowej, socjalistycznym internacjonalizmie, a kiedy mowa o wojnie — zapalczywie cytują statystykę strat, taktykę wojskową, tok bitew. Powiedziałem im, że nie rozumiem, dlaczego tu się mówi tylko o stratach zadanych przez nieprzyjaciela, a ani słowa o ofiarach poczynając od kolektywizacji poprzez wysyłanie na Sybir powracających z niemieckich obozów, choć wszyscy chyba wiedzą jak to wyglądało. A oni tylko tak samo, jak przedtem ów Rosjanin z Brześcia rozumiejący po polsku, że „to jest bardzo trudne”. Niezrażony, dużo mówiłem o Katyniu, o pomniku w Londynie, o różnicach z Chatyniem („Khatyn”), o propozycji Chruszczowa ogłoszenia prawdy o Katyniu odrzuconej przez Gomułkę. Kiedy się szerzej o przeszłości będzie mówiło, to teraźniejszość poprawi się sama przez się. Patrzyli na mnie z przerażeniem, kiedy im powiedziałem, że łatwiej wierzyć w Boga niż w „*borbę klasową*”. Tak, tu jest zasadniczo inaczej niż w Polsce. Tam co najmniej człowiek może się łudzić, że większość społeczeństwa uważa system i wszystko co z nim związane za g.... warte, a tu zupełnie inaczej. Np. wczoraj jeden chłopak chwalił się tym, że tu benzyna jest tańsza niż na Zachodzie; było mi go za bardzo żal, żeby mu zwrócić uwagę, że tu prawie nikt nie może sobie pozwolić na samochód. Właściwie z nimi *nie stoit razgawarywat*, bo tak jak intelektualiści potrafią sobie wszystko wmówić. Oby to tylko ze strachu, ale tego się nie odczuwa. Ciągłe nie mogę uwierzyć, że jestem w kraju tak inaczej myślącym, że tu wszyscy z drobnymi wyjątkami za ustrojem stoją i szcycą się tym, że są inni od całego świata.



W niedzielę Wielkanocną śnieg leżał na ulicach i temperatura wynosiła równe 0° C. Pierwszy raz w życiu spędziłem Wiel-

kanoc w gwiazdkowej pogodzie. Niestety źle wycelowalem, z mszą, bo zaczęli sumę o 30 minut wcześniej niż zwykle i przyszedłem już po kazaniu. Ale poza tym atmosfera w kościele polskim była bardziej wzruszająca, niż za pierwszym razem. Kościół był zapchany ludźmi po ściany. Dużo młodych, a pośród starszerek zauważyłem wiele żegnających się wedle obrządku prawosławnego. Obok ołtarza siedział albo pop, albo ksiądz unicki (na różnicy stroju nie znam się), z ciemną długą brodą, w czarnym kołpaczku. Przed *pater noster*, ksiądz podszedł do niego i wyściskali się. Do mszy służyło siedmiu starszych mężczyzn i przy ołtarzu kręciło się również kilka kobiet w białych sukniach i welonikach z koronki. Nie mogłem pojąć znaczenia tego zwyczaju, ale reszta to tak jak za mego dzieciństwa, wszystkie świece zapalone, ołtarz błyszczący się w jasności. Komunię rozdawał ksiądz przeszło pół godziny. Przez całą mszę chór śpiewał, organy dudniły i wiele starszerek łokciami parło przez tłum bliżej do ołtarza. Kilka razy zauważyłem jakąś starszuskę, trzymającą za rękę 4-5-letniego wnuka, mówiącą po rosyjsku. Po mszy ksiądz obszedł cały kościół, wodą święconą błogosławiąc wszystkich, kiedy tacę przenoszono już przy mnie, była porządnie naphana. Nie mając wiele rubli, zostawiłem na tacy te 5 dolarów, które ostatnio w liście dostałem z domu. Po mszy wielu ludzi pozostawało przed ołtarzem, jakoś nie chcąc opuścić tak innego świata. Ksiądz zszedł do nich od ołtarza i z ręką na sercu serdecznie dziękował za ich obecność. On ma świetną postawę na księdza, bo jest wysoki, dobrze zbudowany, siwy z łysiną, o twarzy dużej z charakterem, a kiedy się uśmiechnie, to ta jego powaga nabiera ciepła, którym pokrzepi serca swych owieczek. Taki świat mały: wychodząc spotkałem znajomą panią z Warszawy.

W sobotę wieczór, przed północą, poszedłem z kilku znajomymi Rosjanami do małej cerkwi stojącej na terenie cmentarza. Kiedyśmy do niej dotarli, ściany prawie pękały, a przed nią i dookoła niej stało kilka tysięcy ludzi, jeśli nie więcej. Było wśród nich wielu wierzących, jak również ciekawych, i trochę podchmielonej młodzieży. Nie żeby chciała „rozrabiać”, jak to pisał Sołżenicyn, ale po prostu bez wewnętrznej kultury, za co wiele starszerek obrugiwało ich przez cały czas. Trudno było coś widzieć, ale o północy dzwony zaczęły bić i trzech popów, poprzedzanych niesionym krzyżem, poprowadziło procesję dookoła cerkwi. Wszyscy w tłumie trzymali świece w ręku i śpiewali, po czym jeden z popów krzyknął trzykrotnie *Chrystos woskresjel!* i za każdym razem tłum odpowiadał *wo istinno woskresje*. Przy wejściach było sporo milicji, ale nie zauważyłem, żeby w czymkolwiek brali czynny udział. Kiedy popi weszli do cerkwi, ludzie

zaczęli się rozchodzić. Podobno w innych cerkwiach było jeszcze tłumniej.



Nazywano Petersburg „Wenecją Północy”, ale to nie bardzo pasuje, bo kanały są rzadsze i nie ma na nich żadnego ruchu. Za to Newa przewija się wszędzie i zawsze ma się przyjemną niespodziankę, kiedy na jakąś jej część się natrafi. Jest często wzburzona, codziennie ma inny charakter. Choć już druga połowa kwietnia, Newa pełna jest odłamków lodu z jeziora Ładogi. W słoneczny dzień rzeka błyszczy wskutek tego bardziej, niż wszystkie połączone zabytki wzdłuż jej brzegów. Jest coraz cieplej, wiosna już chyba przyszła i zostanie. Na drzewach pierwsze pączki liści. Już teraz ściemnia się dopiero po 9-tej wieczór, a słońce wschodzi o 5-tej rano. Leningradczycy namawiają mnie, żebym został na „białe noce”. Ale niestety nic z tego, bo wkrótce wyjeżdżam do Moskwy.

Niedawno byłem w teatrze Kirowa na „Łucji z Lamermooru”. Typowy, połącany, pyszny teatr z połowy XIX-go wieku w stylu oper Paryża lub Wiednia. Pięć kondygnacji łóż dookoła. Nie-wielka ilość rzędów na parterze, co stwarza intymną atmosferę. Byłem zachwycony klasą i poziomem przedstawienia. Śpiewali po rosyjsku, chór był śliczny, głosy śpiewaków świetne, ciekawa i urozmaicona scenografia. Nawet na początku, gdy orkiestra grała uwerturę, a nikt jeszcze nie śpiewał, na scenie odbywały się baletowe delikatne tańce tak naturalne jakby wpiśał je do opery sam Donizetti. Warszawska opera przy tym błędnie.

Byłem też na „Rigoletto”. Niestety zespół Kirowski tym razem nie występował we własnym teatrze, tylko w jakimś „pałacu kultury” im. Gorkiego. Straszna jakaś buda, pomimo to wkrótce przestałem zwracać uwagę na otoczenie, „Rigaletom” bardzo zaczęło mi się w tym świetnym wykonaniu podobać. Za mną siedziały dwie Polki z wycieczki z Poznania, które widziały śliczną nową operę w Wilnie. Chwałyły one mój „literacki” sposób mówienia po polsku. Zawsze mi to sprawia przyjemność.

Idąc ulicą czasem słyszy się unoszące się z okien dźwięki zachodniej muzyki. Radio sowieckie nadaje jakieś francuskie, amerykańskie i angielskie piosenki, ale oczywiście w bardzo ograniczonej ilości, trzeba się przecież strzec tych dekadencckich wpływów. Zresztą z tego co tu słyszałem, nie żałuję, że ich częściej nie nadają.

Byłem na występie Chóru Armii Czerwonej pod dykcją *Gieroja Socjalistyczeskawo Truda, Laureata Gasudarstwiennoj Premii, Narodnawo Artista SSR, Gienierata Majora Borisa Aleksandrowa*. Pomimo tych szumnych tytułów i imponującego mun-

duru (zielonej kurtki i granatowych spodni z żółtymi lampasami) okrągłutki staruszek dyrygował tylko pierwsze piosenki, z „utworem własnego układu na czele pt. „Lenin, Oktiabr, Komunizm”. Klasyczny ten „przebój” nie zawierał więcej słów poza trzema występującymi w tytule. Publiczności się nie podobał. To już nie stalinowskie czasy, kiedy na tak mało oklasków nikt by sobie nie mógł pozwolić. Inne piosenki bardziej się podobały, mnie zaś niektóre z tych, które mamy na płycie w domu. Solistą był przeważnie, podobno słynny, Jewgienij Biełajew. Kilka popisów tanecznych, przeplatających występy chóru, pomimo wspaniałej techniki, jak to tylko Rosjanie potrafią, miało treść dziecinnie naiwną. Zakończono występy *propagatkami* „Dzień победы” i „Piesnia solidarnosti”.

Koncert odbywał się w „Oktiabrskoj Folie” — solidnie i nowocześnie zbudowanym wielkim budynku przypominającym teatr na amerykańskim *campus*'ie. Oprócz widowni setki stolików, przy których można kupić z bufetów obok doskonałe kanapki (np. z wędzoną rybą), lody, kawę i... szampana. Była to miła dla mnie niespodzianka. Pokrzepiłem się z moim towarzyszem przed występem i w czasie przerwy, co pewnie wpłynęło na to, że z przyjemnością wspominam słyszane piosenki (szczególnie jedną Okudźawy) i chętnie bym je jeszcze na Zachodzie usłyszał.

Byłem na tym koncercie z pewnym naukowcem pochodzącym z okolic Permu. Należy on do małej grupy narodowościowej ugro-fińskiej (zapomniałem oficjalnej nazwy). Do 15-tego roku życia mówił tylko w swoim języku. Biadał nad tym, jak to ciężko małemu narodowi zachować swoją mowę i zwyczaje. Nigdy nie kryje i jest dumny ze swego pochodzenia. Pomyślałem, że oto ktoś nareszcie, kto nie we wszystko co Lenin istotnie lub rzekomo „skazał” wierzy. Ale zawiodłem się. Był to akurat dzień urodzin Lenina. Całe miasto obwieszono czerwienią. Na ulicach widziałem grupy szkolnych dzieci, składających kwiatki przy statuach Lenina (których tu nie brak). Gdy wspomniałem, że tu nikt nie myśli w sposób krytyczny, odpowiedział, że w marksizmie, istnieją całe traktaty o krytycznym sposobie myślenia. Ten facet naprawdę wierzy, że Bukowski jest *sumaszed-szym* i że Katyń to robota Niemców.

Te dyskusje są beznadziejne, ale przynajmniej wyjaśniają mi na czym się taki ustrój opiera. Wyczuwa się w nich przekonanie, że dziś jest o wiele lepiej niż 10-20 lat temu, więc dziękuj partii za to co daje. Dotychczas wydaje mi się, że w 95 % są zadowoleni ze wszystkiego — co najmniej w dziedzinie polityczno-kulturalnej. Chcieliby więcej podróżować, jeździć własny-

mi samochodami — ale są cierpliwi, bowiem wiedzą, że coraz więcej sowieckich obywateli wyjeżdża za granicę (tj. do innych krajów „wspólnoty socjalistycznej”) i że co roku wzrasta produkcja samochodów. Więc za 10-15 lat może i na nich przyjdzie kolej. Tak, życie składa się z kolejek, kto postoi ten skorzysta z plodów dla niego przeznaczonych.



Głupie zamówienia biletu do Moskwy i zapłacenie za niego w kasie trwało godzinę, a dopiero następnego dnia można było go odebrać. Jechałem z wycieczką Bułgarów, spało się nieźle jak na pociąg.

Moskwa całkiem inna od Leningradu, który w porównaniu z nią wydaje się cichy i spokojny. Ruch na ulicach tu jest szalony, o wiele więcej samochodów i hałasu. Od razu, na pierwszy rzut oka, widać że aprowizacja jest znacznie lepsza. Moskwa, tak jak wszystkie stolice tzw. państw socjalistycznych, należy do pierwszej kategorii w zaopatrzeniu, a Leningrad to już druga kategoria. Metro tu jest starsze od Leningradzkiego, ale lepiej się nim można poruszać. Tu szykują się teraz obchody 1 maja. Lenin wszędzie rozwieszony.

Mieszkam u znajomych Amerykanów, jakby za miastem, okna wyglądają na sad i zieloną trawę, za nim stawy i łąki. Dochodzi stamtąd cudowny zapach wiosenny. Mój gospodarz jest pod stałym nadzorem. Gdziekolwiek się ruszy, to za nim wyruszają ze dwa, trzy samochody. Trzymają się z daleka, ale są bardzo fachowi. Kiedy poszliśmy na Plac Czerwony, pokazał mi, który to „anioł stróż” go obserwuje. Nad rzeką, gdzie zrobiliśmy parę zdjęć, stała niedaleko jakaś para, jakby wczasująca, która też należy do jego stałego otoczenia. Bawi go, że on już ich wszystkich zna, a oni udają, że patrzą gdzie indziej. Obliczył, że taki nadzór kosztuje rocznie pół miliona dolarów od osoby.

Korzystając z pogody i święta (nazajutrz po 1-szym maja), pojechaliśmy popołudniu nad rzekę, za centrum, na południowym wschodzie miasta, gdzie stoi stara cerkiew Kołomyńska. Nad wysokim brzegiem wylegiwały się w słońcu setki ludzi. Na zielonej trawce, z trudnością kiełkującej z tej zużytej, zmytej gleby, widać było sporo grubych bab na pół rozebranych, czasem w białonozkach, a mężczyźni w *gimnastiorkach*. W głębi wznosiło się kilkadziesiąt nowych bloków mieszkaniowych, goło sterczących jakby w próżni bez życia organicznego. Dopełniały ten obrazek z prawej strony kominy fabryk, wypuszczających pył i wzywy, a z lewej, po drugiej stronie rzeki, jakieś ponure tereny prze-

mysłowe. Patrząc na to wszystko, ma się wrażenie, że właśnie takie widoki przerażały Marksa w XIX-wiecznym Londynie.

A jednak i tu było kilka zakątków, jakby nie należących do reszty otoczenia. Na drugiej skarpie stała cerkiew z kamienia, zaniedbana, ale z zewnątrz wciąż solidna. Podchodziło się do niej przez cmentarzyk, schowany w cieniu. Każdy grób utrzymany i prawie każdy z prawosławnym krzyżem, ogrodzony żelaznym płotem. Dzięki brzozom i krzewom, rosnącym dziko między grobami, miejsce to miało dużo swoistego uroku. Przez kontrast z nim, zniszczone i zaśmiecone wnętrza cerkwi, pełne nabazgranych napisów i rozbitych butelek, robiło tym bardziej przykre wrażenie.

W ogóle wszędzie się widzi porozrzucane po Moskwie małe cerkiewki, często zasłonięte jakimś nowym drapaczem, ale przynajmniej nie zburzone. Innego dnia płynąc po rzece statkiem spacerowym, widziałem może z 10 takich cerkiewek. Jedną z najładniejszych to ta, do której chodził Tolstoj. Również w Pieredełkinie, gdzie Pasternak jest pochowany, stoi śliczna cerkiew o bajecznych kopułkach.



Szedł tu w telewizji serial „Oswobodzenie”. Pierwsza część niezłe zrobiona i czasami nawet nie tendencyjna. Stalina gra przekonująco jakiś Gruzin. Pokazali nawet kilka zdjęć Warszawy, jak na Starówce Niemcy zaganiają cywilów pod ścianę i rozstrzelują. Roosevelt w Teheranie mieszka w ambasadzie sowieckiej, przekonany przez *diadzię Dżoa* (naprawdę tak w filmie mówią), że w Teheranie pełno jest szpiegów hitlerowskich. W przeciwieństwie do Roosevelta, Churchill przedstawiony jest niesympatycznie na wzór grubego bankiera-monopolisty z wielkim cygarem, którego nie wyjmuje z ust.

Zastanawiałem się jak przedstawia Monte Cassino i Powstanie. Otóż problem ten po prostu ominęli: jedna część zakończyła się na „wschodniej granicy polskiej” nad Bugiem, z krótkim wystąpieniem Berlinga z Rokossowskim (ten ostatni mówi po polsku: „jeszcze Polska nie zginęła”). Część następna rozpoczęła się już niedaleko Berlina. Ani słowa o Powstaniu, czy nawet o tych tysiącach żołnierzy sowieckich, którzy polegali na polskiej ziemi. Zawsze kiedy rozmawiam z Rosjanami na ten temat, twierdzą, że wojska sowieckie były zbyt wyczerpane w okresie Powstania i że dowództwo polskie (tzn. AK) dobrze o tym wiedziało. Taka jest widocznie ich oficjalna wersja. Za to poziom każdej części był coraz niższy, ciągłe frazesy o całym narodzie pragnącym zniszczenia „faszyzmu” (czasem tylko z dodatkiem „niemieckiego”). Hitler dobrze wypadł, tak jakby to on sam grał w tym filmie.

Pomimo ich nienawiści do niego, wyczuwało się zafascynowanie twórców filmu jego osobą.

W samą rocznicę zakończenia wojny, 8 i 9 maja, ambasador wschodnich Niemiec miał długie dziękczynne przemówienie w telewizji za wyzwolenie Niemców przez Armię Sowiecką itd., a potem pokazywano jak delegacje niemieckie w Berlinie wschodnim kładły wieńce przed pomnikiem „wdzięczności” i na sowieckim cmentarzu. Ciekawe, jak reagują tam na to Niemcy, a może nie pokazują im tego we wschodniemieckiej telewizji. Tutaj ktoś zza granicy, patrząc na sowiecką telewizję, staje się nie tylko bardziej anty-komunistyczny, ale niestety anty-rosyjski również, za to że wszystkie te bzdury bezmyślnie przyjmują, i jeśli im się oficjalnie powie, że czarne jest białe, bez wahania się zgodzą i jeszcze się będą upierać, że taki jest. Wiem, że jednostka niczego w tym ustroju nie może zdziałać, ale w Rosji system zawsze był od niej silniejszy. Czy ich kultura polityczna polega wyłącznie na tradycji strachu i terroru, zaostrożonej w sowieckim wydaniu, a nie również na akceptowaniu takiego stanu rzeczy?

Wczoraj pojechałem elektrycznym pociągiem z dworca Jarosławskiego do Zagorska, 70 km. na północno-wschód od Moskwy, gdzie św. Sergiusz założył słynny „Troickij monastyr”. Piękna droga przez pofalowane pola, przemieszane ze stawami i lasami brzoźowo-świerkowymi w soczystej, majowej zieleni. Ze stacji szedłem w kierunku połączonych „cebulek” niebrukowanymi uliczkami, omijając błoto i kałuże i raz leżące wprost na ulicy pijanego człowieka. Mijałem chałupki drewniane i ciemne ze studniami na rogach ulic, w ogródkach dużo kwitnącego bzu i innej zieleni. Opactwo ciągnie się na dużym terenie otoczonym potężnymi murami. Składa się nań kilka cerkwi i innych budynków z różnych czasów, od XV do XVIII wieku. Otwarty był jedynie sobór Troicki, gdzie odbywało się nabożeństwo, pomimo wszędzie poustawianych narzędzi do remontu wnętrza. Wypatrywałem po ścianach ikon Rubliowa i jego szkoły.

Wszyscy obecni w cerkwi, włączając w to kilku młodych ludzi, modlili się. Pop przy ołtarzu celebrował nabożeństwo, wierni odpowiadali mu zawodzącym śpiewem. Prawie wszyscy bez przerwy zegnali się, wiele osób ustawicznie podchodziło do ołtarza, całując ikony. Wszędzie masa zapalonych świec poustawianych, lub trzymany przez modlących się. Najdziwniejsze dla mnie i bardzo wschodnie, było bicie pokłonów przed świętymi obrazami.

Mając jeszcze dużo czasu do powrotu, wyszedłem z soboru i po paru minutach znalazłem się za miastem. Cisza, żywej duszy wokoło, oprócz chłopca prowadzącego dwie białe kozy brzegiem pól.

Zupełnie inny świat, tak blisko pod Moskwą.



Wczoraj wróciwszy z ulicy Leninskij Prospekt, zauważyłem, że ustawili na niej wysokie słupy do sztandarów, oraz wielkie plakaty, przedstawiające Breżniewa obejmującego bułgarskiego Żiwkowa. Ponieważ ta ulica jest reprezentacyjna i po drodze z lotniska Wnukowo, domyśliłem się od razu, że się szykuje „spontaniczne” powitanie. Dziś rano poszedłem na Leninskij i zastałem wzdłuż niego atmosferę odświętną. Mnóstwo ludzi po obu stronach ulicy, czekających na przejazd dygnitarzy, pojadało lody, kanapki, ciastka, popijało soki i kawę (ze stoisk co kilka metrów, których wczoraj jeszcze nie było). Wszyscy bardzo zadowoleni, że ich z pracy zwolniono na świeże powietrze. Niektórzy siedzieli pod drzewkiem, czytając książkę, tak jak często się widzi w metrze i autobusie. Na plakatach porozwieszanych dookoła napisy po rosyjsku i bułgarsku wyrażające serdeczne powitanie partyjnej delegacji bułgarskiej. Leninskij Prospekt jest strasznie długą aleją. Z miejsca gdzie stałem do centrum ciągnie się z 15 km. Musieli więc zmobilizować setki tysięcy ludzi, żeby obstawić całą trasę.

Najważniejsze, że widziałem Kosygina i Breżniewa na żywo. Kiedy cała kawalkada wreszcie nadjechała, dosłownie przeraziłem się ilością samochodów z milicją na przodzie. Potem dopiero jechali Breżniew i Żiwkow, stojąc w otwartym samochodzie i machając przed siebie rękami. Ponieważ jechali dość szybko (jakieś 40 km. na godzinę), skoncentrowałem uwagę na Breżniewie. Piszę, że machali przed siebie. Tak było naprawdę, Breżniew nie patrzył na boki. Wyglądał dosłownie jak mumia. Miał minę starej niedźwiedzicy, której sztuczny uśmiech nasmarowano szminką. Za to Kosygin był wzruszająco uśmiechnięty.

Byłem długo pod wrażeniem upiornego wyglądu Breżniewa. Nawet nie wiedząc jeszcze, że zobaczę żywą mumię, nie kwapiłem się do zobaczenia nieżywej, tzn. Lenina. Wyszedłszy kiedyś od fryzjera (właściwie od fryzjerki, bo tu tylko kobiety strzygą, na mokro, umywszy klientowi najpierw głowę), przeszedłem się na Krasnoj Płoszczadi wzdłuż ogromnej kolejki do grobu Lenina. To wszystko odbywało się z wielką powagą i prawdziwym wzruszeniem...



Wieś ta jest już dobry kawał za Moskwą, tj. 30-40 km. Jest w jej okolicach dużo ślicznych drewnianych dacz, lasów, gaików i nawet zameczek jakiś z dawnego majątku, przed któ-

rym rozciąga się długi lasek i łąki, pokryte kwiatami, po których skakały ptaki. Inne, biedniejsze wsie, mają ciemne, ponure chałupy, ale ludzie już ubrani nowocześnie, czekają z niecierpliwością, kiedy się będą mogli przenieść do nowego wieżowca, który budują w pobliżu, gdzie będą mieli bieżącą wodę i kaloryfery.

Była to niedziela i jadąc z moimi gospodarzami widzieliśmy po drodze dużo ludzi, spędzających dzień w lesie czy nad stawem, opalających się (czasem na golasa w wypadku kilku młodych kobiet), spacerujących, lub rzucających psom i dzieciom piłkę. Często widziało się śliczne miejsce z otwartym, przestrzennym polem lub jakąś rzeczką, a tu zaraz obok jakieś wykopy i śmietnik.

Konstanty OSTROGSKI

DO CZYTELNIKÓW „KULTURY” I JEJ PRZYJACIÓŁ

W związku z podwyżkami kosztów wydawania i opłat pocztowych, *FRAGMENTS* — pięcioletni indywidualny wysiłek wydawania przekładów artykułów *KULTURY* na język angielski — są zmuszone podwyższyć cenę prenumeraty:

Prenumerata na rok 1979 — 10 numerów — \$ 11,00.

Prenumerata na 2 lata z góry — \$ 19,00.

Cena pojedynczego numeru — \$ 1,00.

Zbiór zeszytów wydanych do końca 1978 roku — 50 numerów — \$ 35,00. (Redakcja *FRAGMENTS* poleca tę ofertę jako „panoramę historycznych wydarzeń” ostatnich pięciu lat — widzianą przez autorów *KULTURY* — do użytku bibliotek uniwersyteckich i publicznych, jak również osób prywatnych).

Ceny podane — łącznie z kosztami przesyłki pocztą zwykłą. Indeksy wydanych tematów — na żądanie bezpłatnie.

Zamówienia wraz z czekiem nadsyłać do:
FRAGMENTS, P.O.Box 744, SUTTER CREEK,
CALIFORNIA, 95685. USA.

Wiersze

Andrzej Koraszewski

BYTY KSZTAŁTUJĄ
ŚWIADOMOŚĆ

Między brzegiem i brzegiem
co było — pytasz
a porażony trudnością mówienia
jak ptak spragniony
nie dobywasz głosu

gdzie są ukryte księgi
ludzkiego rodzaju
kim jesteś
— dziedziec zgliszcz
syn starca
który dłonią gładzi poręcz fotela
nocą zrywa się
siada
patrzy w przestrzeń
słucha głosów
lękliwie ucieka między sprzęty
rozkłada karty

Próbujesz kleić rozbitą skorupę
między początkiem i teraz
przykładasz do siebie
strzaskane ułamki
spalonej gliny odległych wydarzeń
zanim zaczął się

Andrzej syn Zbigniewa
i Zbigniew syn Jana
i Jan brat Bronistawa
a syn nieznanego
który w lutym uciekał z Litwy
przed carską policją
— zanim począłeś się aby być
co było

Byty określają świadomość
lecz co znaczą te twarze
w rodzinnym albumie
co mówią ocalałe sprzęty
stół i zegar
jakich słuchały rozmów
jakiej świadczyły miłości
z jakiej to konstelacji wydarzeń
z których to żołnierzy
z których to klęsk
poczęły się słowa
i co znaczą

Andrzej KORASZEWSKI

Archiwum polityczne

O esejach Juliusza Mieroszewskiego*

„W rzeczywistości przyszłość jest realizacją utopijnych snów i marzeń ludzi i narodów”.

Juliusz Mieroszewski

I

Dwa można z grubsza wyodrębnić podstawowe typy i zarazem sposoby uprawiania pisarstwa politycznego. A więc namiętne, rozchełstane, zalewające potokiem słów, grające na sentymentach i resentymentach własnych i odbiorcy, wciągające niekiedy w niebezpieczną spiralę gry instynktów budzącej demony. I drugie — chłodne, obiektywizujące, unikające nadużywania wielkich a serdecznych słów, dające pierwszeństwo argumentacji *ad rem* nie zaś *ad personam*. Tak skonstruowany podział nie ma naturalnie na celu wykazania wyższości któregoś z obu wymienionych sposobów pisarskiej wypowiedzi. W konkretnych sytuacjach różnie one oddziałują. Bardzo wiele zresztą — a może niemal wszystko — zależy po prostu od zdolności publicysty.

Juliusz Mieroszewski był pisarzem, reprezentującym najlepsze cechy tej drugiej tendencji. Podziw jest przemożnym wrażeniem wyniesionym z lektury wydanego po jego śmierci tomu szkiców, ogłaszanych najpierw w *Kulturze* w latach 1971-75. Zaprezentowane w osobnej publikacji¹ uwypuklają bowiem wyraźniej jeszcze żelazną konsekwencję myśli politycznej i wysokie walory argumentacji ich twórcy — zalety znane jego uważnym czytelnikom od dawna; dowodzą one także raz jeszcze słuszności sądu o szczególnej zwartości jego pisarstwa.

* Przedruk z nowego niezależnego pisma krajowego *Krytyka*, Nr 1, lato 1978.

1. Juliusz Mieroszewski, *Materiały do refleksji i zadumy*, Instytut Literacki, Paryż, 1976, str. 256.

Sposób penetracji przez Mieroszewskiego zjawisk społecznych, politycznych czy ideologicznych jest na pozór chłodny, pozbawiony patosu. Jest to eseistyka wyrzekająca się potrząsania chorągwiemi, ale nie pozbawiona dumy i szlachetności; uwolniona od męczącego frazesu i nabożnych wzruszeń nad narodową i społeczną kondycją, ale humanistyczna i patriotyczna; elastyczna, podatna na bodźce otaczającego świata, nie zasklepiająca się w zdogmatyzowanych formułach, choćby najmiłszych sercu, ale zarazem nie odchodząca od pryncypiów; unikająca stylistycznej afektacji, lecz błyskotliwa, odrębna, pociągająca. I na tyle odmienna, zwłaszcza w swej warstwie treściowej, że wyróżniająca się na tle świetnych nawet piór emigracyjnych i krajowych.

Gdy o te drugie idzie — krótkie rozwinięcie. W Polsce nie brakuje zdolnych publicystów politycznych — zarówno wśród opujących na rzecz obowiązującego systemu wartości, jak i wśród opozycji będącej *in statu nascendi*. Dlaczego więc tak rzadko pojawia się polityczna eseistyka niekłamanie wysokiej próby? Upraszczając nieco, zdaje się nie ulegać wątpliwości, że pierwsi są niejako ubezwłasnowolnieni bądź to przez swój ideologiczny formalny lub szczerzy akces do panującego systemu, bądź to przez skutki wynikające z psychologicznej zgody na podporządkowanie się władzy, bądź przez jedno i drugie. Ograniczają ich nadto ściśle wykreślone ramy, w których oficjalna myśl polityczna, a raczej „polityczna”, poruszać się i może, i musi. Nie może być bowiem dobrego pisarstwa ugodowców, gdy w systemie nie jest możliwa nawet ugoda, lecz wymagane jest posłuszeństwo. Natomiast publicystyka polityczna drugich, pozbawiona rzecz jasna wspomnianych serwitutów, nosiła na sobie niekiedy piętno tego, co bohater „Niereczywistości” nazywa kompleksem lokalności Polaków, a z czego coraz liczniejsze jednostki z formacji intelektualnej, ukonstytuowanej przez sprzeciw wobec narzuconej hierarchii wartości, poczynają się obecnie wyłamywać.

Wracając *ad rem*, zauważmy, że wcale nie tak rzadko okazuje się, iż publicystyka pisarsko sprawna, kierowana i logiczna nie przystaje do realiów, błędnie rozpoznaje i mylnie przewiduje. Mieroszewski z powodzeniem unikał tych ślepych zaułków. Eseistyka jego tkwiąc w miąższu rzeczywistości krajowej jest jednocześnie uczulona na wszelkie ważniejsze zachodzące w świecie procesy i zjawiska polityczne. Jest swego rodzaju zagadką jak człowiek ten — z dala od Polski i w sensie chronologicznym, i przestrzennym i, być może najważniejsze, psychologicznym, odcięty od niej barierami zdawałoby się nieprzekraczalnymi, bo odmiennymi płaszczyznami pojęć, wyobrażeń, doznań, odruchów i reakcji na nie — tak dobrze wyczuwał puls podskórnych bio-prądów społecznych, wiernie towarzysząc tym siłom, w których działaniu upatrywał możliwości zmian w kierunku demokracji systemu.

Pisarstwo Mieroszewskiego ze względu na fakturę, język, konstrukcję, sposób argumentacji, a zwłaszcza ze względu na

propagowane treści polityczne i ideologiczne wyzwala — jak każda wysokiego lotu publicystyka polityczna — przeciwstawne reakcje. Nieliczni tylko reagują na pisarstwo to w sposób letni czy obojętny.

Czy zatem dla zwolennika pisarstwa Mieroszewskiego, za którego się uważam, wszystko o czym pisał ten publicysta jest przekonujące i bez skazy? Nie ma ludzi nieomylnych. Prawda prozaiczna, w szczególności w odniesieniu do delikatnej i misternej sfery, jaką tworzy rzeczywistość ideologiczno-polityczna. Tylko totaliści z ducha i praktyki nie myślą się nigdy. Toteż i zwolennik pisarstwa Mieroszewskiego napotka w jego koncepcjach — obok wniosków i idei interesujących, niekiedy rewelacyjnych — także elementy, które można by wymienić na inne lub bez żalu pominąć, napotka takie interpretacje, które wywołują opór. Zastrzeżenia te w większości będą się odnosiły do spraw drugorzędnych i nieistotnych z punktu widzenia światopoglądowych założeń jego pisarstwa.

II

Nie sposób tu wyczerpująco ukazać ani bogactwa myśli, ani choćby nawet dokładnie wymienić wszystkie wątki, pomysły oraz hybrydy i mutacje dawniejszych idei publicysty zawarte w tym zbiorze esejów. Zatem z konieczności ograniczę się do zwięzłej próby przedstawienia najistotniejszych właściwości charakterystycznych dla ontologicznej istoty pisarstwa Mieroszewskiego.

Odnacza się ono otwartością na problematykę światową. Mieroszewski na pierwszym miejscu był Polakiem, ale był także Europejczykiem, bardzo uczulonym na to wszystko — zwłaszcza w sferze kulturowej — co łączy mieszkańców naszego kontynentu. Europejskość czyniła go więc wrażliwym na wszelką zaściankowość Polaków w mentalności, kulturze, ideologii i polityce. Właściwość tę uważał za wadę, która dziś, w świecie spoglądającym już niemal w brzask XXI wieku, bardziej niż kiedykolwiek w dziejach Polski, stać się może jednym z podstawowych źródeł zagrożenia bytu narodowego. Toteż pomieszczanie spraw polskich w kontekście światowym lub europejskim jest wybijającą się cechą jego publicystyki.

Dla ilustracji przytoczmy krótki cytat. „Trzeba młodym — pisał — zaprezentować polskość jako istotny fragment problemu europejskiego. Gdybym miał przemawiać do młodych chłopców i dziewcząt urodzonych w Anglii — to nie mówiłbym im o Bolesławie Chrobrym, Koperniku czy Piłsudskim — ale zacząłbym od stwierdzenia, że w roku 1939 było w Europie 7 dyktatorskich rządów. Dziś jest ich 12”. Wprawdzie w 1939 roku było, jak myślę, tych reżymów więcej, ale nie to jest tu ważne. Powyższy fragment odślania bowiem obok wspomnianej inne jeszcze cechy pisarstwa Mieroszewskiego: umiejętność wychwytywania wyznac-

ników otaczającej rzeczywistości, szerokość spojrzenia, odwagę odrzucania miłych sercu stereotypów, racjonalny krytycyzm.

Racjonalny krytycyzm właśnie uodpornił go na mąjące wzrok i gmatwające właściwy wybór perspektywy przeciążenie historycznej tradycji. Cenna to właściwość w czasach, gdy nie tak rzadko wspomnienia ryngrafów, dawnych wiktorii, minionych podbojów zastępują potrzebę myślenia o dniu dzisiejszym w kategoriach współczesności. Mieroszewski jest podejrzliwy wobec tego, co przesadne, co nadmierne zapatrzone w przeszłość, co miarą minioną mierzy teraźniejszość. Sam natomiast kieruje wzrok ku temu, co postępowe i przyszłościowe. Pisał na ten temat tak: „postęp w każdej dziedzinie jest poprzez kontrowersje”, toteż „jeżeli się chce wysuwać nowe koncepcje, trzeba stare odrzucić... W sumie zagadnienie sprowadza się do kwestii: co kto odrzuca? Konserwatyści odrzucają niezmiernie więcej rzeczy nowych niż ja starych”. Jednocześnie broni się skutecznie przed popadnięciem w skrajność bałwochwalczej ekscytacji tym co nowe, pchającej niekiedy do zapoznania skumulowanych doświadczeń minionych pokoleń.

O jednym należy jeszcze wspomnieć. Wśród publicystów politycznych są krytycy wad społecznych czy narodowych, demaskatorzy niedojrzałych koncepcji historiozoficznych i politycznych, którzy nie potrafią jednak wykroczyć poza samą krytyczną analizę zjawisk. Trudno rozstrzygać, co jest tego przyczyną. Czy to skaza na talencie, wada natury psychologicznej, niedomiar wiedzy lub odpowiedzialności, bądź coś jeszcze innego? Mieroszewski do tej kategorii ludzi nie należał. Przeciwnie, podejmując od dawna trudne, niekiedy bolesne rewizje historyczne i polityczne, równolegle proponował odważne alternatywne rozwiązania.

Wspomniane cechy, w dużej mierze decydujące o zaletach jego eseistyki, stanowią jednak jakby zewnętrzne „zwmniki” osobowości pisarskiej Mieroszewskiego. I dopiero łącznie z wyznawanymi przez niego podstawowymi kanonami światopoglądowymi zakreślają granice, w których myśl polityczna pisarza się obraca. Kanony te stanowią zarazem jakby elementy docelowe jego wizji. Owe nadrzędne zasady — to suwerenność jednostki i narodu, demokracja, humanizm, socjalizm i ewolucjonizm. Ile rodzajów ideologii, sposobów uprawiania polityki, wariantów interpretacyjnych, tyle możliwości rozumienia tych zasad. Jedynie więc analiza zawartości treściowej esejów Mieroszewskiego — tu z konieczności pobieżna — pozwoli na poprawne odczytanie desygnatów, w jakie wyposaża on owe terminy.

Leitmotiwem „Materiałów do refleksji i zadumy” jest poszukiwanie odpowiedzi na pytanie — w dziejach myśli niepodległościowej stałe obecne — w jaki sposób Polska może odzyskać suwerenność? Nie będzie przesadą stwierdzenie, że jest to kwestia właściwie centralna dla całej — od pierwszych powojennych szkiców po ostatnie — publicystyki Mieroszewskiego. „Polska jest w tak trudnej sytuacji, że należy przebadać każdą koncepcję

i zastanowić się nad każdą możliwością" — pisał. A że rozważania te, gdy prowadzone są uczciwie, wciągają bardzo głęboko, dotykając pokładów niepokojących, często tak chętnie — czy to z lenistwa umysłowego, czy z lęku docieczenia prawdy? — spychanych w zapomnienie; że narzucają potrzebę przewartościowania dawnych oczywistości; że wymagają przykrych operacji na materii historycznego jestestwa — to zrozumiałe. W dzisiejszym położeniu — powiada Mieroszewski — najważniejszych celów narodowych nie osiągnie się bez oczyszczających ofiar i cięć. Bowiem droga do suwerenności realnej i niezależnej, choć na miarę możliwości i ograniczeń narzucanych przez wymogi i warunki dzisiejszego świata (pisał: „W Europie — wyłaczając Rosję — żadne z państw nie jest w klasycznym tego słowa znaczeniu suwerenne”) jest długa, bardzo trudna, a perspektywy zamazane.

W płaszczyźnie przemian wewnętrznych — które zdążyć winny w stronę osiągania kolejnych stopni rzeczywistej suwerenności jednostki i społeczeństwa — droga ta wspierać się musi o zasadę, że „tylko poprzez napór społeczeństwo może coś osiągnąć”. Przekonanie to, będące refleksem socjalistycznego światopoglądu Mieroszewskiego i wsparte doświadczeniami polskiego powojennego okresu, każe mu analizować każdą szansę, każdy na razie nawet nikły trop społeczny prowadzący w pożądanym kierunku; każe układać mniej lub bardziej prawdopodobne scenariusze wydarzeń wewnętrznych i zewnętrznych i każe poszukiwać optymalnej z punktu widzenia realizacji celu podstawowego ich stycznej trajektorii. Napór społeczeństwa wtedy zyska właściwy wymiar i skuteczność, gdy włączy się doń jako zasadnicza siła motoryczna klasa robotnicza. Bez współdziałania robotników i solidarności społeczeństwa zmiana systemu rządów monopartii na demokratyczny jest wątpliwa, a właściwie nawet nierealna. Mieroszewski bowiem nie wątpił, że dziś robotnicy stanowią siłę, z którą system liczyć się musi najbardziej. Oto co na przykład pisał po grudniu 1970 roku: „Komunizm z wszystkich współczesnych ustrojów jest najmniej elastyczny, najmniej reformatorski i najbardziej konserwatywny... komuniści rozbudowując przemysł kręcą bicz na samych sobie. Przemysły w oczach komunistów mają stanowić bazę ich dyktatorskiej władzy. Komuniści zapominają jednak, że uprzemysłowienie produkuje nie tylko dobra materialne, lecz również klasę robotniczą, której siła i świadomość polityczne rosną z każdym miesiącem”.

Przyznajmy, że słowa te brzmią dziwnie znajomo. Tak, to po prostu przewrotna adaptacja słynnej tezy twórców marksizmu zapowiadającej przyszły los burżuazji! Zaskakujące bywają wędrówki idei.

Jednak możliwość zmiany systemu nie stanie się rzeczywistością, i — dodajmy — dotąd ustrój ten będzie trwał także siłą wewnętrznej inercji, dopóki robotnicy nie uznają, że obok „walki o kiełbasę” niezbędna jest walka o reformy ustrojowe, które „winny być w pierwszym rzędzie zamówieniem społecznym klasy robotniczej”. W takim kontekście i tradycyjna rola inteligencji

ulega przemianom; obecnie jej przyszłość coraz bardziej związana jest z klasą robotniczą, choćby z powodu wzajemnego podobieństwa kondycji społecznych. Powinnością inteligencji — obok wnoszenia w życie społeczne jej tylko właściwych cennych samostnych pierwiastków — ma być artykułowanie pragnień i dążeń klasy robotniczej w programy i platformy polityczne. Pisał na ten temat tak: „Jednym z podstawowych elementów mojej wizji politycznej jest sojusz inteligencji z klasą robotniczą”. Słowa, które z sympatią muszą być odczytywane przez opozycję demokratyczną w kraju.

Niechże jednak nikogo nie myli podobieństwo porzrzucanych w szkicach szeregu twierdzeń z tezami marksizmu. Podobieństwo to jest pozorne. Powiedzmy wyraźnie: Mieroszewski marksistą w klasycznym sensie tego terminu nie był. Natomiast marksizm odcisnął na jego światopoglądzie pewien ślad, widoczny zwłaszcza w stosunku do klasy robotniczej i kapitalizmu. Rzecz by można, że był Mieroszewski demokratą i socjalistą w istotnie zmodyfikowanej przedwojennej pepesowskiej wersji. Ale jego wersja socjalizmu różni się zarazem od niemal beztreściowego socjalizmu w wydaniu części socjaldemokracji.

Krytycy komunizmu wypowiedzieli na temat fenomenu tej ideologii słowa słuszne i mądre, ale również wiele sądów naiwnych bądź płaskich i prymitywnych. To co w tej materii ma do przekazania Mieroszewski jest interesujące właśnie w aspekcie uwypuklenia przebiegających na różnych płaszczyznach opozycji między założeniami i praktyką socjalizmu i komunizmu. Dla niego demokracja, będąc przeciwieństwem tego wszystkiego, co w zakresie swobód i praw obywatelskich jednostki i ogółu przynosi jakikolwiek Totalizm, jest więc też ze swej istoty zaprzeczeniem komunizmu — lecz nie socjalizmu. Demokracja jest bowiem nieodłącznym atrybutem socjalizmu, więcej: jest jego pierwszym podstawowym warunkiem koniecznym. „Socjalizm — pisał — można realizować tylko w ustroju parlamentarnej demokracji i dlatego socjalista musi być w pierwszej kolejności obrońcą ustroju demokratycznego a dopiero w drugiej kolejności socjalistą”. A w innym miejscu dodawał: „Demokracja nie gwarantuje rozkwitu socjalizmu — lecz likwidacja demokracji gwarantuje likwidację socjalizmu”.

Największym zagrożeniem demokratycznego socjalizmu jest instytucjonalizacja, toteż realizować się on winien przede wszystkim w płaszczyźnie moralnej. „Socjalizm — stwierdzał — winien być zawsze programem społecznym a nie oficjalną ideologią podstawową”. I jeszcze: „nie ma i nie może być państwa socjalistycznego. Państwa jako instytucji narodowej w chwili napaści z zewnątrz można i należy bronić siłą. Natomiast socjalizm nie można wprowadzać w czyn siłą ani bronić siłą — ponieważ socjalista, który ucieka się do przemocy przestaje być socjalistą... Innymi słowy, trzeba zrezygnować z państwa socjalistycznego by móc budować społeczeństwo socjalistyczne”. Wedle Mieroszewskiego właśnie w podejściu do kwestii instytucjonalizmu zawiera

się jeszcze jedna esencjonalna różnica pomiędzy najbardziej nawet liberalnym, powiedzmy, z okresu „Praskiej Wiosny”, komunizmem a socjalizmem. Bowiem „komunizm (każdy komunizm) — odróżnia od socjalizmu demokratycznego instytucjonalizm”. Dopiero wówczas, gdy pluralistyczny komunizm zechce się wyrzec instytucjonalnej struktury, zacznie się on przeistaczać właściwie w radykalny socjalizm demokratyczny.

Przy całej swej niechęci do komunizmu, nie miał Mieroszewski w sobie nic z prymitywnego antykomunisty i posługiwał się w analizie konkretnej sytuacji wycienionymi sędami. Przestrzegał przed zgubnymi uproszczeniami. I komunizm komunizmowi nie jest równy. Nie muszę dodawać, że miał rację. Porównajmy komunizm ery Dubczeka czy nawet jugosłowiański z obecnymi systemami w Czechosłowacji, NRD, Rumunii!

Warto, myślę, zwrócić uwagę na jeszcze jeden aspekt socjalistycznych przekonań Mieroszewskiego, ściśle zresztą wiążący się z jego wizją przyszłej Polski. Polska wiarygodna była dla niego w swej naprawdę racjonalnej perspektywie Polską społeczeństwa demokratycznego i socjalistycznego. Ponieważ zaś socjalizm jest w swej podstawowej warstwie także przeciwieństwem kapitalizmu (który „w każdej fazie swego rozwoju jest tym czym był i czym zawsze będzie”), zrodzonym genetycznie z buntu właśnie przeciw niemu, toteż nie może być powrotu choćby do cienia jakże anachronicznej polityczno-społecznej struktury międzywojnia. „Na emigracji — pisał — jedynie *Kultura* zajęła w tej sprawie jasne stanowisko... Rozumieliśmy bowiem, że Trzecia Rzeczypospolita... zatrzyma zdobycze socjalizmu. Tak jak w polskich warunkach nie może być powrotu do wielkoobszarniczej prywatnej gospodarki rolnej, tak nie może być również kapitalistycznej reprivatyzacji wielkich zakładów przemysłowych”. Czytając te oczywiste niemal dla każdego dziś mieszkańca kraju zdania, zdumienie budzi fakt, że przez lata stanowisko to było jedną z przyczyn ostracyzmu wpływowej części emigracji i wobec autora, i wobec pisma.

Ewolucjonizm stanowi kolejne ważne ogniwo pisarstwa Mieroszewskiego. Jedną z głównych konsekwencji tej teorii, wyłożonej w osobnej książce wydanej w 1964 roku, Autor po latach streścił następująco: „w krajach Europy Wschodniej należy popierać tych, którzy dążą do demokratyzacji ustroju...”. Z tego też wynika, że skoro celów perspektywicznych nie da się w obecnej koniunkturze dopiąć od razu, jedynym sensownym postępowaniem jest dążenie od wewnątrz — ale przy moralnym poparciu emigracji — do stopniowego rozszerzania sfery niezależnej samoświadomości społecznej i zakresu swobód demokratycznych.

III

Te zasygnalizowane wyznaczniki światopoglądu i osobowości Mieroszewskiego napotykałyśmy oczywiście także w bardzo chyba

charakterystycznej dla całości kształtu jego myśli politycznej — i stąd szerzej w tym miejscu przedstawianej — koncepcji. Wiedza, intuicja i mądrość podpowiedziały mu, że punkt centralny przyszłych losów Polski leży w płaszczyźnie jej stosunków z sąsiadami. Zastugą jego było wytrwałe drażnienie w społecznej świadomości potrzeby zrozumienia wagi prawidłowego podejścia do tej kwestii. Z wieloletnich rozważań jego i bliskich mu ideowo zrodziła się umiłowana przezeń i wspierana gorąco przez *Kulturę* koncepcja polskiej *Ostpolitik*. Koncepcja ta, przekonująca, demokratyczna i humanistyczna w swych założeniach i treści, wydaje się być na dalszą metę także jedynie słuszną i, paradoksalnie, mimo pozorów utopijności, jedynie realną właśnie. Mówiąc jeszcze ściślej, ten humanistyczny patriotyzm i demokratyzm pisarza — dający o sobie znać wszędzie tam, gdzie kroczy on gąszczem przenikniętych wzajemnymi resentymentami stosunków między Polakami, Ukraińcami, Litwinami, Białorusinami, Rosjanami — pogląd ów konstytuuje. Jest to stanowisko otwierające perspektywę i szanse tam, gdzie zaślepiony szowinizmem nacjonalista bądź najzwyczajniej w świecie by ich nie dojrzał, bądź nie pojął znaczenia, bądź byłby je z góry odrzucał. Żeby nie było nieporozumień, Mieroszewski nie prezentował jakiegś odmiany postawy filoliteńskiej czy filoukraińskiej. Uważał jedynie, że każdy naród ma prawo do samostanowienia.

Proste, banalne nawet, nieprawdaż? Okaże się to nie takie pewne, gdy skrupulatnie rozglądniemy się na własnym podwórku historii i współczesności, gdy wejrzymy we wnętrza własnych dusz. Mieroszewski jak nikt inny ze starej emigracji, i jak nieliczni stosunkowo w kraju, potrafił w przekonujący, spokojny i zarazem bezlitosny sposób dokonać wiwisekcji mielizn i słabości różnych odmian myślenia nacjonalistycznego — tak społecznie niebezpiecznego zwłaszcza w wersji postendeckiej — dowodząc, że prowadzą one na manowce. Analizując szanse realizacji założeń ideologii egoizmu narodowego w prawdopodobnym scenariuszu wydarzeń, obnaża fałsz myślenia politycznego, które w praktyce zasadę samostanowienia uważa za słuszną, gdy jedynie odnosi się do Polaków. Sama geopolityka — abstrahując już nawet od względów moralnych — wymaga jednak uznania prawa Ukraińców, Białorusinów, Litwinów do własnej państwowości. Wymaga czegoś więcej — ofiar, to jest wczesnego zrozumienia konieczności wyrzeczenia się na przyszłość wszelkich roszczeń rewindykacyjnych na Wschodzie. Dziś po części rozstrzygają się przyszłe stosunki Polski z sąsiadami, jej byt polityczny i w konsekwencji kształt ustrojowy. Gdyby zwyciężyły bądź poglądy ludzi, „których program wschodni składa się z emocji, kompleksów i uprzedzeń” i głoszących, że „wszystko co rosyjskie jest złe i godne pogardy”, bądź koncepcja neodmowszczyzny, to jest tych, którzy „przez Rosję rozumieją Związek Sowiecki” — złe wróżyłoby to suwerenności Polski. Tylko właśnie „wyrównanie stosunków z Ukraińcami, Białorusinami, z Litwinami i w dalszej perspektywie z nieimperialistyczną Rosją —

stanowi podstawowy warunek odzyskania i utrwalenia niepodległości Polski”.

Pozornie tylko bowiem jest poprawne logicznie endeckie rozumowanie, zakładające, że mocarstwo w stronę którego endecy tradycyjnie kierowali przychylny wzrok „uzna naszą niezależność za cenę uznania przez Polskę wieczystej niewoli” jej wschodnich sąsiadów. Ani program prometejski, ani program rozmów z wielkim sąsiadem nie wchodzi w rachubę, „bowiem takiego wyboru nie mamy”. Położenie Polski, tradycje, w końcu własny interes skazują ją zarówno na Wschód, jak i na Zachód. Trzeba umieć tę wyjątkową — i w добrem, i w złem — sytuację wykorzystać. „Należymy bowiem — pisał — tak do Wschodu, jak i do Zachodu i powinniśmy pielęgnować i rozwijać ową dwoistość, która jedynie może nas uchronić przed zdeklasowaniem tak w sensie politycznym, jak i kulturalnym”.

Natomiast polska *Westpolitik* w dzisiejszej konfiguracji światowej jest dla Mieroszewskiego tylko pochodną *Ostpolitik*. Rozumowanie to, podkreślające tak wyraźny układ zależności jest uprawnione, choć można wyobrazić sobie nieco inne scenariusze rozwoju sytuacji na Zachodzie, mniej korzystne niż te, jakie kreśli Mieroszewski. Jakkolwiek by było, jedno jest jasne — orientacje wyrastające z podglebia prometejskiego lub endeckiego jako anachroniczne skazane są prędzej czy później na niepowodzenie.

IV

O esejach Mieroszewskiego można by pisać wiele jeszcze: o pasjonujących rozważaniach z zakresu polityki globalnej; o roli wielkich mocarstw i ich odpowiedzialności za pokój (np. „Pokojowi świata nie zagrażają małe i średnie narody domagające się samostanowienia i niepodległości — pokojowi świata zagraża zawsze i wszędzie rywalizacja nuklearnych supermocarstw”); o wnikliwych uwagach na temat istoty polityki radzieckiej, mechanizmów i ograniczeń tzw. doktryny Breżniewa, szans ewolucji ustroju i możliwości procesów dewolucyjnych w ZSRR; o kontrowersyjnych rozważaniach dotyczących Chin; o plusach i minusach nieśmiałej pohelskiej koniunktury dla narodów naszego regionu; o eurokomunizmie jako potencjalnej szansie osłabienia pozycji stalinizmu i spoistości ideologicznej i politycznej bloku radzieckiego, i o krótkowzrocznej w tym zakresie polityce amerykańskiej, uwikłanej w sieci dawnych uprzedzeń.

A także o przenikliwych rozważaniach dotyczących istoty i sił motorycznych totalizmu (np. celne zdanie: „Główną cechą totalizmu jest przemianowanie mitu w obiektywny fakt”); o totalizmie w skali polskiej i o perspektywicznej groźbie zastąpienia obecnej dyktatury nacjonalistyczną; o wizji orwellowskiego *newspeak*'u i o jej zmodyfikowanej „na wyższym szczeblu” polskiej realizacji; o anachronicznym stanie świadomości

mości politycznej dużego odłamu dawnej emigracji i o walorach nowego wychodźstwa politycznego; o ostro i trafnie scharakteryzowanych proamerykańskich złudzeniach Polaków, przywiązanych do tradycyjnych uproszczonych wyobrażeń ładu światowego i w powinnościach Zachodu wobec Polski; o błyskotliwych, acz dyskusyjnych rozważaniach na temat wzajemnych historycznych uwarunkowań myślenia politycznego Rosjan i Polaków; o jakże celnych — i zbieżnych z odczuciami czułych pisarskich rejestratorów przejawów życia społecznego w kraju — rozważaniach wokół psychologicznego, społecznego, politycznego portretu i statusu inteligencji, jej stereotypie i ethosie; o korzeniach i skutkach konserwatyzmu w mentalności społecznej i o historiotwórczej roli myślącej mniejszości; o zawsze aktualnych problemach kultury socjalistycznej i swobody wypowiedzi (np. „kultura socjalistyczna, która opiera się na cenzurze, nie jest kulturą socjalistyczną”, albo: „Prawdziwy socjalizm dysponuje tak logiczną i przekonującą argumentacją, że nie potrzebuje cenzury. Cenzura potrzebna jest tylko policyjnemu totalistycznemu socjalizmowi, który udaje socjalizm”).

Listę idei, problemów, ocen i interpretacji zawartych w esejach można by jeszcze ciągnąć...

V

...Za dopełnienie przytoczonego na wstępie tekstu motto niech posłużą następujące słowa pisarza, które można by odczytywać jako jego credo ideowe: „Polska niepodległa, demokratycznie rządzona, w dobrych stosunkach ze swymi sąsiadami jest również utopią. Lecz to jest utopia, której nie zamierzam ani się wyzbyć, ani jej zdradzić”.

Juliusz Mieroszewski zmarł w Londynie 21 czerwca 1976 roku.

Włodzimierz MART

Korespondencja z Rzymu

Habemus Papam!

Wszyscy bez wyjątku eksperci „watykanolodzy” i komentatorzy polityczni pomylili się z kretesem. Nikt nie wymienił kardynała Albino Luciani'ego wśród *papabili*. Wybór ten przewidział jedynie skromny rzymski mechanik, który jego sekretarzowi prosiącemu przed *conclave* o szybkie naprawienie samochodu, odpo-

wiedział: „zrobię to dla przyszłego papieża choć nie będzie musiał wracać do Wenecji”. Kompletnym zaskoczeniem był fakt błyskawicznego zakończenia *conclave*: już po dwóch porannych głosowaniach nazwisko patriarchy Wenecji znalazło się na czele, a w czwartym, decydującym, jego wybór przeszedł niemal jednomyślnie. Nie wyklucza się nawet, że przez aklamację. Kardynałowie nie zaintonowali więc daremnie *Veni Creator Spiritus* w czasie ingresu do Kaplicy Sykstyńskiej. Rozstrzygający udział inspiracji Ducha Świętego w tej elekcji podkreśliło wielu kardynałów, łącznie z Prymasem Polski. Prymas Polski wyraził szczególne zadowolenie ze zbieżności wyboru papieża w dn. 26 sierpnia z uroczystościami na Jasnej Górze ku czci Matki Boskiej. *Osservatore Romano* zamieściło ostatnio na całej szpalcie reportaż fotograficzny z Częstochowy z komentarzem w opracowaniu ks. prałata B. Lewandowskiego o pątnikach modlących się za nowego Papieża.

Nie odbierając Duchowi Świętemu należnego mu miejsca, zajmijmy się *ex post* strategią i kryteriami jakie przesądziły o zaskakującym wszystkich wyborze. Pozostawmy na boku sztamopową rekonstrukcję prasową. Ci sami specjaliści, którzy malowali nam obraz przyszłego *conclave* jako nieuniknionego, choć powolnie narastającego, przymierza pomiędzy *centro montiniano* (centrum kurialnych popleczników zmarłego papieża) a „skrzydłem postępowym” w episkopacie światowym — dziś z zakłopotaniem tłumaczą nam dlaczego wybór padł — ich zdaniem — na „konserwatystę”. Poważniejsze elementy dla takiej post-datowanej analizy znajdujemy w wynurzeniach szeregu kardynałów, w wypowiedziach kościelnych ekspertów (którzy przed *conclave* milczeli jak zakłęci), w różnych aluzjach i „niedyskrecjach”. Nie ulega wątpliwości, że dwutygodniowy okres przed *conclave* wykorzystano dla prywatnej wymiany poglądów oraz zarysowania typologii przyszłego pontyfikatu w czasie zebrań kardynałów na tzw. kongregacjach generalnych. W dobrze poinformowanych kołach dyplomatycznych przy Stolicy Apostolskiej twierdzi się, że ta formalna i nieformalna wymiana poglądów wykazała dezorientację, niepewność i brak jednomyślności wśród samych przedstawicieli Kurii Rzymskiej. Nie przychylam się do tej opinii. Jeśli „dezorientacja” dotyczy konkretnego nazwiska — zgoda, nie zachodziła jednak „niepewność” co do wizji przyszłego pontyfikatu. W tej fazie nie chodziło zresztą o wytypowanie konkretnego kandydata, lecz raczej o naszkicowanie profilu duchowego, psychologicznego, przyszłego papieża, przymierzając ten profil do uzgodnionej wizji pontyfikatu. Żadna z hipotetycznych kandydatur nie była bowiem w stanie przekroczyć liczby 35-40 głosów (na 75 + 1 głosów potrzebnej większości). Stąd początkowe, ogólne przeświadczenie o uciążliwym i długotrwałym przebiegu *conclave*. Jak się podobno okazało kardynałowie z krajów trzeciego świata, a także pewna liczba z innych krajów, z niechęcią lub wręcz dezaprobatą odnosiła się do kandydatów pochodzących z Kurii Rzymskiej bądź z dyplomacji, stawiając wyraźnie na kandydaturę duszpasterską.

Wizji nowego pontyfikatu odpowiadał papież reprezentujący trzy cechy: „duszpasterza”, „przywódcy duchowego” i „obrońcy biednych i ucisnionych”. W tym właśnie kontekście nazwisko patriarchy Wenecji, znanego osobiście większości kardynałów z Ameryki Łacińskiej i Afryki, wypłynęło jakoby w wigilię otwarcia *conclave*. Nad tą kandydaturą pracował za kulisami z energią i wielką intuicją kardynał Giovanni Benelli z Florencji, b. Substytut Sekretarza Stanu. Benelliego, nielubianego przez niektórych kurialistów i progresistów z racji twardej ręki, prostoliniowości i antykonformizmu, wielu obserwatorów uważa dziś za głównego stratega wśród tzw. *Papamakers*. Po stopniowym wykruszeniu się pozycji kolejnych możliwych kandydatów (Felici, Pignedoli, Pironio, Baggio, Bertoli), kandydatura kardynała Luciani’ego zarysowała się prawdopodobnie znacznej liczbie wielkich elektorów jako figura papieża idealnego, pasterza, a nie polityka, wyznawcy, a nie dyplomaty.

Jana Pawła Pierwszego biskup Helder Camare określił jako „odpowiedniego papieża wybranego w odpowiednim momencie”. A znany teolog Hans Kung oświadczył: „sądzę, że nowy papież w dużej mierze uosabia te zalety jakie teolodzy i świeccy uważają dziś za konieczne. Myślę, że następcą Pawła VI-go jest prawdziwym chrześcijanem i mam nadzieję, że będzie przede wszystkim przywódcą duchowym”.

Enigma: Albino Luciani

Kim jest Jan Paweł I (podwójne imię bez precedensu w dziejach Kościoła)? Jaką orientację reprezentuje? Nowy papież, mały znany nawet we Włoszech, łączy w sobie dobrodusność Jana XXIII-go i rozwagę Pawła VI-go, bez widocznych rozterek, wahań i niepewności swego bezpośredniego poprzednika. Pierwszego ze swych poprzedników, ten syn robotnika, który poznał biedę na własnej skórze, przewyższa inteligencją. Zdrowy, chłopski rozsądek, krzepka prostota, ale i naiwność Jana XXIII-go odbiegły znacznie od poczucia realizmu i pokory Jana Pawła, jego pragmatyzmu i podszytej delikatną ironią znajomości ludzkich charakterów. Od drugiego swego poprzednika różni się zaś naturalnością i komunikatywnością. „Piętnaście lat ludzie czekali na uśmiech w Watykanie” — brzmi komentarz znanego psychologa. Po surowym, zastygłym i zawsze zasmuconym obliczu Pawła VI-go — zwrot jest uderzający.

Wybór obydwu imion oznacza akceptację ciągłości umiarkowanego reformizmu i otwarcia ku problemom świata współczesnego. Nie oznacza jednak w żadnym razie ślepego naśladowania poprzedników. Przeciwnie, istnieje wiele danych, że nowy papież obierze własną drogę. Już pierwsze jego wystąpienia świadczą o radykalnie odmiennym stylu. Odrzucenie tiary i tronu, dalsze zredukowanie pompy, częściowa eliminacja *pluralis maiestatis*, to nie tylko zewnętrzne symptomy, lecz dalsza stopniowa ewolu-

cja zmiierzająca do waloryzacji ewangelicznych źródeł Kościoła (łącznie z charakterystyczną, dokonaną już częściową rewaloryzacją łaciny!). Prostota, spontaniczne gesty, skłonność do improvizacji (odbiega często od przygotowanego tekstu co przysparza kłopotów watykańskiej obsłudze prasowej), a nawet pewna antyprotokolarna „rewolta” — wszystko to pomaga popularności nowego ppięza.

Albino Luciani urodził się i przebywał stale na terenie metropolii weneckiej jako kapłan, katecheta, biskup i kardynał. Dał się tam poznać zwłaszcza jako pasterz i społecznik, bliski trosk najbardziej upośledzonych, jako człowiek niezwykle wyważony, ale zarazem energiczny i zdecydowany, z punktu widzenia teologicznego nie przeginający pałki ani na rzecz konserwatystów, ani progresistów. Kiedy kilku księży-robotników zaczęło głosić pojednanie pomiędzy katolicyzmem a marksizmem, w praktyce zacieraając granice odrębności, nie wahał się pozbawić ich kanonicznej autoryzacji. Parokrotnie skrytykował masowy absenteizm w fabrykach i manię nieskoordynowanych strajków, protestował jednak zarazem stanowczo przeciwko przedsiębiorcom, kiedy tysięcy robotników groziło wyrzucenie na bruk. Do Kurii Rzymskiej odnosił się z nieufnością, a przynajmniej z rezerwą i pewną alergią. Wzywany do Watykanu, ociągał się przed opuszczeniem Wenecji dopytując się czy rzeczywiście jego przyjazd jest konieczny.

Kardynał Luciani uprawiał również dziennikarstwo czy raczej publicystykę. Kiedyś zwierzył się: „gdybym nie został biskupem, pragnąłbym być dziennikarzem”. W jego artykułach i wypowiedziach odnajdujemy cenne wskazówki, umożliwiające poznanie jego poglądów na szereg ważnych problemów i zjawisk społecznych. Piszący te słowa znajduje się w szczęśliwym położeniu jako stały współpracownik katolickiego miesięcznika *Prospettive nel mondo*, na którego łamach kardynał Luciani występował nieraz jako autor zawsze gotowy do zabrania głosu w sprawach aktualnych, interesujących opinię publiczną. I to „bez ogródek” (*senza peli sulla lingua*) jak mawiał redaktor naczelny tego pisma, założonego dwa lata temu z inicjatywy Fanfani’ego, przewodniczącego Senatu i jednego z liderów Chrześcijańskiej Demokracji, jako pomost zbliżenia pomiędzy kulturą katolicką a liberalno-laicką i jako tama wobec napierającej fali lewicowego konformizmu i tendencji totalitarnych.

W wywiadzie na temat źródeł terroryzmu, teoretyzowanego i usprawiedliwanego przez pewne „postępowe” koła przy pomocy argumentacji pseudo-religijnej, Luciani ostro skrytykował tych chrześcijan, którzy mieszają ideały sprawiedliwości z przemocą i porzucają Ewangelię na rzecz rewolucji i fałszywego postępu. „Dla zapobieżenia różnym bolączkom — pisał — nie wystarczy kulturze jeśli jest całkowicie zsekularyzowana, gorzej jeszcze, ponieważ tzw. kultura postępową identyfikuje się zawsze z dobrobytem postępowym. Pęd ku posiadaniu i używaniu stał

się jedynym celem coraz liczniejszych rzesz tzw. kulturalnych, uczestniczących w szaleńczym wyścigu konsumpcyjnym. Po odłożeniu na bok Ewangelii wraca się z konieczności do zasady: „człowiek człowiekowi wilkiem”.

W artykule pt. „Pokusa fałszywego dialogu” nie szczędzi słów krytyki pod adresem tych chrześcijan, którzy za wszelką cenę chcą się przypodobać komunistom. Jak zwykle krytyka Luciani’ego jest cięta, choć nie zjadliwa, i zaprawiona charakterystyczną dla niego ironią. „Ci rzekomo postępowi katolicy — pisze — próbując licytować się z komunistami w lewicowości, z biblią w ręku utrzymują, że nie można być chrześcijaninem, jeśli się nie jest przedtem rewolucyjnym marksistą. Biblię — według nich — należy interpretować w duchu nie tego, kto ją pisał, lecz tego, kto ją dziś czyta. A dzisiaj kultura nosi na sobie znamię: Marks i Lenin. Inni zamiast biblii naginają do marksizmu Sobór Watykański Drugi. Kto widzi w Soborze oblicze janusowe o spojrzaniu zwróconym zarówno ku przeszłości, zachowując z niej to co żywotne, jak i ku przyszłości, dokonywując przystosowania do wymogów nowych czasów — uchodzi za anty-soborowego i pozbawionego zmysłu historycznego”. Rozprawia się następnie z nadużywaniem pluralizmu: „pewni katolicy mając pełne usta pluralizmu postulują nieograniczoną wolność opcji politycznych i utrzymują że można pogodzić chrześcijaństwo z marksizmem. Nauczanie Kościoła stwierdza jednak rzecz przeciwną: pomiędzy marksizmem a chrześcijaństwem nie zachodzi możliwość ani porozumienia ani dialogu. Z nauką Kościoła zgadzają się dziś eksperci marksolodzy”.

W artykule na temat głośnego listu Berlinguera do biskupa Betazziego formuluje bardzo jasno stanowisko wobec poszukiwania przez komunistów porozumienia i współpracy z Kościołem (por. cytowaną przez niego wypowiedź polskiego biskupa w mojej korespondencji w nr. 7/8, str. 132). Kardynał Luciani zdaje sobie sprawę, że w obliczu światowego kryzysu marksizmu proces rewizjonistyczny w ewolucji ideologicznej włoskiej partii komunistycznej przebiega w sposób paradoksalny i nie wolny od sprzeczności. Stopniowej bowiem utracie ideologicznej siły perswazyjnej komunizmu towarzyszy równocześnie stałe poszukiwanie poparcia (*consenso*) ze strony Kościoła i zabieganie o wpływy i głosy wyborcze katolickiej społeczności. Luciani nie kwestionuje dobrej woli Berlinguera, lecz samą koncepcję „wolności” w wersji eurokomunistycznej (który — podobnie jak przywódca partii socjalistycznej Craxi — uważa za przyczesaną odnogę światowego ruchu komunistycznego leninowskiej proweniencji). Powołuje się na fakty dyskryminacji i ograniczeń stosowanych przez komunistyczną administrację lokalną we Włoszech na odcinku szkolnictwa i opieki społecznej. Artykuł kończy się anegdotą: „W czasach faszyzmu mówiło się, że różnica pomiędzy sowieckimi komunistami a faszystami polega na tym: jeśli masz pięć krów komunisti zabierają ci cztery, faszyci nie zabierają wprawdzie żadnej, ale doją je wszystkie. Obawiam się że jutro można będzie po-

wiedzieć, coś podobnego: komuniści w ZSSR kradną ci niemal wszystkie wolności, zaś komuniści włoscy w słowach wszystkie je pozostawiają, ale jednak w rzeczywistości wszystko wygląda inaczej”.

Horoskop nowego pontyfikatu

Próbując zdefiniować nowy pontyfikat, to znaczy jak będzie rozwijać się w głównych zarysach, nie można ograniczyć się do analizowania osobowości nowego papieża. Poglądy, którym dawał wyraz jako biskup i kardynał, stanowią, oczywiście, cenne źródło poznawcze, ale nie można wykluczyć innych elementów, które uzasadniają zjawisko historycznie zweryfikowane. „Kiedy zasiada na tronie papiejskim, człowiek się przekształca i może okazać się innym niż był dotąd” — powiedział arcybiskup Capovilla, były sekretarz Jana XXIII-go, dodając: „najbardziej skromny może stać się papieżem wybitnym, takim jakiego Kościół potrzebuje”. Należy pamiętać, że Capovilla asystował przy metamorfozie Angelo Roncalli’ego, wybranego jako papież epoki przejściowej, a który okazał się jednym z najbardziej rewolucyjnych papieży w dziejach. Do istoty rzeczy należy trafne odczytanie „znaków czasu”. Nie ulega wątpliwości, że Jan Paweł, który łączy w sobie pokorę i stanowczość, przekonanie o pierwszoplanowym powołaniu Kościoła polegającym na niesieniu Ewangelii i świadomość że *credibility* katolicyzmu zależy od waloryzacji autonomii kategorii religijnych mających penetrować wszystkie ruchy społeczne — wychyła te „znaki czasu” lepiej niż purpuraci obeznani z mechanizmem kurialnym czy aparatem dyplomatycznym, których optyka może być czasem skażoną, a dystans od tych „znaków” zbyt odległy. Będzie na pewno starać się o wzmocnienie dyscypliny pojmowanej jednak — jak to sformułował w przemówieniu do księży diecezji rzymskiej — nie mechanicznie, tzn. według kryterium „nie komu jesteś posłuszny, lecz dla Kogo”, co wymaga „panowania nad osobistymi skłonnościami, skupienia i miłości do własnego powołania w naszych czasach duchowego niepokoju”. To powołanie zaś jest — jego zdaniem — nie pozbawione „goryczy i przykrości”. Należy przewidywać, że wobec nieposłusznych (Watykan ponowił już „ubolewanie” z powodu aktów rebelii szefa tradycjonalistów, bpa Lefebvre’a) będzie jednak wolał raczej ojcowiskie przywołanie do porządku niż anatemę.

Jak Paweł jest zwolennikiem dalszego wzrostu autonomii krajowych konferencji episkopatów oraz rozwoju kolegialnego zarządu episkopalnego. Pewne jego wypowiedzi w tej dziedzinie były bardzo dobrze przyjęte przez kardynałów jako rękojmią dalszej decentralizacji i ograniczenia władzy Kurii Rzymskiej. Nie papież monarcha zatem, lecz w pewnym sensie *primus inter pares*, sprawujący władzę przy aktywnym udziale biskupów. Wydaje się, że można przewidywać wzmocnienie roli i rozszerzenie kompetencji (z funkcji czysto konsultatywnych na *decision-*

making) Synodu biskupów. Niektórzy eksperci przewidują w związku z tym utworzenie „konsystorza” jako emanacji Synodu, tzn. organu wykonawczego, któremu Kuria watykańska byłaby podporządkowana jako aparat administracyjny. Nie można wykluczyć, aż tak daleko idącej, choć na pewno nie szybkiej, reformy centralnych struktur Kościoła. Wymaga to czasu również i dlatego, że Jan Paweł musi najpierw oswoić się ze środowiskiem kurialnym, całkowicie mu obcym. Na razie potwierdził najważniejsze stanowiska w Kurii, poczynając od kardynała Villot, Sekretarza Stanu i abp. Casaroli’ego, sekretarza Rady d/s Publicznych (zagranicznych) Kościoła. Niektórym kadencja pięcioletnia upływa niedługo (w przypadku Villota nawet druga z rządu) lub zbliżają się do 75 roku życia, a więc do automatycznej dymisji. Na razie panuje prowizorium. Według nominacji najbliższych współpracowników Papieża będzie można osądzić „polityczny” kierunek nowego pontyfikatu.

Jedną z pierwszych decyzji, jaką zapewne podejmie Jan Paweł, będzie zwołanie konsystorza dla nominacji sześciu kardynałów w celu osiągnięcia plenum Świętego Kolegium (120 kardynałów poniżej 80 lat). Kursują trzy nazwiska wybrane jeszcze przez Pawła VI: biskupa Rubina, sekretarza generalnego Synodu, arcybiskupa Casaroli’ego i arcybiskupa Ballestrero z Turynu. Nie wiadomo kim będą wybrańcy Jana Pawła oprócz arcybiskupa Civardiego, sekretarza *conclave*, który zgodnie z tradycją otrzyma kapelusze kardynalski.

Najbardziej interesuje nas oczywiście czy i jakie ewentualnie zmiany zajdą w watykańskiej polityce wschodniej. Nie ma mowy naturalnie o kompletnej rewizji tej polityki. Możliwe są natomiast pewne korektury, większa ostrożność i zmiana metody. Nie popadając w przesadę można powiedzieć, że będzie prawdopodobnie przyjęta generalnie metoda zastosowana na odcinku polskim pod wpływem strategii i wysiłków naszego episkopatu. W negocjacjach w ramach *Ostpolitik* większy nacisk będzie zapewne położony na obronę praw człowieka. Jan Paweł jako kardynał Luciani wykazywał dużą wrażliwość na tę problematykę i na prześladowania dysydentów w bloku sowieckim. W roku ub. przyjął serdecznie Andrieja Siniawskiego, choć dopiero dziś prasa publikuje fotografie upamiętniające to spotkanie. W roku 1975 gościł u siebie przez trzy dni kardynała Slipyja, patriarchę katolików ukraińskich. Powitał go z wylewnością w czasie uroczystości pogrzebowych w Watykanie, a w czasie składanego mu hołdu przez kardynałów przed bazyliką św. Piotra, powstrzymał go od uklęknięcia nie tylko z uwagi na stan zdrowia i wiek Slipyja (o 20 lat odeń starszego), ale w dowód uznania dla Kościoła Cierpiącego, co zgromadzone na placu tłumy zrozumiały, obdarzając oklaskami majestatyczną postać kardynała-męczennika. Jeśli idzie o większą wrażliwość na los wspólnot chrześcijańskich w orbicie sowieckiej napawa optymizmem fragment orędzia programowego, wygłoszonego przez Jana Pawła do kardynałów. W tym „artykule wstępnym” (po łacinie), zredagowanym w pierw-

szą noc po *conclave*, papież-dziennikarz wypowiada się przeciw prześladowaniom religijnym, opresjom politycznym, skandalom gospodarczym i zobowiązuje się do „służby biednym, prostym ludziom i bezbronny”. Odrzuca możliwość ugięcia się „przed siłami hamującymi i łęklivymi”. W tym orędziu zawarta jest przede wszystkim intuicja decydującego, przełomowego momentu historycznego, przeżywanego przez świat „głodny prawdy i miłości”, przez świat „który osiągnął szczyt (dosłownie — grzbiet), poza którym znajduje się zawrót przepaści”, ale który równocześnie „wyczuwa świt nadziei”.

Dominik MORAWSKI

Pisane 8 września 1978 r.

Biskup słowacki Paweł Hnilica, którzy parokrotnie poruszał z Pawłem VI-tym kontrowersyjną problematykę *Ostpolitik*, twierdzi że zmarły papież zdawał sobie sprawę iż rokowania z reżymami komunistycznymi „mogłyby najwyżej częściowo załatać beznadziejne sytuacje, w żadnym jednak wypadku nie mogły ich rozwiązać. Nie jest winą zmarłego papieża, że ta *Ostpolitik*, nie powiodła się”. Paweł VI-ty — zdaniem tego biskupa — projektował powołanie do życia specjalnego ośrodka (sekretariatu) dla zajmowania się marksizmem i ateizmem. Ten nowy organizm, z siedzibą poza Watykanem, a nawet poza Italią, miał cieszyć się dużą autonomią. Projekt jakoby aprobowały kościelne hierarchie krajów Europy Wschodniej, uważając, że akcja „mniej polityczna” może być bardziej skuteczna niż prowadzona utartymi drogami dyplomacji watykańskiej. „Żywię wielką nadzieję, że nowy Papież zrealizuje ten projekt” — oświadczył bp Hnilica. Biskup Hnilica przebywa stale w Rzymie.

D. M.

Sprawy i troski

Polityka kierownictwa Radia Swoboda

Połączone radia Wolna Europa i Swoboda mają nowego prezydenta, czy też dyrektora naczelnego. Jest to dr Glenn Ferguson, były ambasador Stanów Zjednoczonych w jednym z państw afrykańskich, a przedtem rektor najpierw jednego, a potem drugiego uniwersytetu amerykańskiego — z tych pomniejszych. Czyli dr Ferguson jest z zawodu akademickim urzędnikiem administracyjnym i dyplomatą w wolnych chwilach. Podobno jest człowiekiem wykształconym, zdolnym i pełnym dobrej woli i, w pewnym stopniu, zasłużonym, mimo że nie ma jeszcze pięćdziesięciu lat. Jakże jeszcze ma zalety dr Ferguson — nie wiemy. Wiemy natomiast, że nie zna on języka rosyjskiego, ani żadnego innego języka wschodnioeuropejskiego, że problemami sowieckimi czy też wschodnioeuropejskimi dotychczas się nie zajmował, a z dziennikarstwem, z pracą radiową, miał niewiele wspólnego. Będzie więc musiał się uczyć, wnikać w pracę radia, będzie musiał się zapoznać z psychologią „nowego człowieka” sowieckiego, abo-wiem tych nowych ludzi nazbierało się już sporo — w Monachium, w Paryżu, w Nowym Jorku. Należy dr. Fergusonowi życzyć powodzenia w jego niełatwej pracy. Należy też mieć nadzieję, że po paru latach, gdy nowy prezydent już znacznie cośkolwiek rozumieć, nie przeniosą go na inne stanowisko i na jego miejsce nie wyznaczą innego profesora czy administratora, który będzie musiał zaczynać wszystko od początku.

Dotychczasowy prezydent p. Sig Michelson, był z zawodu dziennikarzem i nawet profesorem w wyższej szkole dziennikarstwa, ale niewiele mu to pomogło. Został on zwolniony z końcem czerwca. Właściwie spełniał swe obowiązki tylko do grudnia 1977 roku, gdy nagle został odsunięty i jego miejsce zajął niejaki p. Aleksander Buchan. P. Michelson był postacią niewątpliwie kolorową. W naszej pamięci — tj. w pamięci zwykłych pracowników radia — pozostanie jako człowiek niezwykle energiczny i zycziwy dla

starych przyjaciół. Po otrzymaniu stanowiska zamianował cały szereg ludzi na wyższe posady w centrali waszyngtońskiej. Posady te musiano po krótkim stosunkowo czasie zlikwidować, gdy się okazało że taki sztab wyższych doradców i dyrektorów nie jest przewidziany w budżecie, ani też nie jest potrzebny. Poza tym p. Michelson bardzo lubił podróżować i „utrzymywać kontakty” w Londynie, w Paryżu, w Berlinie. Czy był z tego pożytek — nie wiadomo. W każdym razie jest rzeczą jasną, że p. Michelson nie przyczynił się do uporządkowania sytuacji ani w Waszyngtonie, ani w Monachium. Mówią o nim m.in. że nie bardzo się znał na sprawach finansowych i że za jego czasów wydawano pieniądze, których nie było.

Takiego zarzutu z pewnością nie można zrobić jego następcy p. Buchanowi. Za jego rządów w Monachium — jeszcze zanim p. Michelson odsunęto, wprowadzono szereg ograniczeń, bardzo często szkodliwych dla pracy radia i znacznie rozszerzono politykę oszczędnościową. Ograniczono podróże — i co za tym idzie — reportaże, do minimum; w ogóle zabroniono wydawać pieniądze na reprezentację i nawet na normalne kontakty dziennikarskie, kazano zredukować ilość prenumerat pism i dzienników, zamrożono ilość etatów tj. zaprzestano w ogóle przyjmować nowych pracowników, nawet na etaty zwolnione drogą naturalną przez śmierć czy odejście na emeryturę; ograniczono wydatki na rozmowy telefoniczne, wprowadzając nad nimi ścisłą kontrolę; nawet starszym i zasłużonym pracownikom zabroniono jeździć koleją pierwszą klasą. Co najważniejsze poważnie ograniczono wydatki na programy dostarczane przez pracowników nieetatowych, tzw. *freelance'ów*. Wszystko to przyczyniło się bardzo znacznie, w ciągu ostatnich paru lat, do zmniejszenia ilości programów ciekawych i oryginalnych. Mówię tu przede wszystkim o audycjach rosyjskich. Wiem, że podobne ograniczenia były wprowadzone również i w redakcjach nierosyjskich. Wiadomo jest powszechnie na przykład, że różnego rodzaju oszczędności i trudności administracyjne doprowadziły do zaostrzenia sytuacji w redakcji polskiej, obecnie cierpiącej na brak wykwalifikowanego personelu. Ale o tych nierosyjskich sprawach nie mam zamiaru pisać, bo nie czuję się dostatecznie kompetentny.

Wróćmy do p. Buchana. Jest on postacią w dużym stopniu tajemniczą, bo trafił do naszego radia nie wiadomo jak, z jakiego tytułu. Na sprawach rosyjskich się nie zna. Dziennikarzem nie jest. Nic nie wskazuje na to, by miał kiedykolwiek do czynienia z polityką międzynarodową. Odnacza się tym, że przy każdej nadającej się okazji dużo mówi o jakiejś ogólnej teorii *management*, czyli administracji, bez której podobno nie może istnieć żadna instytucja. Jeśli istota tej teorii polega na tym, że się ogląda każdego dolara z czterech stron zanim go się wyda, to nie ma w tym nic rewelacyjnego. Natomiast na czym polega sztuka kierowania taką bardzo specjalną, jedyną w swoim rodzaju instytucją jak Radio Swoboda - Radio Wolna Europa, o tym ani

p. Buchan, ani też jego poprzednicy nie zdają się mieć zbyt jasnego pojęcia.

Radio Swoboda i Radio Wolna Europa istnieją już z górą od 25 lat i — trzeba to podkreślić — spełniają (niestety ostatnio coraz gorzej) pożyteczną rolę informowania społeczeństw pozostających za żelazną kurtyną o tym co się dzieje w ich własnych krajach i na świecie. Jest rzeczą jasną, że nawet tak skromnie ujęta praca tych instytucji jest nie do przyjęcia dla kierownictwa sowieckiego. Moskwa, wszystkimi dostępnymi jej środkami, stara się skompromitować RFE-RS, dążąc do zachowania monopolu informacyjnego w swych własnych rękach.

Radio Swoboda i Radio Wolna Europa są więc atakowane ciągle, prawie codziennie w prasie sowieckiej, w audycjach radiowych nadawanych z Moskwy i ze stolic państw satelickich we wszystkich możliwych językach, zwłaszcza ostatnio, gdy pod osłoną tzw. *détente* kierownictwo sowieckie przeszło do ofensywy we wszystkich kierunkach.

Otóż trzeba stwierdzić, że od samego początku, od czasu stworzenia RWE-RS, rząd amerykański robił wszystko możliwe, by utrudnić pracę tych dwóch zespołów. Przede wszystkim oddał opiekę nad nimi w ręce CIA, Central Intelligence Agency, wywiadu — co oczywiście umożliwiło Moskwie wysunięcie oskarżenia, że Radio Swoboda i Radio Wolna Europa są po prostu ekspozyturą wywiadu amerykańskiego, centralą szpiegowską. Był to wielki błąd, tym większy że zupełnie niepotrzebny, choć dający się wytłumaczyć do pewnego stopnia. Ale tylko do pewnego stopnia i do pewnego czasu. Można sobie wyobrazić że w warunkach powojennej okupacji Niemiec, gdy stosunki z Sowietką Rosją zaczęły się gwałtownie psuć (początek lat 50-tych), organizacja takich stacji radiowych mogła trafić, w sposób niejako naturalny do rąk CIA, prawdopodobnie po prostu dlatego, że istnienie tych instytucji obliczano na czas ograniczony. Ale czas mijał, iluzje znikały jedna po drugiej. Radio „Oswobodzenie” przekształciło się w bardziej neutralne Radio Swoboda. Implikuje to pewną zmianę kierunku, pozbycie się zamiarów związanych z teorią Dullesa nie tylko o zatrzymaniu, ale też o czynnym odepchnięciu fali komunizmu sowieckiego, wyrzeczenie się tzw. *roll back*. Od tego czasu, tj. mniej więcej od połowy lat sześćdziesiątych stało się rzeczą zupełnie jasną, że nasze radio — mam na myśli tu przede wszystkim radio Swoboda — musi się ograniczyć do roli obiektywnego i uczciwego informatora. Trzeba zresztą stwierdzić, że w rzeczywistości taką właśnie rolę usiłowało spełniać radio Swoboda przez ostatnie lat piętnaście, ze zmiennym powodzeniem, rzadko grzesząc agresywnością, natomiast bardzo często stosując przesadną ostrożność. Z własnego długoletniego doświadczenia, wiem, że obecności CIA w Monachium nie odczuwało się wcale i jedynie specjalny nastuch rozmów radio-telefonicznych w Związku sowieckim, nastuch wykonywany przez nasz tzw. *monitoring*, był specjalnie organizowany dla wywiadu amerykańskiego. Była to czynność czysto techniczna,

o której mało kto wiedział. Sprawozdania odsyłano do analizy do Waszyngtonu. No i oczywiście CIA, tak jak wiele innych rządowych instytucji, uniwersytetów, instytutów naukowych itd., korzystała z wyników pracy naszego biura badań, z analizy prasy sowieckiej.

Niestety żadnych wniosków organizacyjnych z tego stanu rzeczy nie wyciągnięto. Radio Swoboda — i do pewnego stopnia Radio Wolna Europa — dalej pracowało jako organizacja na wpół tajna, tj. jak gdyby siedziała pod stołem i udawała że jej nie ma. Mieliliśmy wtedy wydział prasowy, który różnił się zasadniczo od wydziałów prasowych innych organizacji: zamiast tego by starać się o informowanie prasy zachodniej o naszej użytecznej pracy, zadaniem tego wydziału było nakłaniać dziennikarzy zachodnich, by pisali o nas jak najmniej, lub nie pisali wcale. Taktyka taka jest stosowana dotychczas, z bardzo niewielką zmianą na lepsze. Zresztą skład personalny biura prasowego pozostał ten sam.

Cała ta gra w ciuciubabkę skończyła się wreszcie wielkim krzykiem i skandalem, dla radia niepotrzebnym i szkodliwym. W początku lat siedemdziesiątych, z inicjatywy paru źle poinformowanych (wyrażam się bardzo łagodnie) senatorów amerykańskich Radio Swoboda i Radio Wolna Europa okrzyknięto „przeżytkiem zimnej wojny”, organizacjami stojącymi na przeszkodzie ku normalnym stosunkom między — z jednej strony — Rosją Sowiecką i z drugiej — Stanami Zjednoczonymi i pozostałymi państwami zachodnimi.

Propaganda sowiecka natychmiast rozdmuchała to nieporozumienie, a kierownictwo sowieckie rozpoczęło przeciwko nam generalną ofensywę, która trwa do dnia dzisiejszego. W rezultacie obydwu radiostacji o mały figiel nie zamknięto i wreszcie zrobiono to, co dawno należało zrobić: wyjęto je spod kontroli CIA i podporządkowano bezpośrednio rządowi i Kongresowi. Był to wstrząs nielada. Po nim rozpoczął się cały szereg kryzysów finansowych, organizacyjnych i personalnych, które trwają dotychczas. Trzeba z przykrością stwierdzić, że od czasu wyjścia spod opieki CIA warunki pracy w obydwu organizacjach znacznie się pogorszyły. W budynku w którym się mieszczą połączone radia jest za mało miejsca. Kierownictwo przeszło w ręce ludzi mniej doświadczonych, mniej rozumnych — co wcale nie znaczy, że w przeszłości kierownictwo to było aż takie dobre. Zaznaczam, że mówię tu o radiu Swoboda. Powstał konflikt pomiędzy ciałem nadzorczym BIB (*Board of International Broadcasting*), mianowanym przez Prezydenta Stanów Zjednoczonych a właściwym kierownictwem radiostacji, które w końcu 1976 roku połączono w jedną organizację. Pojawiły się zasadnicze trudności w otrzymywaniu funduszy. Budżet jest obecnie uchwalany przez odpowiednie komisje kongresowe i aprobowany przez Izbę Reprezentantów i Senat. Radio znalazło się nagle w roli biednej sieroty w wielkiej puszczy waszyngtońskiej, nie mogąc liczyć na poparcie żadnego *lobby*, z nieudolnym kierownictwem, które

nie potrafiło nawet przedstawić władzom odpowiedniego, dobrze opracowanego budżetu. Rezultat: bieda i wspomniane już na początku redukcje i szkodliwe dla pracy oszczędności, walka na szczytach — i nie tylko na szczytach — nagłe zmiany personalne i tym podobne przyjemności.

Jednym słowem okres ostatnich kilku lat to okres nieporozumień, kryzysów i bałaganu, zwłaszcza w sferach amerykańskich. Oto typowy przykład: po połączeniu, czy też bezpośrednio przed nim, powstał w Waszyngtonie projekt przeniesienia całego zespołu monachijskiego do Stanów Zjednoczonych, co rzekomo miało ułatwić dalsze oszczędności. Główną przyczyną wysunięcia tego planu jest to, że wartość dolara amerykańskiego ciągle spada, trzeba więc uchylać dodatkowe budżety na wydatki radio w Niemczech, a że procedura tego budżetowania jest niesłychanie skomplikowana powstają z tego powodu wielkie trudności.

Przeniesienie radia do Waszyngtonu groziło odcięciem się od źródeł i stratę pewnej ilości pracowników, tych którzy nie mieliby zamiaru przenosić się do Ameryki. Byłoby to — z wielu względów — posunięciem fatalnym. Po pewnym czasie udało się przekonać odpowiednie władze, że tego robić nie należy i inicjatywa ta, zdawało się, umarła naturalną śmiercią. Ale na początku bież. roku wznowiono badania mające wykazać, czy przeniesienie takie byłoby celowe i sprawa toczy się dalej.

Wszystkie te kryzysy finansowe i zmiany personalne wykonane czy zamierzone, walki o wpływy w kierownictwie amerykańskim, ograniczenia i redukcje stwarzają w domu radiowym Monachium atmosferę niepewności czy nawet strachu. Poza tym każda redakcja ma swoje problemy, a redakcja rosyjska ma ich najwięcej. W okresie 1970-1975 pewna ilość ludzi odeszła na emeryturę lub zmarła. Na ich miejsce przyjęto grupę nowych pracowników o których można powiedzieć, wyrażając się umiarkowanie, że nie są najbardziej spokojnymi i kulturalnymi ludźmi, jakich można sobie wyobrazić. Nie są oni też ludźmi o kryształowych charakterach i najlepszych manierach. Mówię, ma się rozumieć, ogólnie. Są na szczęście wyjątki. Ludzie ci dotarli do radia przeważnie przez Izrael i są to w większości Żydzi. Dla nikogo nie jest tajemnicą, że nie jest to najlepszy materiał ludzki jaki można było znaleźć. Gdyby trochę poczekano na następne partie uchodźców z Rosji Sowieckiej, można by było przyjąć o wiele lepszych kandydatów, Żydów czy nie-Żydów. Ale śpieszono się, nie bardzo przebierano. „Musimy ich angażować, bo jeśli nie wydamy pieniędzy, które mamy, obetną nam budżet na przyszły rok” — taka była przyczyna czysto biurokratyczna — tego pośpiechu. Była i inna: gorączkowo szukając poparcia w Waszyngtonie, kierownictwo radia starało się zarobić na zafanie potężnego *lobby* żydowskiego. Tym częściowo tłumaczy się ówczesny pośpiech i inne posunięcia, takie na przykład jak stworzenie regularnych audycji żydowskich w ramach programu rosyjskiego.

Ten swoisty najazd żydowski wywołał reakcję „starych” pracowników, wśród których *nota-bene* był już pewien procent Żydów, albowiem radio Swoboda nigdy nie stosowało żadnych ograniczeń narodowościowych i nigdy nie uprawiało antysemityzmu na żadnym szczeblu. A więc pojawiły się żądania, by program był „prawdziwie rosyjski”, a nie „międzynarodowy”. Znalazły się osoby, które zaczęły pisać listy ze skargami do Aleksandra Sołżenicyna, do senatorów amerykańskich, do pism niemieckich i innych. Znaleźli się również tacy wśród „nowych”, którzy chodzili do konsulatu amerykańskiego w Monachium i pisali do ambasady Stanów Zjednoczonych w Bonn, oskarżając kolegów o antysemityzm, kierowali skargi do sądów niemieckich itd. Zbierano podpisy, organizowano specjalne zebrania, rozsyłano memoriały, pisało groźne listy, słowem bawiono się na całego. Owcześnie amerykański kierownik redakcji rosyjskiej jawnie faworyzował i popierał grupę nowoprzybytych i zwalczał razem z nimi — prawdziwe lub domniemane — wpływy organizacji nacjonalistów rosyjskich NTS, która ma w radiu Swoboda swoją nieoficjalną, dość liczną reprezentację. Z drugiej strony, ze strony tzw. patriotów rosyjskich protestowano przeciw „obcym wpływom”, które jakoby znieszczały program rosyjski.

Rozważając sprawę spokojnie, trzeba stwierdzić, że było wiele niepotrzebnej przesady z jednej i z drugiej strony, ale pewien problem był i istnieje dalej. W każdym razie winę za tę myśl wojnę ponosi przede wszystkim kierownictwo amerykańskie, które nie mogło się przez długi czas, całe lata, zdobyć na stosowną, twardą reakcję, tj. na natychmiastowe zwolnienie tych, którzy rozdmuchali ten konflikt. A przyniosł on wielkie szkody, tak wielkie, że nasuwa się podejrzenie o udziale w tej całej historii agentów sowieckich. Jest rzeczą znaną, że wszystkie uchodźcze organizacje rosyjskie zawsze były terenem specjalnego zainteresowania i penetracji wywiadu sowieckiego. Radio Swoboda, będąc organizacją przeważnie rosyjską pod kierownictwem amerykańskim, z pewnością nie jest w tym względzie wyjątkiem. Dyrektywa widocznie jest taka: jeśli nie można radia zamknąć drogą nacisków propagandowych i dyplomatycznych, należy je rozbić od wewnątrz.

Walka w redakcji rosyjskiej trwa, ale na zwolnionych obrotach, pod ziemią. Uciszyła się w ostatnim roku znacznie, ale sam program rosyjski z powodu tych wszystkich nieporozumień o których wspominałem, wygląda daleko nie tak dobrze jakby powinien. Są programy bardzo dobrze robione i bardzo potrzebne, jak na przykład te w których przekazywane są materiały rosyjskiego samizdatu oraz te, które są pisane przez wybitnych pisarzy, obecnie przebywających za granicą, takich jak Siniawski, Maksimow, Niekrasow, Gladilin i innych. Uważam, że tych ostatnich jest niedostateczna ilość, prawdopodobnie dlatego, że radio ogranicza wydatki na ten cel. Trzeba też pochwalić inicjatywę stworzenia działu problematyki wschodnioeuropejskiej. Problemy polskie, czeskie i częściowo węgierskie są regularnie i bar-

dzo kompetentnie naświetlane przez znaną pisarkę i działaczkę społeczną Natalię Gorbaniewską, zamieszkałą obecnie w Paryżu. Ale jest jeszcze sporo audycji po prostu nudnych i niepotrzebnych. Rosyjski program Radia Swoboda jest źle skomponowany, przeładowany rozprawami o religii prawosławnej i krytyką — nikomu dzisiaj już niepotrzebną — marksizmu-leninizmu. Za mało jest w nim żywej polemiki, reportaży, za mało dyskusji, okrągłych stołów, sprawozdań z konferencji międzynarodowych. Można powiedzieć, że wewnętrzne sprawy sowieckie są mniej więcej należycie naświetlane, natomiast sprawy międzynarodowe, życie w zachodnich państwach demokratycznych, daleko mniej. Ostatnie wiadomości, tj. dzienniki radiowe nadawane na podstawie materiałów dostarczanych przez agencje UPI, Reutersa, etc. ostatnio bardzo podupadły. Oto przyczyna: po połączeniu, zlikwidowano samodzielny wydział *news'ów* radia Swoboda, pozostawiając tylko kilka osób, których zadaniem jest tłumaczyć to, co łaskawie im dostarcza grupa młodych ludzi, pracująca w tzw. *Central News*. *Central News* pozostał w takim samym stanie w jakim znajdował się za czasów radia Wolna Europa. Pracujący w nim młodzi ludzie — jeśli się nie mylę, głównie Australijczycy — nie bardzo się znają na sprawach sowieckich i w ogóle problematyce RFE-RS, a personel Radia Swoboda nie ma dostępu do depesz międzynarodowych agencji prasowych i nie ma teraz prawa układać swych własnych dzienników dla słuchaczy w Związku Sowieckim. Jest to system skopiowany z BBC, ale okoliczność ta nie może zmienić faktu, że system ten jest nieodpowiedni, po prostu głupi w warunkach w jakich pracują RWE-RS. BBC ma jeden wydział *news'ów* dla wszystkich i taki system może być doskonały pod warunkiem, że pracują w nim fachowcy. W naszym wypadku należy albo obsadzić *Central News* odpowiednimi ludźmi pod odpowiednim kierownikiem, albo zmienić system, tj. zwrócić pracownikom Swobody prawo nadawania swych własnych biuletynów wiadomości.

Można by jeszcze długo pisać o wadach i niedociągnięciach programu rosyjskiego, a także o niektórych jego dobrych stronach, które niewątpliwie istnieją. Wróć jeszcze do tego tematu, bo na pewno będzie to potrzebne. Tymczasem chcę poruszyć sprawę najważniejszą, sprawę o której prawdopodobnie bardzo zależy dalszy los radia RWE-RS. Jest to sprawa cenzury, a właściwie auto-cenzury. Mówiłem na początku, że radio nasze zmuszone było ograniczyć się do roli obiektywnego informatora. Otóż trzeba stwierdzić z całą stanowczością, że w chwili obecnej, i to od paru dobrych lat, roli tej radio się wyrzekło. Informacja to nie tylko ostatnie wiadomości. Opinie wybitnych ludzi, nowe książki, wypowiedzi pisarzy rosyjskich za granicą, tocząca się ciągle w pismach angielskich, amerykańskich, francuskich, niemieckich dyskusja o stosunkach między Rosją Sowiecką a Stanami Zjednoczonymi — to też informacja, która niewątpliwie bardzo interesuje naszych słuchaczy. Nawet artykuły tzw. spekulatywne, tj. takie w których wysuwane są rozmaite przypusz-

czenia i domysły — to też jest informacja i to czasem bardzo ciekawa. Do tego wszystkiego ma dostęp czytelnik zachodni i nie ma żadnego powodu, by nie miał do tego materiału dostęp słuchacz naszego radia. Nie możemy negocjować temu słuchaczowi prawa do informacji o tym co się na świecie dzieje — bo na świecie istnieją nie tylko fakty, ale też opinie, problemy, zmiany, klimat polityczny i kulturalny. Wszystko można objaśnić, dodać jeśli trzeba tło, ale nie wolno ukrywać części obrazu, wybierać tylko to, co idzie po pewnej linii politycznej. A właśnie tak jest preparowany program rosyjski. Znajdziemy w nim mnóstwo głosów przemawiających za tak zwaną *détente*, ale bardzo mało takich, które krytykowałyby obecną politykę zagraniczną Rosji Sowieckiej. Ciągłe staramy się udowodnić, nie wiadomo komu, że i my walczyliśmy o odprężenie, że nie jesteśmy przeżytkami zimnej wojny, że nie stoimy na przeszkodzie dobrych stosunków z Związkiem Sowieckim. Nawet z przeglądów prasy wyrzucane są wzmianki o artykułach Bernarda Levina czy Lorda Chalfonta w *Times'ie*, bo krytykują oni konsekwentnie politykę rządu sowieckiego. Londyński *Daily Telegraph* stał się *bête noire* naszego *establishment'u*.

Kierownictwo radia stara się uwzględnić rzekome dezyderaty *State Department*, boi się narazić, zapominając o tym, że jesteśmy przecież (w tej chwili, niestety, jedynie tylko w teorii) instytucją niezależną, choć finansowaną przez Kongres, i że powinniśmy mówić o tym, o czym z pewnych względów nie może lub nie chce mówić Głos Ameryki. Czym więc różnimy się od tej rozgłośni rządowej? Jeżeli niczym, to nie ma powodu dalej istnieć jako oddzielna organizacja. Sprawa jest prosta: mamy być rozgłosnią o specjalnych zadaniach, które polegają głównie na tym, by naszych słuchaczy informować bardzo dokładnie o sprawach im potrzebnych, specjalnych, o takich, które nie wchodzą w zakres działania BBC czy Głosu Ameryki, bo te rozgłosnie istnieją głównie po to, by informować o Ameryce i Wielkiej Brytanii. Jeśli nie spełniamy tego zadania, to jesteśmy po prostu niepotrzebni. Mógłbym przytoczyć mnóstwo przykładów cenzury, cenzury zupełnie niepotrzebnej i szkodliwej, ale ograniczę się do jednego: kilka miesięcy temu obcięto przeszło jedną trzecią część interesującej audycji-rozmowy między dwoma pisarzami rosyjskimi Niekrasowym i Gladilinym tylko dlatego, że ci panowie pozwolili sobie wyrazić się trochę ironicznie o Breżniewie, jako o nowym członku Związku Pisarzy Sowieckich. Takie metody nie mogą nikogo zachęcić do współpracy z radio Swoboda.

Naczelną dewizą radia Swoboda obecnie wydaje się: „nie wychylać się” i właśnie dlatego tutaj w Monachium mówią nie bez ironii, że *détente* kończy się już wszędzie, a u nas dopiero się zaczyna. Jest faktem niezaprzeczalnym, że cenzura i autocenzura szaleją w radiu RWE-RS. Jest to niezrozumiałe, dzikie, szkodliwe. Każdy dziennikarz wie, że nie wszystko nadaje się do opublikowania. Decyzja redaktora w tym zakresie winna opierać się o znane i ogólnie przyjęte w państwach demokratycznych kry-

teria dziennikarskie, a nie o widzi-mi-się tchórzliwych biurokratów. Bo tak właśnie wyglądają ci Amerykanie, którzy decydują o programie rosyjskim. Są to ludzie którzy myślą tylko o własnych interesach, nie o interesach organizacji którą rzekomo kierują. Zamiast bronić niezależności radia, poddają się biernie dyrektywom z Waszyngtonu, a najczęściej nawet nie dyrektywom, lecz nieistniejącej, w rzeczywistości stworzonej przez nich samych „linii”. Przypominają tego „Człowieka w futliare” Czechowa, tego biednego nauczyciela gimnazjalnego, który latem chodził w kaloszach, stale nosił parasolkę i ciągle uważał, ciągle się bał nie wiadomo czego.

Takie właśnie jest obecne kierownictwo RWE-RS. Znamy tych ludzi i nie mamy żadnych złudzeń. Wiemy, że nigdy się nie zdobędą na samodzielne myślenie i zdecydowane działanie, tj. na to, do czego ich upoważnia specjalny statut naszej organizacji.

Bardzo to wszystko smutne i nie tylko smutne, ale demoralizujące dla personelu radia. Otrzymuje on codziennie lekcje cynizmu od ludzi, którzy powinni dawać przykład dobrych obyczajów politycznych i dziennikarskich.

Cóż na to dr Ferguson?

Siergiej FEDOTOW

Widziane z Brukseli i z... Argentyny

ZCZS OTK545 ITF o20 ARI580 739

To nie jest zecer w malignie. Aby oddać wielkość nieporozumienia, które jest treścią tego felietonu, nie znalazłem jednak lepszego tytułu niż kod, otwierający depezę jaka dnia 10 sierpnia znalazła się na biurku redaktora *Kultury*. Oto jej treść:

JERZY GIEDROYC 91 AV DE POISSY MAISONS LAFFITTE
STOP ZARZĄD ZWIĄZKU POLAKÓW W ARGENTYNIE PRO-
TESTUJE ENERGICZNIE PRZECIW TERMINOM ARTYKUŁU
BRUKSELczyKA NR 7/8 KULTURY STOP RÓWNOCZEŚNIE
WYSYŁAMY LIST STOP WIKTORIA ARDASIEWICZ MACHNI-
KOWA PREZES STOP

List nadszedł w parę dni później. Podpisany jest już nie tylko przez prezesa panią Ardasiewicz, ale i sekretarza generalnego

pana mgr. Witolda Ptasznika. List pisany jest na papierze firmowym UNION DE LOS POLACOS EN LA REPUBLICA ARGENTINA, inaczej mówiąc Związku Polaków w Republice Argentyny, Buenos Aires, Serrano 2076 matr. 1728. Co ważniejsze jedną trzecią każdej strony papieru firmowego (pionowo) zajmuje spis 47 organizacji polonijnych w Argentynie zrzeszonych w ZPA. W imieniu tych 47 organizacji pani Ardasiewicz i pan Ptasznik uważają, że mają „nie tylko prawo, ale i obowiązek” zaprotestować przeciwko artykułowi Brukselczyka. „Jeżeli ktoś pisze — głosi od razu na wstępie list ZPA pod moim adresem — nie mając odpowiednich informacji, jest to niepoważne i lekkomyślne, ale jeżeli ktoś pisze na podstawie obfitych i złych informacji, jest to już niebezpieczne i wysoce szkodliwe postępowanie”. Zastanawiam się czy nie zachodzi jeszcze inny, znacznie gorszy, typ pisania, wtedy mianowicie, kiedy się posiada obfite i wiarygodne informacje, ale robi się z nich niewłaściwy, błędny, zbędny i niebezpieczny użytek.

Oto najważniejsze fragmenty listu ZPA:

List ZPA

„...Na przestrzeni ostatnich lat w Argentynie toczyła się nieubłagana wojna domowa. Naród argentyński padł ofiarą zorganizowanej agresji ze strony ruchów marksistowsko-komunistycznych, które nie przebierając w środkach usiłowały opanować ten ważny kraj południowoamerykański. Świat zblazowany wojną w Korei, Wietnamie, Algierii, na Bliskim Wschodzie i wojnami w Afryce nie zwrócił dostatecznej uwagi na tę okrutną wojnę w Argentynie. Rosja nie miała interesu o tym mówić, demokracje europejskie i Stany Zjednoczone zachowały milczenie.

W Argentynie tymczasem ginęły setki i tysiące ludzi mordowanych przez komunistyczne bandy. Ginęli żołnierze, cywile, kobiety i dzieci. Nikt nie mówił o „prawach ludzkich”, Amnesty International nie interweniowało, Senat Stanów Zjednoczonych nie tworzył żadnych komisji, Departament Stanu zachowywał dyskretne milczenie. Świat o tym nie chciał wiedzieć...

...Czymże się naraził światu reżym rewolucji 1976 roku. Prawdopodobnie tym, że nareszcie zakończył zwycięsko wojnę domową. Bandy uzbrojonych komunistów zostały rozgromione, a ich 'waleczni' przywódcy uciekli zostawiając resztki zblaamuconych szeregow w rozsypane.

Przywódcy ci obladowani zagranicznymi z napadów, sekwestrów i szantaży pieniędzmi urzędują obecnie w luksusowych warunkach we Francji, Włoszech i Belgii, skąd prowadzą znaną całemu światu propagandę szkalującą Argentynę...

My Polacy byliśmy pewni, że nasi wyrobieni politycznie pisarze i dziennikarze nie pójda na lep komunistycznych informacji. Niestety artykuł 'Brukselczyka' przekonał nas, że byliśmy w błędzie.

'Brukselczyk' pisze: 'obecny reżym argentyński jest odpowiedzialny za zamordowanie 6.000 osób, za uwięzienie ponad 15.000 oraz za bliżej nieokreśloną liczbę osób zaginionych'.

Są to niewątpliwie cyfry dramatyczne, cyfry ofiar wojny domowej i są wśród nich ofiary jednej i drugiej strony, ale odpowiedzialność jest jednostronna: — komunistów.

Przerzucanie tej odpowiedzialności na 'reżym argentyński' jest oczywiście marksistowską dialektyką...

Na pewno były również pomyłki i wykroczenia ze strony aparatu represyjnego. Wyraźnie o tym mówił Videla.

Ale tam, gdzie toczyła się wojna, gdzie tych wykroczeń nie było? Były na pewno we Wietnamie, w Algierii i w Afryce.

W tej wojnie argentyńskiej nie zapominajmy, był również w grze los tysięcy Polaków, którzy tu żyją i pracują. Nasze miejsce w tej wojnie było po stronie Argentyny.

Teżą główną omawianego artykułu wydaje się być, że zwalczać należy na równi wykroczenia komunistycznej lewicy, jak i prawicowej reakcji. Pozornie wszystko w porządku, a równocześnie jest to teza bardzo bałamutna.

...Stawianie znaku równości między zbrodniami komunizmu i wykroczeniami pewnych reakcyjnych ośrodków jest, delikatnie mówiąc, wybieleniem pierwszych i równocześnie rozbajaniem opinii światowej oraz frontu narodów uciemiężonych. Zło jest złem gdziekolwiek się ono znajduje. obrońcy wolności winni strzec czystości swych intencji ponieważ to daje podstawę moralną do krucjaty zwycięskiej.

...Szkoda, że (artykuł) ukazał się na łamach *Kultury*, którą przywykliśmy uważać za ośrodek odnowy polskiej myśli politycznej.

...Kiedy po wojnie nasi byli sojusznicy w demokratyczny sposób wprowadzali ograniczenie pracy dla swych dawnych towarzyszy broni, uważając ich za obywateli drugiej klasy, Argentyna nie mająca wobec nas żadnych zobowiązań przyjęła nas jak braci. Nie mieliśmy żadnych trudności. ...Związek Polaków grupuje wszystkie organizacje i stowarzyszenia polskie na terenie całego kraju. Poza Związkiem jest jedynie zasłużone dla sprawy polskiej 'Ognisko Polskie' w Buenos Aires, zawsze jednak wspólnie ze Związkiem występuje solidarnie wobec obcych.

Może nigdzie tak w świecie, jak w Argentynie, Polacy swobodnie mogą mówić o prawach Narodu Polskiego do Wolności, o jego krzywdzie i niewoli. Nigdzie tak, jak w Argentynie Polacy znajdują pełne poparcie i zrozumienie władz i społeczeństwa. Zmieniali się prezydenci, rządy i systemy, ale stosunek do Polaków był zawsze niezmiennie pozytywny...

...Do Argentyny w okresie mistrzostw światowych przyjechało kilkanaście tysięcy widzów, wśród nich wielu dziennikarzy i ludzi, którzy umięją obserwować i patrzeć. 20 czerwca w Rosario obchodzone było jedyne w swoim rodzaju 'Święto sztandaru narodowego' — 'Dia de la Bandera'. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi pod pomnikiem Belgrano. Wśród nich zjawia się generał Videla. Dziennikarze patrzyli zdumieni na spontaniczną, żywiołową manifestację na cześć Prezydenta. To nie była zorganizowana manifestacja, to był odruch samorzutny wolnego narodu...

Prezydent był kolejno na wszystkich stadionach, gdzie toczyły się rozgrywki o mistrzostwo świata w piłce nożnej. Wszędzie był witany z oznakami szacunku i sympatii, przybył z Europy i z całego świata słyszeć wszyscy ten jeden ogromny okrzyk: 'Argentyna'.

1. Białe i czarne

Niechętnie skracałem list ZPA. Z braku miejsca musiałem jednak pominąć w liście ZPA, no i w mojej odpowiedzi, nieporozumienia wynikające z błędnego odczytania mojego artykułu, lub też, co gorsza, z braku poczucia humoru (autora lub czytelnika...). Aby uniknąć zarzutu o demagogię, zaoszczędzę czytelnikom *Kultury* długiego przytaczania statystyk, zeznań, świadectw, reportaży, dokumentów, które — jak można się łatwo przekonać z lektury prasy codziennej — nie wszystkie pochodzą od pła-

wiących się w rozpuście i zgniliznie Paryża czy Brukseli komunistycznych podżegaczy, a które w dość przekonujący sposób kreślą obraz Argentyny, gdzie została właśnie „zwycięsko zakończona wojna domowa”. Oto więc kilka uwag ogólniejszej natury (kolejność przypadkowa).

1) „W Argentynie Izabeli Peron ginęli ludzie, świat nie chciał o tym wiedzieć...”, pisze ZPA. To nieprawda, ale powiedzmy, że tak było. Czy jednak pani Ardasiewicz uważa wobec tego, że świat powinien w dalszym ciągu milczeć. „Wojna domowa jest zwycięsko zakończona, bandy uzbrojonych komunistów są zrogromione”. To może prawda, ale czy pani Ardasiewicz nie uważa, że teraz należałoby rozbroić bandy uzbrojonych niekomunistów? Czyżby przedtem ginęli sami niewinni i szlachetni ludzie, a potem tylko członkowie „band uzbrojonych komunistów...”. List ZPA zauważa, że kiedy ginęli ludzie z rąk „uzbrojonych komunistów”, to *Amnesty International* nie protestowała. To nieprawda, ale powiedzmy, że tak było. Czy pani Ardasiewicz uważa jednak, że wobec tego nie powinna protestować i dzisiaj. No, a poza tym warto pamiętać, że choć wtedy rzekomo milczała, to dziś *Amnesty* protestuje przeciw samowoli i w Argentynie i w ZSSR; w Chile i w Czechosłowacji; w Iranie i w Kambodży, podczas kiedy list ZPA jest podejrzanie i ryzykownie jednostronny w czasie i w przestrzeni.

2. Na czym lepie?

Brukselczyk, i za nim *Kultura*, „poszli na lep komunistycznych informacji”, pisze ZPA. Nieściste. Komunistyczna prasa jest bardzo powściągliwa na temat Argentyny. Między państwami komunistycznymi a Argentyną panują jak najlepsze stosunki. Wszelkie nieśmiałe hasła bojkotu piłkarskiego pucharu łamały się o stopy graniczne obozu socjalizmu, w tym Polski, której drużyna marzyła o finale. Adm. Massena (nazwisko i adres znane ZPA...), najbliższy człowiek Videli, argentyński numer 2, bawił niedawno w Rumunii, gdzie wszak już dawno rządzi „banda uzbrojonych (i to jak jeszcze) komunistów”, a z którą to Rumunią Argentyna pragnie — jak to głosił komunikat oficjalny — utrzymywać jak najlepsze stosunki przyjaźni i współpracy. Czy mówiąc o „komunistycznym lepie” ZPA ma na myśli federację chrześcijańskich związków zawodowych we Włoszech, francuskiego premiera Barre'a, pisma codzienne *Le Monde*, *The Times*, *International Herald Tribune*, *Le Soir*, żeby ograniczyć się do wydawnictw nieco bliżej mi znanych, a które wszystkie pisały, udowodniały i protestowały przeciwko nadużyciom władzy w Argentynie i za Izabeli i za Videli, nie pytając czy ofiary należały do Związku Polaków, Stowarzyszenia Żydów czy wprost do narodu argentyńskiego. Czterech Francuzów, aresztowanych jeszcze przez Izabelę, ale przetrzymanych przez Videlę przez dalsze cztery lata, zostało właśnie zwolnionych w związku z nadcho-

dzącymi wielkimi zakupami broni we Francji. Potwierdzili oni suche fakty, odmówili jednak wdawania się w szczegóły. „Siedzi jeszcze kilka czy kilkanaście (nie wiadomo dokładnie), tysięcy więźniów politycznych, lepiej za dużo nie mówić, są tam jeszcze Francuzi, Włosi, Niemcy itd., nie mówiąc już o Argentyńczykach i nie należy pogarszać ich sytuacji”. A może siedzą też Polacy? Chciałbym tylko nadmienić, że skoro Związek Polaków uważa, iż wszystko jest w najlepszym porządku i że nie ma powodu do obrony Francuzów, Niemców, Żydów czy Argentyńczyków, to może zabraknąć Francuzów, Niemców, Żydów czy Argentyńczyków, kiedy i na Polaków, za Videli lub za jego następców, przyjdzie także, co nie daj Boże, kolej.

Aby uniknąć podejrzania o stronniczość chciałbym przekazać ZPA następującą informację. Od 28 sierpnia obraduje w Genewie podkomisja praw człowieka ONZ. Ostatecznie ośmieszona i powszechnie wykpiona, podkomisja ta, opanowana przez większość złożoną z państw komunistycznych i ich trzecioświatowych sojuszników (m.in. ... Argentynę), zajmowała się wyłącznie przypadkami gwałcenia praw ludzkich w Afryce Południowej, Chile no i naturalnie, w Izraelu. W pozostałych państwach, od Czechosłowacji do Ugandy wszystko, według podkomisji, było w porządku. W tym roku jakoś obrodziło i zalew wniosków o studiowanie gwałtów był taki, że podkomisja wyznaczyła grupę złożoną z 5 ekspertów dla dokonania wstępnej selekcji. I podkomisja i grupa ekspertów obradują, co jasne, w tajemnicy, co ma rzekomo zapewnić większą skuteczność w badaniu gwałtów na ludziach i ich prawach. Mimo tego sekretu, mogę zakomunikować ZPA, że w roku 1978 największa liczba skarg na łamanie praw ludzkich dotyczyła właśnie Argentyny. Według informacji ze źródeł zbliżonych do podkomisji, od chwili zakończenia Pucharu Piłkarskiego w stolicy Argentyny dochodzi do sześciu wypadków „zaginięć” dziennie, nie licząc prowincji i nie licząc drobniejszych gwałtów.

Otóż propozycję zbadania tych „zaginięć” wnieśli delegaci nieuzbrojonych niekomunistów, a mianowicie Francuz i Anglik, natomiast zablokowali ją przedstawiciele „superuzbrojonych komunistów”, a mianowicie p. Sergiusz Smirnow, delegat ZSSR i jego bułgarski kolega. Ujawnienie tej tajemnicy wywołało kolosalne oburzenie w Genewie. P. Smirnow stwierdził, iż jest to próba oczernienia ZSSR, zażądał przeprowadzenia śledztwa na temat okoliczności ujawnienia tajemnicy, ale ani jednym słowem, choć miał tak cudowną okazję, nie zdementował informacji. Czy ZPA rzeczywiście ciągle jeszcze wierzy, że to komuniści podpuścili *Kulturę* i Brukselczyka?!

3. Gen. Videla i cesarz Teodozjusz

„Prezydent był wszędzie witany z oznakami szacunku i sympatii”, pisze pani Ardasiewicz. Nie wszędzie. Np. nie w Waty-

kanie, gdzie bawił z okazji inauguracji pontyfikatu Jana Pawła I. Katolicy włoscy potraktowali obecność Videli w Watykanie jako pierwszy błąd nowego papieża. Pewien pisarz zauważył, przy tej okazji, że kardynał Marty, arcybiskup Paryża a nie „uzbrojony komunista” odmówił zgody na celebrowanie pewnej ceremonii religijnej, którą władze argentyńskie odprawić chciały w Nôtre Dame w Paryżu. Ów pisarz przypomniał też, że Ambroży, biskup Mediolanu odmówił celebrowania mszy w obecności cesarza Teodozjusza, odpowiedzialnego za wycięcie zbuntowanych mieszkańców Tessaloniki, ówczesnych — można powiedzieć — „uzbrojonych komunistów”. Otóż pisarz ów był zdania, że miejsce Videli było nie wśród możliwych tego świata, a tam gdzie znalazł się w Watykanie cesarz Teodozjusz: na miejscu grzesznika przy-
byłego błagać o wybaczenie

I jeszcze jedna uwaga. Pisarz, który przypomniał Teodozjusza, to nie żaden uzbrojony komunista, ani zażywający uciech emigrant, a André Mandouze, dziennikarz i literat katolicki, żołnierz antyhitlerowskiego podziemia, jeden z założycieli pisma *Témoins Chrétiens*.

4. Skąd my to znamy?...

„Cyfry dramatyczne, ale odpowiedzialność jest jednostronna — komunistów” — pisze ZPA. Komuniści odpowiedzialni są np. za wymordowanie 60 milionów (według pobieżnych obliczeń Sołżenicyna) obywateli sowieckich i innych obywateli, nie należy więc przesadzać i obarczać ich odpowiedzialnością za nie ich ofiary. Ale, powiedzmy. Dlaczego jednak, zdaniem ZPA, to co się dzieje obecnie nazywa się „pomyłkami i wykroczeniami”? Zła wola czy niezajomość historii? „Pomyłki i wykroczenia” lub w żargonie komunistycznym, „błędy i wypaczenia” miały, najzupełniej nieskutecznie zresztą, usprawiedliwić miliony ofiar w ZSSR, Polsce i na całym Wschodzie. Chruszczow mówił o tym na XX-tym zjeździe, tym chciał zresztą usprawiedliwić zbrodnię w Katyniu, w czym mu przeszkodził przerażony Gomułka. Czyżby w rzeczywistości argentyńskie „wykroczenia i pomyłki” były tak ogromne, że wymagają stalinowskich łamańców propagandowych i komunistycznego słownika?

5. Między Pragą a Buenos Aires

„Dziennikarze — pisze pani Ardasiewicz — patrzyli zdumieni na spontaniczną manifestację na cześć prezydenta”. To — dodaje prezes ZPA — był „odruch samorzutny wolnego narodu”. Szkoda, że prezes ZPA nie mogła oglądać telewizyjnego sprawozdania z tegorocznej manifestacji pierwszomajowej w Pradze. Otóż 100 % manifestujących w Pradze gardzi prezydentem Husakiem i jego rządem, wymiotuje na widok hasła na cześć partii i nie-

złomnej przyjaźni z ZSSR. A jednak znaleźli się dziennikarze, którzy odkryli 1 maja w Pradze „samorzutny odruch wolnego narodu”. Manifestacja pierwszomajowa w Warszawie w 1970 roku wyglądałaby według tych kryteriów także na „samorzutny odruch wolnego narodu” na cześć prezydenta Władysława Gomułki. A przecież w sześć miesięcy później za cenę kilkuset ofiar na Wybrzeżu, Gomułka schodził ze sceny, tym razem w wyniku na-
prawdę samorzutnego choć kosztownego odruchu wolnego narodu.

6. Śmierć symulantów

Są, domyślam się, powody głębszej natury, które sprawiają, że Związek Polaków *en la Republica Argentina* uważa za właściwe i niezbędne wzięcie w tak katoryczny sposób w obronę „pomyłek i wykroczeń” przed Brukselczykiem i *Kulturą*. Są, domyślam się, względy taktyczne: trzeba dobrze żyć z władzą, bronić interesów wyższego rządu, przyszłości Polonii. To rozumiałe. Są instytucje potężniejsze od ZPA, np. kościół katolicki, cerkiew prawosławna, partie komunistyczne czy wręcz ogromne państwa (wizyta Huo Kuo-fenga w Iranie, czy przyjaźń ZSSR z Irakiem gdzie w tym roku oficjalnie powieszono ok. 50 komunistów), które w imię interesów strategicznych, długofalowych, szły na taktyczne kompromisy. Ale...

„Tam gdzie toczy się wojna...” — pisze ZPA — tam wióry lecą... Stawianie znaku równości między zbrodniami komunizmu a wykroczeniami pewnych reakcyjnych ośrodków jest delikatnie mówiąc wybielaniem pierwszych i równocześnie rozbajaniem opinii światowej... Czystość intencji daje podstawę moralną do krucjaty zwycięskiej...”. Tu już nie chodzi o taktykę, ani o kompromisy. Tłumacząc zbrodnie stalinizmu, tego naprawdę uzbrojonego komunizmu, lewica zachodnia wołała, że nie można usmażyć omletu bez rozbicia jajek. Ale przynajmniej tu, na Zachodzie ludzie trzeźwi wołali, że jajka są rozbite, ale omletu nie widać.

„Zło jest złem, gdziekolwiek się znajduje” — pisze pani Ardasiewicz. Wszędzie, tylko nie w Argentynie, gdzie nie ma zła a są tylko „wykroczenia”. I to wystarczy władzom ZPA, aby w imieniu 47 organizacji polonijnych nawoływać do krucjaty. Szwejk raportował, że „dziś w nocy znowu 15 symulantów umarło”. Pani Ardasiewicz komunikuje, że było kilka pomyłek.

7. Wszystkie jajka w jednym koszyku

Swoje selektywne oburzenie, to subtelne rozróżnienie na zbrodnie i wykroczenia, list ZPA tłumaczy: „Zmienił się prezydent, rządy i systemy, ale stosunek do Polaków był zawsze niezmiennie pozytywny”. Otóż zachodzi obawa, że okres „niezmiennie pozytywny” może dość szybko przejść do historii. Następcy gen. Videli nie będą, być może, odczuwali specjalnej wdzięczności do 47 orga-

nizacji społecznych, które tak bez zastrzeżeń popierały jego reżym. Stawiając sprawę w inny, bardziej prosty sposób, Polonia argentyńska nie powinna, być może, wkładać wszystkich jajek (znowu jajka, może to obsesja?) do jednego koszyka. Ostrożność i umiarkowanie w polityce zawsze się opłacały, zaślepienie, jednostronność i brak wyobraźni rzadko ostawały się próbami historii.

Oczywiście, wiem, że padały, i to jak liczne, ofiary także czerwonego terronu w Argentynie i gdzie indziej, wiem także, że nastąpiła w Argentynie pewna poprawa w zakresie praw człowieka. Ale właśnie dlatego chciałbym zwrócić uwagę ZPA, iż wbrew temu co jego list wydaje się sugerować, alternatywa nie sprowadza się do „albo komunizm albo junta”. W Grecji, Hiszpanii i Portugalii, wszędzie tam gdzie nie sięga doktryna Breżniewa, a gdzie istnieją tradycje chrześcijańskiej cywilizacji i określone minimum przemysłowej infrastruktury, wszędzie tam po faszyzmie przysłała demokracja. Argentyna to duży kraj, o głębokim przywiązaniu do chrześcijaństwa i rozwijającym się przemysłem. Nie ma powodu, aby, *à la longue* wykluczyć możliwość powstania tam jakiejś formy ustroju demokratycznego. Uznając i przesądając, że poza juntą jest tylko chaos i „bandy uzbrojonych komunistów”, władze ZPA biorą na siebie poważną odpowiedzialność. Zapłacą za to być może następcy pani Ardasiewicz i pana Ptasznika, którzy znajdują się w przyszłości u władzy w ZPA.

BRUKSELCZYK

P.S. W odpowiedzi na ten sam felieton dostałem również list od p. J. Bonieckiego z Sydney, który (może dlatego, że mieszka w Sydney, a nie w Buenos Aires) uważa, że „Videla wprowadził krwawą dyktaturę na miejsce demokracji Izabeli Peron” i pisze m.in. „Jednym się może podobać sposób pisania Brukselczyka, innych może drażnić jego *besserwisser*'owski styl. Nie można mu jednak na ogół zarzucić braku jasności wyводу lub niewyraźnej pointy felietonu. Niestety nie da się tego powiedzieć o deliberacjach 'Między rozumem a brzgiem pucharu'...”

Rozumiem, że p. Boniecki należy do tych drugich, co to ich drażni *besserwisser*'owski styl. List jego nie porusza sprawy krucjaty, zajmuje się natomiast dość zasadniczą tematyką stosowania bojkotu wobec ZSSR, a przede wszystkim hasłem bojkotu olimpiady w Moskwie. Ponieważ do Olimpiady jest jeszcze nieco czasu a odpowiedź na list p. Bonieckiego wymaga sporo miejsca, odłożyłem ją do jednego z następnych felietonów i do kolejnego podrażnienia.

B.

Kraj

Kierownicza rola czy ubezwłasnowolnienie?

Teza o kierowniczej roli klasy robotniczej w krajach socjalistycznych pełni rolę podstawowego dogmatu. W Polsce i w innych krajach demokracji ludowej napisano już tysiące książek, artykułów, esejów, etc., w których autorzy dowodzą, że klasa robotnicza jest głównym motorem rozwoju społecznego, że pełni różnorako-twórcze funkcje społeczne, że z racji swego położenia w strukturze społecznej i miejsca w historii jest jedyną klasą obciążoną misją uratowania całej ludzkości przed niechybną zagładą. Rzeczy to wiadome a w Polsce wpajanie tego dogmatu przewidują programy przedszkolne. Kiedy się jednak przegląda ową, jakże „bogatą”, literaturę nasuwają się nieodpornie trzy uwagi: po pierwsze, dogmat o kierowniczej roli klasy robotniczej uzasadnia się prawie wyłącznie argumentami natury filozoficznej wyspekulowując je z marksizmu-leninizmu. W związku z tym, że ilość takich argumentów jest stosunkowo niewielka i że zostały one ustalone w zasadzie już przez Marksa i Engelsa cała ta produkcja stanowi ich miłąkłe przeżuwanie tam i z powrotem (nie-doścignionymi mistrzami tego rytuału są przedstawiciele nauk społecznych w ZSSR). W tym więc sensie działalność w tej dziedzinie jest całkowicie odtwórcza; po drugie, przedstawione dane empiryczne bardzo słabo same z siebie obrazują kierowniczą rolę klasy robotniczej a tym bardziej jej wzrost. Są to bowiem zawsze dane nie syntetyczne a wycinkowe, a ponadto są to dane, które dotyczą nie tych sfer rzeczywistości klasy robotniczej o których zwykliśmy mniemać, że zgodnie z marksizmem-leninizmem konstytuują właściwy obszar potwierdzania i legitymizowania kierowniczej roli tej klasy. Znamiennym przykładem jest kompletny brak danych i badań dotyczących świadomości klasowej proletariatu. Co prawda w Polsce w okresie gierkowskim podjęto szereg

takich fragmentarycznych badań socjologicznych. Żadne z nich, ani też razem wzięte — co należy tutaj z naciskiem podkreślić — nie mogłyby jednak aspirować do rangi badań globalnie zdających sprawę ze stanu rzeczy w interesującej nas kwestii. Charakterystyczne także, że cicho o wynikach tych badań. Albo więc z góry robiono je jako poufne lub do użytku wewnętrznego, albo też stały się takimi, gdyż w niekorzystnym świetle przedstawiały warunki życia klasy robotniczej; po trzecie wreszcie, oficjalnie przedstawiane różnego typu dane dotyczące klasy robotniczej, a więc dane które uzyskały atest cenzuralnego magła, są tak preparowane by nikomu nie przyszło na myśl, że klasa robotnicza nie jest klasą robotniczą i że jej kierownicza rola nie wzrasta systematycznie. Są więc przede wszystkim ubogie, cząstkowe i przy tym albo przedstawiane na jeszcze lichszym tle porównawczym, albo najczęściej na żadnym. Jeśli nawet zdarzy się jakiś reportaż, w którym pojedynczy, konkretny robotnik przedstawiony zostanie nie najlepiej to wiadomo, że reportaż to czarny reportaż, robotnik to czarny robotnik. A więc wszystko w porządku bo czarnych reportaży nie ma u nas prawie w ogóle, a więcej czarnych robotników i z pomocą diabła nie znajdziesz. Jeśli zaś klasa robotnicza wyjdzie na ulicę by zademonstrować swą wolę i swą siłę to nie jest to klasa robotnicza ani nawet lumpenproletariat, lecz jest to grupka ludzi, których opatruje się aklasowym pojęciem: CHULIGANI.

Z tych między innymi powodów napisać źle o sytuacji klasy robotniczej to tyle co skazać się na orwellowski nie-byt, stestować się jako osobnik niepewny i podejrzany, któremu kto wie czy nie marzy się restauracja kapitalizmu, wolna gra sił politycznych, współpraca z opozycją, a przede wszystkim odsunięcie partii komunistycznej od władzy. Bowiem niezachwiana i czysta wiara w dogmat jest warunkiem *sine qua non* przynależenia do danej orientacji światopoglądowej. Skoro więc o klasie robotniczej nie da się powiedzieć wszystkiego dobrze to się albo milczy i pokornie wierzy, albo nakłania się innych do bałwochwalczej ufności w przykazanie przyrządzając fakty, które je potwierdzają. Te powody jednak wpływają także pośrednio i na to, że nawet wówczas gdy zaistniałaby sytuacja (czego należy sobie życzyć), w której badania nad klasą robotniczą mogłyby być robione bez żadnego odgórnego dozoru to nawet wówczas globalna diagnoza obiektywnych i subiektywnych cech właściwych klasie robotniczej w Polsce nie mogłaby być od razu postawiona. Brak bowiem odpowiednich badań, a ich zrealizowanie pochłonęłoby z pewnością sporo czasu. Tak więc synteza obrazu współczesnej polskiej klasy robotniczej wydaje się niemożliwa. Możemy jednakże formułować pewne uogólnienia — i wielokrotnie wystarczy w tym

względnie oparcie się na obserwacji. Musimy jednakże zawsze pamiętać, że reprezentatywność przez nas zauważonych faktów aczkolwiek prawdopodobna, to żeby być pewną musi być potwierdzona, a co za tym idzie może się zmienić.

W tym miejscu pragnę przedstawić pewne zjawiska związane z funkcjonowaniem pewnego odłamu polskiej klasy robotniczej — a mianowicie fizycznych pracowników transportu budowlanego pewnego średniej wielkości przedsiębiorstwa transportowego w jednym z największych miast kraju. Są to z pewnością pracownicy kluczowi. I dlatego, że transport to krwioobieg każdej gospodarki i dlatego, że w warunkach polskich 1,6 mln. młodych małżeństw czeka na mieszkania (przeciętna oczekiwania 10-15 lat), a program budownictwa mieszkaniowego jest naczelnym punktem działań PZPR i całego narodu. Do 1990 roku jak zapowiedział E. Gierek — pomimo tego, że plan budownictwa mieszkaniowego od paru lat jest systematycznie nierealizowany — problem mieszkaniowy zostanie rozwiązany. Jest to zamierzenie tak nierealne, że poddają je w wątpliwość — przesuwając termin jego realizacji o 10-20 lat — nie tylko „zatwardziali wrogowie” partii, państwa i narodu polskiego ale także czynniki oficjalne i zbliżone do oficjalnych. Dlaczego Gierek jest utopistą a rację mają ci, którzy są pesymistami wyjaśni w dużym stopniu przedstawiony niżej obraz.

Charakter i zadania przedsiębiorstwa

Podstawowym zadaniem przedsiębiorstwa jest transport i przeładunek materiałów budowlanych. Ma ono w zasadzie charakter usługowy, tzn., że inne przedsiębiorstwa uspołecznione, nie posiadające własnego transportu, jak i te, których własny transport jest za mały w stosunku do potrzeb, zamawiają w omawianym przedsiębiorstwie określoną ilość samochodów i ludzi na dany okres czasu. W skład przedsiębiorstwa wchodzi m.in. dwa zakłady oraz warsztaty naprawcze. Zakład A, obejmuje ciężarowe samochody samowładowcze-wywrotki. Zakład B obejmuje ciężarowe samochody skrzyniowe. W pierwszym zakładzie jest około 200 samochodów i tyluż kierowców, w drugim około 300 samochodów, tyluż kierowców i około 600 ładowaczy. W sumie w przedsiębiorstwie, nie licząc personelu administracyjnego i kierownictwa, pracuje około 1.200-1.300 przedstawicieli klasy robotniczej. Około 50 % tej liczby stanowią robotnicy wykwalifikowani, pozostali to robotnicy niewykwalifikowani. Niektórzy mają wykształcenie średnie, około połowy wykształcenie zasadnicze zawodowe bądź kursy zawodowe, pozostali podstawowe

(około 30 %) bądź niższe (około 20 %). Jeśli idzie o wykształcenie to nie jest to rozkład zdecydowanie lepszy bądź gorszy od przeciętnej dla całej polskiej klasy robotniczej. Wśród kierowców znajdujemy różne grupy wiekowe. Są oni jednak jako grupa dużo młodszy od ładowaczy. Połowa kierowców to ludzie do 30 roku życia, podczas gdy wśród ładowaczy około 90 % to ludzie liczący co najmniej 35 lat. Ładowacze są grupą starszą ponieważ w Polsce prawie wszyscy młodzi uzyskują co najmniej status kwalifikowanego robotnika, a ponadto praca ładowacza nie jest pracą atrakcyjną. Stopień upartyjnienia jest niewielki. Jedynie około 10 % robotników należy do PZPR.

Warunki pracy

Robota, którą wykonują kierowcy nie wymaga specjalnej krzepy, ale jest bardzo nerwowa i niezdrowa. Samochody (z reguły „Stary” i „Jelcze”) są bardzo zdezolowane i często się psują. Kierowcy przeważnie naprawiają je sami, ponieważ opieszłość warsztatów naprawczych jest zatrważająco wielka. Zdarza się, że samochód nieistotnie zepsuty czeka dzień czy dwa zanim ściągną go do warsztatów i tam po dalszych 2-3 dniach zreperują (mechanicy z warsztatów tłumaczą się, iż brakuje części zamiennych). Ponadto większość samochodów ma drobniejsze lub większe usterki, które kwalifikują je do mandatu. MO wie o tym. Robi więc co pewien czas czarne kontrole u bram przedsiębiorstwa, cofając do bazy czasem nawet 60-65 % samochodów, jako urągających kodeksowi drogowemu. Są to samochody, które już uzyskały zgodę na wyjazd zakładowego punktu kontroli technicznej. Od układów dyrektora z KW zależy jak częste są te kontrole i czy są w ogóle. Jeśli KW pragnie wykończyć dyrektora (bo ten — przykładowo — opieszale współdziała przy budowie prywatnej willi kogoś z elity) wówczas ilość czarnych kontroli MO niepomrotnie narasta. Oprócz tego milicja kontroluje samochody na mieście. Tutaj jednak z reguły sprawa nie kończy się mandatem, lecz wpłaceniem połowy kwoty mandatu do kieszeni milicjanta. Na ciężkie warunki pracy składa się także nieznośny hałas w kabinie, smród ulatniającej się benzyny oraz ciężko działające sprzęgło i hamulec. U wielu dłużej pracujących kierowców występują żylaki¹. Napięcie potęgowane jest przez

1. Problem notorycznego nieprzestrzegania przez pracodawców norm ustalanych po to by praca była w miarę zdrowa jest zresztą bolączką ogólnonarodową. Prawie we wszystkich zakładach pracy np. hałas przekracza znacznie dopuszczalną przez BHP normę decybeli.

duże zagęszczenie wąskich i znajdujących się w kiepskim stanie ulic.

Nieporównanie cięższa jest praca ładowacza. Wykonuje on wszystkie prace ręcznie. Jego podstawowy sprzęt to: łopata (w *slang'u*: mandolina), kilof i łapka do przenoszenia cegieł. Pewne prace przeładunkowe są niesłychanie brudne, a ładowacze nie mają żadnych dodatkowych ubrań ochronnych. Następnego dnia wkładają więc swój strój roboczy przeżarty cementowym, wapiennym lub węglowym pyłem, którego nie sposób usunąć, i przeładowują stolarkę lub szyby. Chronią swe ciało i zdrowie jedynie przy pomocy rękawic ochronnych. Większość ładowaczy ma jednak tak stwardniałe dłonie, że gromadzi rękawice, by później odsprzedać je na targowisku. Do przeładunku materiałów pyłowych powinno się używać specjalnej maski, zabezpieczającej płuca i drogi oddechowe, ale jest ona tak skonstruowana, że uwiera w twarz, ma słabą przepustowość powietrza, śmierdzi, a po pewnym czasie — jeśli ktoś ofiarnie chce chronić płuca — zatyka się pyłem, przed którym ma być obroną. Dyrekcja odmówiła sprowadzenia odpowiednich przeciwpyłowych masek z zagranicy wymawiając się brakiem dewiz. Stan płuc załogi jest więc fatalny. Pylica jest chorobą powszechną. Do tego dochodzą: chroniczne zapalenie spojówek i błon śluzowych.

Koszmarne są również w przedsiębiorstwie szatnie. Brudne, ciemne, niskie, z pogiętymi i pokiereszowanymi metalowymi szafkami, połamanymi ławkami i krzesłami, odrapanymi i zżerany przez grzyb ścianami. Nielepiej prezentuje się łaznia. 6 pryszniców na 1.000 brudnych ładowaczy i kierowców! Często w lecie brakuje ciepłej wody. W zimie jest, gdyż kierowcy muszą mieć ciepłą wodę, by wlewając ją do chłodnicy prędzej rozgrzać silnik i ruszyć. Dlatego załoga myje jedynie ręce i twarz, kąpiąc się gruntownie w sobotę i tracąc sporo czasu na dopchanie się do pryszniców.

Ilość wypadków podczas pracy jest duża, ale w większości przypadków drobna. Ładowacze nagminnie kaleczą sobie ręce i nogi. BHP'owiec chcąc mieć jak najniższą statystykę wypadkowości tak zorganizował pierwszą pomoc, że prawie nikt nie ryzykuje z nim kontaktu, starając się opatrywać we własnym zakresie.

Przedsiębiorstwo prowadzi stołówkę. Większość robotników w niej nie jada (nie chce im się stać w kolejce, obiady niesmaczne, żona lepiej gotuje itp.). W okresie zimowym ładowacze otrzymują posiłki regeneracyjne — zupy: pomidorową, grochową, fasolową, krupnik i kapuśniak, w półlitrowych puszkach. Jedna na jeden dzień. Do tego dostają małą kuchenkę na paliwo turystyczne, ale jest ona tak nieporęczna i niewygodna

w użyciu, że część ładowaczy spożywa zupy na zimno a część nimi handluje.

Wyzysk i samoeksploatacja

Przeciętne płace w przedsiębiorstwie są niższe od przeciętnej płacy krajowej. Nie licząc nadgodzin ładowacze zarabiają około 4 tys. zł., kierowcy około 3 tys. zł. Ale na taką wysokość przeciętnej płacy wpływają przede wszystkim duże zarobki z miesięcy listopad/grudzień-marzec/kwiecień), a więc z miesięcy, w których zamiera budowa prywatnych domków, willi i zakładów. W miesiącach sezonu budowlanego kierowcy i ładowacze zarabiają około 2.000-2.500 zł. Wówczas to kto żyw dorabia na fuchach. Nieprywatne samochody i ich załogi przekształcają się w element prywatnego procederu budowlanego. Problem fuch podejmuje za chwilę. Tutaj tym niemniej warto zwrócić uwagę na to, że niezależnie od postaw pracowniczych przedsiębiorstwo uprawia straszliwy wyzysk wobec swoich pracowników. Przykładowo, jeśli przedsiębiorstwo za wypożyczony na jedną dniówkę samochód wraz z załogą i za wykonaną robotę otrzymuje zapłatę w wysokości 4-5 tys. zł. to kierowca otrzymuje z tego około 80-150 zł. a ładowacz około 100-200 zł. Jeśli nawet przyjmujemy, że koszty eksploatacji samochodu i opłacenia administracyjnej części przedsiębiorstwa wynoszą dziennie od jednego samochodu 500 zł., a pozostałe koszty funkcjonowania przedsiębiorstwa około 200-500 zł. od jednego samochodu to i tak pozostaje suma 3-4 tys. zł. zarabiana całkowicie na czysto przez przedsiębiorstwo. Rzecz jasna robotnicy nie mają żadnego wpływu na to co się z tą sumą pieniędzy dzieje, a zapewne w takiej samej sytuacji jest także dyrekcja. Z pewnością spora część tych pieniędzy, zamiast iść na fundusz społecznego spożycia, jest konsumowana przez budżet MO i SB, rozdymający się od kilku lat coraz bardziej. A może wszystkie postawowe potrzeby socjalne pracowników są zaspokojone? Nic podobnego. Przedsiębiorstwo nie ma własnego żłobka ani przedszkola, hotele robotnicze i zakładowa świetlica mogłyby zdobyć palmę pierwszeństwa w konkursie upiórów, a najgorszemu wrogowi nie życzyłbym, by przyśnił mu się wygląd zewnętrzny i wewnętrzny oraz architektura przedsiębiorstwa. Przedsiębiorstwo nie dysponuje również odpowiednią ilością miejsc we własnym ośrodku wczasowym. Przeciętnie robotnik z rodziną zdobywa w nim miejsce raz na 5 lat. O wiele częściej korzystają z miejsc w ośrodku wczasowym inżynierowie, biurokracja i aktywiści partyjni oraz związkowci.

Żaden z robotników nie dostrzega świadomie swej płacy na

tle kategorii wartości dodatkowej i związanego z nią pojęcia wyzysku. 35 lat totalitarnego systemu używającego marksizmu jedynie jako dekoracji i zasłony, a pojęcia klasy jako grupy ludzkiej, bądź to wyzyskującej bądź to wyzyskiwanej, jedynie wobec kra-
jów zza innej kurtyny, zrobiło swoje. Intuicyjnie jednakże prawie wszyscy robotnicy wyczuwają, że coś jest nie tak i że z tego co wypracują własną krwawicą zbyt mało wraca do nich czy to w postaci zarobków czy potrzebnych im urządzeń i udogodnień socjalnych. W czasie 8-godzinnej dniówki pracują więc jedynie tyle, ile jest bezwzględnie konieczne i starają się jak najmniej zmęczyć. Po dniówce natomiast przystępują do pracy w nadgodzinach, płatnej wyżej od 50 do 100 % za jednostkę przeładowanego materiału. Przedłużają w ten sposób dzień roboczy przeciętnie o 5 godzin, a bywa i, że o 8-10 godzin. Pomimo tego, że ilość nadgodzin zdecydowanie przewyższa dopuszczalne normy dyrekcja musi zaaprobować tę samoeksploatację — bo zrobi wszystko, by wykonać odgórnie narzucone plany lub przynajmniej jak najbardziej się do nich zbliżyć. Zwlekanie z pracą podczas normalnej dniówki jest możliwe ponieważ przedsiębiorstwo cierpi chronicznie na brak rąk do pracy i z tego powodu dyrekcja kieruje się cichą maksymą, że lepszy jakikolwiek robotnik niż żaden. Bo jaki by nie był to zawsze te parę ton za- i wy-ładuje. Robotnicy wiedzą o tym i stale szantażują dyrekcję wypowiedzeniem. Co sprytniejsi i tacy, którzy mają plecy u dyspozytora (z reguły przekupują go) załatwiają sobie już rano zlecenie dniówkowe i nadliczbowe i dzielą przykładowo wagon „krowę” (56 ton ładowności) na 28 ton które przeładują w dniówce i 28 ton, które przeładują w nadgodzinach. „Korzyści” płyną z tego i dla ładowaczy i dla przedsiębiorstwa. Co prawda przedsiębiorstwo nie może się targować o wielkość masy przeładowanej w dniówce, gdyż zwyczajowo ustalili się podział *fifty-fifty*, ale co ważniejsze uzyskuje lepszy efekt dniówkowy. W podanym przykładzie 28 ton. Gdyby dyrekcja nie poszła na rękę załodze wówczas ładowacze przeładowaliby w dniówce 5-10 ton, a resztę po godzinach pracy: w nadliczbówkach. Systemu tego nie można upowszechnić z tego powodu, że dyrektor dysponuje w skali rocznej zbyt małym funduszem, z którego opłaca nadgodziny i wypłaca pensje i nie wolno mu go absolutnie — za cenę stanowiska — przekroczyć. Stanowi to rzecz jasna warunek wyodrębnienia się wzmiarkowanej wyżej uprzywilejowanej grupy w łonie ładowaczy. Ich korzyści polegają na tym, że nie muszą wracać po 8 godzinach dniówki do przedsiębiorstwa by załatwić zlecenie na nadliczbówki oraz na tym, że mogą przeładować owe 56 ton w takim czasie w jakim zdołają. Jeśli przykładowo wykonają robotę w 6 godzin to wracają na bazę i idą do domu, albo, jeśli mają na to ochotę,

mogą w większości wypadków wziąć nowe nadliczbówki². Żeby nie zdarzyła się sytuacja, w której ilość godzin nadliczbowych byłaby zbliżona do ilości godzin doby (*sic!*) wówczas np. owe 28 ton przeładowanych częściowo lub całkowicie w godzinach dniówki zapisuje się jako 1 godzinę nadliczbówki i nikogo nie dziwi to, że nie jest możliwe za- i wyładowanie 28 ton czegośkolwiek przez dwóch ludzi w tym czasie.

Organizacja pracy

Uwzględniając specyfikę pracy transportu, podstawowym mankamentem jest brak jakiegokolwiek łączności między załogami samochodów a dyspozytornią. Załoga, która wyjeżdża rano, praktycznie wsiąka na cały dzień. I tylko od jej humoru zależy czy podejmie pracę czy też nie. Zdarza się nagminnie, że w poniedziałek skacowane załogi — po niedzielnym ćwiczeniu wódki — wyjeżdżają za miasto i odsypiają swoje. Po czym kierowca wpisuje do karty drogowej uszkodzenie samochodu, rozpisuje odpowiednio na godziny jego naprawę i załoga wykurowana wraca na bazę, by wziąć nadliczbówki. Brak łączności pomiędzy ekipami a dyspozytornią praktycznie uniemożliwia także podjęcie jakiegoś nowego zlecenia, gdy z jakichś powodów załoga wykona wcześniej niż przewidywano otrzymane zadanie, bądź też, gdy okaże się, że dyspozytor pomylił się i przydzielił to samo zadanie także innej załodze, która już podjęła robotę (dyspozytora za takie pomyłki nie spotyka żadna kara). W takim przypadku załoga rzadko wraca do przedsiębiorstwa po nowe zlecenie. Z reguły szuka fuchy. Nie ma również dostatecznej koordynacji między zakładem A i B, gdyż od czasu do czasu zdarza się, że tam gdzie miała być wysłana wywrotka wysłano ciężarówkę skrzyniową z ładownicami, a tam gdzie miała być wysłana ciężarówka skrzyniowa — wysłano wywrotkę. Nie obywa się również bez niepotrzebnych dubletów. Czasami zlecenie staje się nieaktualne

2. Stała możliwość brania nadliczbówek przez większą część załóg bierze się z braku równowagi pomiędzy ilością towarów przywożonych do miasta przez kolej, a zdolnością wchłonięcia tej masy towarów przez transport. W związku z tym że kolej pobiera olbrzymie kary za przetrzymywanie wagonów na stacjach, tzw. osiowe, kilkaset razy przewyższające opłaty za wynajem samochodu, przedsiębiorstwa te robią wszystko by przepis o górnym pułapie nadliczbówek był martwym przepisem. Często jednak jest tak, że nie ma chętnych do nadliczbówek, albo masa towarowa jest taka, że nawet optymalnie zastosowane środki nie starczą. Wówczas przedsiębiorstwa — adresaci towarów — płacą osiowe progresywnie narastające w stosunku do czasu. Osiowe to przekracza wielokrotnie nawet koszty kilku „Starów”, ale przedsiębiorstwo kupić ich nie może, bo z powodu niedostatecznej produkcji przydzielane są odgórnie według rozdzielnika.

z winy zamawiającego przedsiębiorstwa. Zamówienie musi być złożone najpóźniej w dniu poprzedzającym termin jego wykonania. Jeśli przedsiębiorstwo zamawiające rozładuje wagony wcześniej wówczas zamówienie staje się bezprzedmiotowe. Przedsiębiorstwo zamawiające płaci karę umowną (ale o niebo mniejszą od osiowego) a załoga szuka fuchy.

Osobną sprawę stanowi cennik przeładunkowy. Jest on ułożony z taką nieznajomością obiektywnych warunków, towarzących konkretnym pracom przeładunkowym, że był chyba układany przez „myślicieli” całkowicie niekompetentnych, a w dodatku po kilku butelkach wódki. Za tonę materiałów, które z racji objętości przeładowuje się dłużej, otrzymuje się o 2-3 zł. mniej niż za tonę materiałów, które przeładowuje się krócej i wcale nie ciężej. Za pracę lekką i czystą, na przykład przeładunek stolarki, otrzymuje się o 5-7 zł. więcej za tonę, niż za pracę brudną i męczącą — na przykład węgiel, cement, wapno itp. Doprowadza to w konsekwencji do sytuacji, w której ktoś naprawcowawszy się obiektywnie więcej od innych, przy niekorzystnych nadziałach z dyspozytorni, może zarobić o 1.000-4.000 zł. mniej.

Zachodzi również sprzeczność pomiędzy zasadą wynagrodzenia kierowcy i ładowaczy. Kierowca jest opłacany od godziny, ładowacze pracują na akord. Kierowca ma tym wyższe zarobki im więcej godzin jest w pracy i im więcej ma godzin efektywnej jazdy. Ładowacze, którzy pracują na akord, mają tym wyższe zarobki im więcej czasu znajdują się poza kabiną, czyli przeładowują. Kierowca także nie jest zainteresowany tym, by jego załoga przeładowała owe 56 ton w czasie dniówki i zapisała sobie, że przeładowała 28 ton w ciągu jednej godziny nadliczbowej. Jemu zależy na tym, by rozpiła te 28 ton na 8-10 godzin nadliczbowych, które liczą się i jemu istotnie do zarobku, bo przecież stoi, czeka i wozi. Ponadto sprzeczność w zasadzie wynagradzania ładowaczy i kierowców powoduje i to, że kierowca pragnie dostawać długie trasy a ładowacze krótkie. Kierowca jadąc 2 godziny do miejsca rozładunku zarabia więcej, niż gdyby stał i dostał bliski punkt rozładunku. Ładowacze przeciwnie, podczas tych dwóch godzin jazdy są opłacani jedynie za to, że pozostają w dyspozycji przedsiębiorstwa — a płaci im się za godzinę takiej dyspozycyjności jedynie około 8 zł. Kierowcy zależy także jeszcze z jednego powodu na długich trasach. Otóż kierowca przejeżdżając długą trasę z reguły uzyskuje w punkcie rozładunku potwierdzenie podwójnego przejechania tej trasy. Bierze to się stąd, że wagę niektórych materiałów określa się na oko. Jeśli więc załoga przewiezie 4 tony piasku w jednym dalekim kursie, przykładowo do piaskarza który ma nim wysypać oblodzone drogi wewnątrz swego przedsiębiorstwa, to on z reguły podpisze, że

przywieziono mu 8 ton piasku, a więc tyle ile zamówił, też jedynie fantazyjnie by więcej zarobić, i jest zadowolony, że rozsypie jedynie 4 tony piasku, które policzy mu się za 8 ton (bo tyle przecież mu przywieziono) i mniejsza już o to czy zabezpieczą ludzi przed łamaniem nóg, czy też nie. Korzystają na tym procederze także kierowca i załoga. Kierowca, który jeździ np. „Starem” o dopuszczalnej ładowności 4 ton rozpisuje swój jeden kurs na dwa kursy — podwędkuje licznik w samochodzie, a nadwyżkę benzyny sprzedaje swemu stałemu odbiorcy po cenie 50-40 % niższej od ceny oficjalnej. Ładowacze zaś zapisują na swym koncie 4 tony przeładowanego piasku, którego faktycznie nie przeładowali. Ponadto i kierowca i ładowacze uzyskują czas na wykonywanie w czasie dniówki fuchy, wykazując jednocześnie, że ostatnie 4 godziny dniówki poświęcili na zrealizowanie drugiego kursu z piaskiem (faktycznie fikcyjnego), oraz, co niebagatelne, możliwość faktycznego pobrania 2 ton piasku ze składnicy i sprzedania go. Magazynier na składnicy widzi na zleceniu, kiedy załoga przyjeżdża po piasek, że na papierze jest on już odebrany przez piaskarza — ma więc prawne podstawy, by odmówić wydania piasku. Ale ręka rękę myje. Magazynier nie odmawia, bo inaczej załoga nie powiadomiłaby go, że z jego składnicy pobrano fikcyjne 4 tony piasku i że ma nadwyżkę, na czym mu bardzo zależy w prowadzeniu swoich czarnych interesów, ale z drugiej strony załoga odbiera jedynie 2 tony piasku resztę pozostawiając magazynierowi. Takich możliwości papierowego przeładowywania jest o wiele więcej. Są one skwapliwie wykorzystywane. Zasadzają się z jednej strony na nieuczciwości stron, z drugiej strony ich bazą jest kompletne wręcz zaniedbanie, w przypadku pewnych materiałów, prawidłowego, zgodnego ze stanem faktycznym określenia ich wagi. Często jest to świadome, gdyż przy obowiązujących stawkach przeładunkowych ładowacze, choćby wypruli z siebie żyły, poszliby z torbami. Kierownictwo musi więc przemykać oczy na kombinowanie, umożliwiające uzyskanie żnośnego zarobku. Ale życie jest systemem naczyń połączonych i po pewnym czasie zgniją wszystkie ziemniaki w worku, gdy wrzucimy do niego jeden spleśniały. Dyrekcja pewno mogłaby zabiegać o zmianę cennika, ale nasz system gospodarczy jest inercyjny i urutynizowany i w zasadzie drobna zmiana prawdopodobnie wymagałaby od razu wielkich. Tych zaś dyrekcja nie jest w stanie zaimować. Koło się zamyka. Oprócz tego i dyrekcja ma swój interes w niepoliczalności pewnych produktów. Otóż owa niepoliczalność pozwala przedsiębiorstwu wykonywać plany. Złotym środkiem robienia planów jest wysłanie samochodów do wywożenia gruzu z remontowanych domów. Tutaj załogi uzyskują czasem kilka razy większy zapis od faktycznie

wywiezionej ilości. Przykładowo: wywożą 4 tony gruzu a majster wpisuje im 28-40 ton gruzu w dniówce (gruz dosypywany jest sukcesywnie podczas trwania remontu i wysypywany przez załogę na wysypisko śmieci i kto tam jest w stanie określić, ile go było). Załogi walczą jak lwy o pracę przy gruzie. Kierowca bowiem rozpisuje gruz na kilka kursów (waga gruzu jednego kursu nie może przekroczyć nominalnej ładowności samochodu) i zarabia w ten sposób na benzynie i fikcyjnych godzinach jazdy, a ładowacze zarabiają nieźle nic nie robiąc. Innym środkiem robienia planu jest branie zamówień na przeładunek materiałów drobnych, takich jak stolarka, węże gumowe, ręczny sprzęt budowlany, osprzęt itd. Przewozi się przykładowo 15 węzów gumowych, które ważą razem około 150 kg., a więc za- i wyładunek trwa bardzo szybko, ale w zleceniu wpisuje się przewóz 4 czy 5 ton drobnicy, wyrównując wagę ładunku w kursie zawsze do górnej granicy nominalnej ładowności samochodu. Jest to konieczne gdyż, jak wiemy, w Polsce nie wolno wozić powietrza. I jeśli wykażemy w zleceniu, że nie wieźliśmy, to możemy spać spokojnie. Powstaje pytanie: czy rozliczają, i jeśli tak, to jak rozliczają, tak znaczny rozchód drobnicy przedsiębiorstwa, które potwierdzają załozde na podstawie wywozu 150 kg. węży 5 ton drobnicy³?

W świetle przedstawionych danych nie ulega wątpliwości, że omawiane przedsiębiorstwo wykonuje plany fikcyjnie. W przedsiębiorstwie tym wręczą się odznaczenia i nagrody dyrekcji, administracji i robotnikom — tym, którzy mając układy, mają najlepsze osiągi produkcyjne na fikcyjnie przeładowany gruz, przedsiębiorstwo to otrzymuje dyplomy z ministerstwa i listy pochwalne od I-go sekretarza i premiera za doskonałe wyniki produkcyjne i tak kancelaryjny obraz świata zdominowuje to, co gdzie indziej zwie się rzeczywistością.

Fuchy

W przedsiębiorstwie panuje psychoza fuch — dorobić w czasie dniówki. Fuchy przynoszą duży pieniądź i są praktycznie nie wykrywalne. W czasie sezonu budowlanego większość ekip ma

3. Być może, że rozliczają je techniką znakomicie wyćwiczoną przez system — likwidacji archiwów. Otóż zdarza się w naszym kraju, że w pewnych sytuacjach partia organizuje kontrolę papierów przedsiębiorstwa za jakiś okres czasu. Powody oficjalne są błahie, np. brak miejsca w przechodni. Zaufani rzeczoznawcy i kontrolerzy potwierdzają, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, po czym papiery, na podstawie których całe kierownictwo można by wpakować do więzienia, giną bezpowrotnie.

fuchę przeciętnie 3-4 razy w tygodniu. Są załogi, które dysponują portfelem prywatnych zamówień na cały sezon budowlany. W wylotowej ulicy wiodącej od przedsiębiorstwa do miasta ustawiają się rano naganiacze z adresami potrzebujących materiały budowlane, które odstępują po pewnej cenie, oraz sami klienci. Najprostszym rodzajem fuchy jest przerzucenie klientowi materiałów już przez niego zdobytych. Drugi typ fuch, o wiele bardziej opłacalnych, polega na dostarczeniu klientowi materiałów budowlanych zdobytych przez załogę. Jeśli ekipa ma materiały a nie ma klienta, wówczas zawozi towar do pośrednika w handlu kradzionymi materiałami budowlanymi. Rzecz jasna, że pośrednicy mają największe wzięcie w zimie. Ładowacze wypracowali różne techniki kradzieży. Pomijając sytuację, w której czasami cementownia robi swoisty prezent ładowaczom, gdyż zamiast 20 ton cementu w wagonie są 22 tony, najczęstszy sposób kradzieży polega na wykorzystywaniu zbitek. W przypadku cementu sprawa polega na tym, że na skutek słabych worków papierowych, pakowania przez cementownię ciepłego cementu do worków oraz niestarannego ułożenia worków w wagonie, które przywalają drzwi i drą się podczas ich otwierania, zawsze jest tak, że 2-10 worków w wagonie jest pękniętych lub podartych. Ładowacze dostarczają oficjalnemu adresatowi 5-10 worków mniej z każdego 10 ton, twierdząc że taki był ubytek cementu na skutek rozsypania się. Ten proceder stosuje się w stosunku do wszystkich workowanych papierowo materiałów sypkich, oraz w stosunku do cegieł, dachówek, ceramiki (gdzie też są zbitki). W przypadku workowanego wapna zdarza się nagminnie, że waga poszczególnych worków waha się w granicach 35-70 kg. (nominalna powinna wynosić 50 kg.). Jednakże ciężar całego wagonu odpowiada oficjalnie asygnowanej wadze ponieważ w wapiarni załadowuje się go do wagonu stojącego na wadze aż do osiągnięcia ciężaru założonego. Ładowacze traktują natomiast każdy worek jako 50 kg i jako taki zawożą do odbiorcy. Jeśli przeciętna waga worków jest wyższa od 50 kg. wówczas liczenie ich jako 50 kg. byłoby na niekorzyść ładowaczy ponieważ, przy założeniu że dostarczają je jako 50 kg., byłoby ich za mało. Jeśli tak się zdarzy, wtedy ładowacze skutecznie wyklócą się o to, że worki były cięższe i że dostarczyli globalnie tyle wapna, ile odbiorca zamówił. Jeśli przeciętna waga worków jest niższa od 50 kg. to w tym wypadku liczenie ich jako 50 kg. jest korzystne dla ładowaczy, ponieważ po takim usatysfakcjonowaniu odbiorcy sprzedają otrzymaną nadwyżkę wapna. Zdarza się częściej ta druga sytuacja (5-10 worków wapna). Znakomitą okazję kradzieży dają także wahadła — cały pociąg załadowany jednym materiałem np. grysem, węglem czy żwirem. Wahadło jedzie

rozładowywać 25-40 samochodów. Materiał zwozi się na skład. W tej masie samochodów, która przejeżdża bramę składu i ma być wazona oraz liczona, wagowcy i rachmistrz szybko się gubią (lub częściej pragną się zgubić) i jedynie statystują, bądź, jeśli wybije koniec dniówki, najnormalniej idą do domu. Każda załoga ma więc okazję chociaż raz skoczyć na lewy kurs z lewym materiałem.

Przyczyny fuch leżą nie tylko ani głównie w złodziejskiej mentalności robotników czy w samonadarzających się okazjach. Główną przyczyną fuch jest brak materiałów budowlanych w handlu, a więc ich niedostateczna produkcja. Oprócz tego duża ilość osób budujących prywatnie. Większość z nich stanowi bezpośrednio elitę władzy, lub jest z nią powiązana. Z pewnością to ta grupa osób wprowadziła przepis, zgodnie z którym właściciel materiałów budowlanych nie musi wykazać się dowodem kupna ani wyjaśniać w jaki sposób stał się ich właścicielem. Przepis ten, rzecz jasna, sankcjonuje czarnorynkowy handel materiałami budowlanymi.

Konflikty w przedsiębiorstwie

Konflikty w przedsiębiorstwie, zresztą jak i w całym kraju, mają charakter w zasadzie utajony. Przedsiębiorstwo wykształciło cały system różnego rodzaju amortyzatorów, przy pomocy których nieomal wulkanowe napięcie sprowadza w najgorszym razie do podrygów pokrywki małego czajniczka, w którym wrze woda. Podstawową zasadą amortyzowania jest hasło: „Kraść, kłamać — w porządku, ale na wszystko mieć ubezpieczenie, najpewniej zatrzeć ślady, następnie zdobyć pewne papiery”. Drugą zasadę da się sformułować jak następuje: „Możemy się gryźć, ale na zewnątrz cisza i spokój”. Dlatego też swoisty surrealizm tego przedsiębiorstwa, będący jedynie częścią ogólnonarodowego papier- i kłam-realizmu jest niewidoczny na pierwszy rzut oka. Wątpię czy robotnicy zdają sobie sprawę z kwestii, które podjąłem tutaj, ale po pewnym czasie czują je lepiej, prawie że parapsychologicznym nadzmysłem, umożliwiającym im ułożenie się z sytuacją wobec której są bezsilni rozumem, ale potężni roztroptym praktycyzmem codziennego przemijania. Tym niemniej konflikty istnieją i aczkolwiek sprowadzane w uczuciach jedynie do prywatnego starcia, osobistej zadry i pyskówki i nie związane ze strukturalnymi ślepymi zaułkami całego systemu, prowadzą jednak do stressów i stałych frustracji, które nie rozładowane dają nam klasę robotniczą i większą część naszego narodu moralnie zdeprawowaną i zdegenerowaną.

Istotne konflikty występujące w przedsiębiorstwie można

z grubsza podzielić na konflikty zachodzące pomiędzy dyrekcją i innymi instancjami kierowniczymi a robotnikami, oraz na konflikty wewnątrzrobotnicze. Są to konflikty strukturalne. Usuwać ich się nie da bez radykalnej odnowy systemu. Ich korzenie tkwią w stosunkach ekonomicznych, wykształconych w przedsiębiorstwie i w całym kraju.

Podstawowym źródłem konfliktu między szeroko rozumianym kierownictwem a robotnikami jest korupcja i nieuczciwość kierownictwa. Większość przedstawicieli kierownictwa buduje wille organizując, rzecz jasna, ich budowę przy pomocy środków i materiałów przedsiębiorstwa. Ponadto dyrekcja siłami przedsiębiorstwa obsługuje także prywatne potrzeby budowlane miejscowej elity — zwłaszcza wysokich funkcjonariuszy partyjnych i milicyjnych. Część kierownictwa pobiera oprócz tego stałe „dole” od nadziału lepszych robót dla ekip. Dobre układy z kierownictwem to także większy dostęp do innych pozostających w niedomiarze dóbr. O stanie zdemoralizowania załogi świadczy fakt, że konflikty pomiędzy kierownictwem a robotnikami powstają nie dlatego, że „wy jesteście nieuczciwi”, ale dlatego, że „wy nas nie wybraлиście swymi faworytami”. Z drugiej strony robotnicy w związku z permanentnym odczuwaniem przez przedsiębiorstwo braku rąk do pracy mają dużą swobodę w zachowaniu wobec kierownictwa — często jest to zachowanie aroganckie i wrogie. Nie jest to jednak zachowanie przedstawicieli klasy dla siebie. Wrogość ta werbalizuje się na poziomie czysto personalnym.

Konflikty wewnątrzrobotnicze dominują nad pierwszymi bo są bardziej codzienne. Konflikty te zachodzą między kierowcami a ładowaczami, między ładowaczami (o miejsce w tej załodze a nie w tej), między całymi ekipami (o dostanie tego zlecenia a nie tamtego), między warsztatami naprawczymi a kierowcami. W tym ostatnim przypadku szczególnie silne konflikty powstają dlatego, że mechanicy żądają łapówek za szybką naprawę samochodu. Jeśli zdarzy się uszkodzenie samochodu na skutek wypadku, wówczas warsztaty naprawcze proponują naprawę prywatną i kierowcy to się opłaca ponieważ suma, którą opędza naprawę na tych warunkach jest zawsze niższa od oficjalnych kosztów naprawy danego uszkodzenia. Warsztaty naprawcze wpisują zaś do karty napraw jakieś zupełnie nieistotne uszkodzenie, zaś części na naprawę prawdziwego uszkodzenia wydobywają ze specjalnie robionych na taką okazję zapasów. Konflikty wewnątrzrobotnicze również rozgrywają się w układach dwu-, trzy-, czteroosobowych. Z reguły kończą się ostatecznym rozejściem się stron przy akompaniamencie wyzwisk i przekleństw, niezadko zaś bójką.

Świadomość załogi

Świadomość pracowniczą załogi można streścić jak następuje: Jak najmniej się napracować ale jak najwięcej zarobić; jak najwięcej nakraść i nie wpaść. Pracownik z innym nastawieniem uchodzi za frajera i jeśli próbuje upodobnić innych do siebie spotyka się ze stanowczym odporem. Pracownicy tacy zdarzają się zresztą wyjątkowo rzadko, a jeśli już się przytrafiają to albo odchodzą, albo dopoczwarzają się. Załogi nie postrzegają absolutnie rzeczywistości w kategoriach marksistowskich. Wiedzą, że są klasą robotniczą, ale w tym sensie w jakim 2-3-letnie dziecko wie, że jest dzieckiem. Czerwcowe zamieszki i strajki robotnicy traktowali z pokorną radością (co można uważać za zaczyn rodzącej się mgławicowo świadomości klasowej), ale bez jakiegokolwiek poczucia solidarności. Rozmowy na ten temat, liche i przestraszone, kończyły się stwierdzeniem o potędze partii, milicji i ZSSR, w których przebijająca nieskrywana nuta zadowolenia, że to nie ich grzbiety zetkną się z milicyjną pałką. Kompletnym cynizmem charakteryzują się członkowie PZPR. Są to osobnicy całkowicie oportunistyczni. Nie obchodzi ich żadna ideologia. Całe ich życie polega, jak się wydaje, na zabiegach umożliwiających im jak najlepszą realizację swego wąskiego, czysto praktycznie rozumianego, interesu skupionego wokół żądzy posiadania jak największej ilości dóbr materialnych. To oni wożą materiały budowlane na budowy miejscowych milicyjnych i partyjnych bonzów i to im się mówi, że spełniają w ten sposób najlepiej swój partyjny obowiązek. To jeden z nich na swój sposób encyklopedycznie streścił życie: „Istnieją trzy kategorie ludzi: wielkie świnie, małe świnie i frajerzy. Najlepiej mają wielkie świnie, średnio małe świnie, źle frajerzy. Frajer zawsze może sobie poprawić, gdy wstąpi do partii, a potem nawet jeśli nie stanie się wielką świnią to i tak lepiej być małą niż frajerem”. Z drugiej strony i członkowie partii i bezpartyjni notorycznie nienawidzą partii i wszystkiego co się z nią kojarzy. Nienawiść do partii i zniechęcenie do systemu (aczkolwiek starannie zamykana kilkoma kluczami w głębi duszy), nienawiść do ZSSR (już nie tak skrywana) powodują całkowitą anihilację moralnego podejścia do pracy. Jeśli się nienawidzi nie można pracować dobrze. A system potrzebuje pracy wydajnej i wysokojakościowej. Dlatego zmusza do niej strachem, a jeśli tego nie starcza — przemocą fizyczną.

Świadomość pozapracownicza załogi jest również pełna aprobaty i spokoju, a z drugiej strony lęku przed skomplikowaniem

i jakkolwiek niepewnością. Robotnicy rozmawiają jedynie o zarobkach, domu, kobietach (najczęściej w wulgarny sposób), libacjach, czasem o sporcie. Uderza kompletny brak czytania, pogon za zupełnie prostą i łatwą w konsumpcji rozrywką. Słownik, którym się posługują jest ubogi. Porozumiewają się przy pomocy 200-250 słów. Sprawia im trudność wypowiedzenie mało skomplikowanej myśli, a przy próbie wystąpienia bardziej złożonego problemu zacinają się zupełnie. Pijaństwo w pracy i poza pracą jest nagminne. Całą tak potrzebną psychiczną higienę buntu i innowacji zaspokajają przez personalne użerania się w przedsiębiorstwie i libacje. Realizują ją więc w sposób wygodny dla systemu. Jak na ironię przypominają się słowa Marksa: nie jest ważne to, co w danej chwili, odczuwa, pragnie i myśli pojedynczy robotnik, ważne jest jakie zadanie i misję musi spełnić jako przedstawiciel proletariatu i wraz z nim.



Istnieją pewne powody by sądzić, że tak niefortunnie i szaleńczo funkcjonuje większa część naszej całej gospodarki i istnieją pewne powody, by nie wątpić, że pewna część polskiej klasy robotniczej, zwłaszcza zaś pewna część wielkoprzemysłowego proletariatu — ta która już nieraz dawała o sobie znać czy to wychodząc na ulice czy to strajkując — nie wypadłaby tak fatalnie. Wdawać się w dysputy jak wielka jest to ilość ludzi, byłoby przy obecnym rozpoznaniu polskiej klasy robotniczej jałowe. Zbyt wiele bowiem czynników decyduje o tym kto w danej chwili wystąpi a kto słumi drgającą przecież w każdym iskierkę buntu w zarodku. Nie sposób jednakże oprzeć się przekonaniu, że dogmat kierowniczej roli klasy robotniczej jest jeszcze jednym pustym frazesem. Pustym ale i okropnym w konsekwencjach. To i przy jego pomocy uzasadnia się kierowniczą rolę (dyktaturę) partii i to jego używa się jako dekoracji mającej skryć niecnosci, nieprawości i zbrodnie systemu. To on także jest opium klasy robotniczej. To za jego sprawą klasa ta ma jednak nie przenieść się już to w świat uciech i radości nieziemskich, ale przyjąć jako normalny, partyjny i milicyjny świat surrealistycznych zadekretowań i totalitarnych manipulacji, dokonywanych na zatomiastowanym społeczeństwie. I jak na razie spełnia on dobrze te funkcje. Nie jest bowiem jego powołaniem zdanie sprawy z charakteru proletariatu czy wyrażanie tendencji, które być może jeszcze nie ujawnione ale w nim jednak drzemią (choćby możliwe, że takie były jego pierwotne tendencje). Sens tego dogmatu jest inny. Zasadza się on w uniemożliwieniu klasie robotniczej przejścia od klasy w sobie w klasę dla siebie. Mówiąc innymi słowy:

UBEZWŁASNOWALNIA JĄ. I chociaż może to zabrzmieć beznadziejnie pesymistycznie to fakt, że się utrzymuje w takiej postaci i pełniąc takie funkcje wystawia żalosne świadectwo całemu, z małymi wyjątkami, narodowi polskiemu. Być może obraz przedstawiony powyżej nie dotyczy jednak zbyt dużej części narodu polskiego? Ale szkoda się ludzi. Pociągowe szeptanki, szczere, nieoficjalne rozmowy w przerwie partyjnego zebrania, wynurzenia pijanego notabla, w którym podczas ciepłej, gwiazdzistej nocy wódka wzbudziła przyływ troski o Polskę, a przede wszystkim fakty, fakty zdają się przeczyć temu przypuszczeniu. Powszechnie zakłamanie, dewaluacja podstawowych wartości moralnych, straszliwe rozprzeżenie gospodarki, nowa elita i cały skomplikowany system wielostopniowych kast i kastowych przywilejów, wyrzucie klasy robotniczej ze świadomości klasowej, podwójne twarze i życie itd., itd. — oto bilans 35 lat sprawowania władzy przez satelickie rządy w kraju. Winien jest system — jeśli można użyć tej etycznej kategorii w stosunku do bezwładnego molocha żyjącego ze zniszczeń i spustoszeń czynionych na własnym narodzie, rozszerzającego się w miarę znowróźnego szczeku zamykanych za ludźmi bram i krat. Dlatego potrzeba radykalnej strukturalnej odnowy, i chociaż nie wydaje się ona możliwa dopóty dopóki ZSSR nie zmieni swego stosunku do swoich wasali, to jednak te 1.000, 10.000, milion a może jeszcze więcej ludzi, którzy się nie pogodzili, widzą i wiedzą musi wziąć na siebie obowiązek, drogę krzyżową przygotowania gruntu pod tę odnowę. I tak jest główny sens działania Opozycji w kraju i polskich Ośrodkach emigracyjnych.

Franciszek KOMIGA

Maj 1978

Niecenzurowana prasa krajowa

Pragnę w tym pierwszym przeglądzie podać trochę danych o ogólnej sytuacji prasy niezależnej w Kraju i o jej szacie zewnętrznej.

Zgodnie z informacjami, podanymi w poufnym wystąpieniu do lektorów partyjnych przez kierownika Wydziału Administracyjnego KC PZPR, Teodora Palimakę, wychodziło w kwietniu tego roku 19 tytułów prasy „nielegalnej” (według jego terminologii) w łącznym nakładzie 20 tys. egzemplarzy. Nie ma podstaw przypuszczać by dane, te oparte na informacjach dostarczanych przez służbę bezpieczeństwa, odbiegały daleko od prawdy. Od kwietnia do chwili obecnej ilość tytułów nie uległa większym zmianom, co najwyżej mogła się zwiększyć lub zmniejszyć o jedną lub dwie pozycje. Na przykład w lipcu ukazał się pierwszy numer dużego objętościowo i poważnego czasopisma polityczno-ideologicznego *Krytyka*, natomiast przestał praw-

dopodobnie wychodzić organ warszawskiego Studenckiego Komitetu Solidarności pt. *Indeks*, a los jednego z pierwszych pism opozycyjnych, anonimowo wydawanego *U Progu* jest nieznaną, dawno już nie pojawił się kolejny numer. Można natomiast, opierając się na solidnych przesłankach, przypuszczać, że łączny nakład pism niezależnych znacznie się zwiększył od kwietnia i że liczba 20 tys. sprzed połowy roku została przez służbę bezpieczeństwa zanizowana. Służba bezpieczeństwa twierdzi, że przechwytuje połowę nakładów, a więc ok. 10 tys. Informacje o „wpadkach” i konfiskatach oraz wyrwykowe i nieoficjalne dane o nakładach pochodzące od opozycyjnych redaktorów i drukarzy, wskazują na znacznie niższy procent strat. Pewne jest w każdym razie, że w interesie bezpieczeństwa leży chwalenie się swoją „efektywnością”.

Nie będzie od rzeczy przypomnieć tu kilka faktów z ostatnich trzech lat. W początkach 1976 roku student KUL'u Stanisław Kruszyński został skazany na wielomiesięczne więzienie za „rozpowszechnianie fałszywych i oszczerczych informacji” w paru listach do najbliższej rodziny. Na jesieni 1976 roku utworzony właśnie Komitet Obrony Robotników wydawał swe pierwsze *Komunikaty* w ilości 10, 20 czy najwyżej 50 egzemplarzy przepisywanych na maszynie. Dopiero po jakimś czasie uruchomiono pierwsze powielacze spirytusowe i inne najprymitywniejsze sposoby powielania, które pozwoliły podnieść nakład *Komunikatów* i zaraz potem powstałego *Biuletynu Informacyjnego* do kilkuset bardzo słabo czytelnych egzemplarzy. Na jesieni 1977 r. zaczynało praktycznie wszystko od nowa po majowych aresztowaniach i rewizjach, w czasie których skonfiskowano większość będących w dyspozycji opozycji maszyn do pisania i powielaczy. Ciągłość wydawania pierwszych publikacji związanych z KOR'em udało się jednak utrzymać, a nowe periodyki, w różnych środowiskach, zaczęły od lipcowej amnestii powstawać jak grzyby po deszczu. Pismo Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, wychodząca od marca 1977 *Opinia*, przetrwała bez większego szwanku trudny okres i od początku odznacza się dobrą jakością i czytelnością kopii.

Trzeba pamiętać, że nacisk ze strony służby bezpieczeństwa, choć mniejszy niż przed majem 1977, jest stały i dotkliwy. Na przełomie 1977/78 roku „wpadło” kilka bezcennych powielaczy, konfiskowano parokrotnie gotowe matryce tzw. woskówkowe do pierwszych numerów *Głosu*, co rusz to komuś zabierają maszyny do pisania, a ostatnio, w lipcu, bezpieczeństwo wpadło na trop warszawskiej drukarni *Robotnika*, produkowanego metodą tzw. sitodruku, (matryce przygotowuje się przy pomocy emulsji światłoczułej, rozsmarowanej na specjalnej tkaninie, rozpiętej na drewnianych ramach) w kilku miastach jednocześnie. Nikt jednak z wydawców, drukarzy czy kolporterów nie jest aresztowany ani oskarżony. Wielu jest natomiast bez stałej pracy lub relegowanych ze studiów, oraz nękanych policyjnymi zatrzymaniami na 48 godzin, czasem przesłuchaniami i biciem. Mimo to rosną nakłady, doskonalą się technika, poprawia się czytelność druku, rozszerza się sieć dystrybucji. Jest to zupełnie niezwykły rozwój obiegu niezależnej informacji, publicystyki i utworów literackich w ciągu bardzo krótkiego czasu, rozwój o którym jeszcze nie dawno nikt po prostu nie marzył.

Sądząc po egzemplarzach, które oglądałem, używane są chyba wszystkie co prymitywniejsze techniki powielania tekstów. W pierwszym okresie dominowały teksty przepisywane na maszynie, na cienkim papierze przebitkowym, oraz powielane na powielaczach spirytusowych, dających ograniczoną ilość ledwo czytelnych, niebieskawych kopii. Do dziś w ten sposób powielane są pisma wydawane w Krakowie, Lublinie i Gdańsku, oraz niektóre warszawskie. Prymitywną poprzedniczką wspomnianej już metody sitodruku jest tzw. technika sitosączki: tekst przepisyuje się na wilgotnym, dość grubym papierze na maszynie bez taśmy, zalewa się go roztopioną stearyną, którą następnie wytapia się w miejscach gdzie są wypukłe litery prasując gorącym

żelazkiem. Tak spreparowaną matrycę kładzie się na nasiąkniętym farbą filcu i, przykładając czysty papier, wałkuje się np. wałkiem do ciasta. Metodą tą wydawano m.in. *U Progu*. Najczęściej obecnie stosowaną „maszyną drukarską” jest elektryczny powielacz woskówkowy. Na nim przeważnie powielane są wydawnictwa w Niezależnej Oficynie Wydawniczej (NOW'a), m.in. *Komunikaty* KSS „KOR”-u, *Biuletyn Informacyjny*, periodyki literackie *Puls* i *Zapis* oraz już ponad 20 innych, nieperiodycznych, pozycji, które ujrzały światło dzienne dzięki NOW'ej. Jest to znaczny postęp w stosunku do powielaczy spirytusowych, ale i tu bywają kłopoty z odcyfrowaniem tekstu, prawdopodobnie na skutek złej farby (może zbyt rozcieńczonej, by było jej więcej), nieodpowiedniego papieru itp. W każdym razie ilość kopii z jednej matrycy woskówkowej jest w praktyce nieograniczona, a dzięki napędowi elektrycznemu produkcja idzie znacznie szybciej, co pozwala na duży skok jeśli chodzi o nakłady.

Dwie publikacje NOW'ej wydano niesłuchanie starannie na offsecie: „Niereczywistość” Kazimierza Brandysa i „Kompleks Polski” Tadeusza Konwickiego. Są to prawdziwe książki z okładką i nawet ładną graficznie obwolutą. Druk jest przejrzysty, zupełnie jak z „normalnej” drukarni. Jedyna różnica to to, że czcionka jest kroju używanego w maszynach do pisania, i że marginesy z prawej strony nie są wyrównane w linii pionowej. Nakład między trzy a pięć tysięcy egzemplarzy. Wieść niesie, że Mirosław Chojecki, członek KOR'u i organizator NOW'ej wręczył Tadeuszowi Konwickiemu pierwszy egzemplarz „Kompleksu Polskiego” w Wigilię Bożego Narodzenia 1977 roku. Konwicki miał łzy w oczach i w ogóle wzruszył się bardzo. Zaraz po Świętach pobiegł do dyrektora wydawnictwa „Czytelnik”, które dotychczas wydawało jego książki, krzyżąc: „Widzi Pan! Widzi Pan!”. Dyrektor poczerwieniał i powiedział tylko: „To nie mogło być u nas wydane! To na Zachodzie... W kraju nie ma takiego papieru”.

Niektóre pisma odbijane są w części lub w całości na kserografie. Na przykład większość numerów *Opinii*, które dotarły z kraju na Zachód, były kserografowane. Ostatni numer *Gospodarza* (nr 5), pisma związanego z ROPC'IO, przeznaczonego dla chłopów, jest pierwszym pismem drukowanym normalną czcionką drukarską. Jakość druku nie jest najlepsza, prawdopodobnie odbiega jeszcze daleko od jakości wydawnictw za czasów okupacji, ale użycie czcionki jest znacznym postępem w stosunku do powielaczy. Większość wydawnictw używa standardowego papieru formatu A 4, czasem składa się go na pół, zszywając w środku. Objętość jest bardzo różna: od 4 stron *Robotnika*, poprzez 20-30 stron *Biuletynu Informacyjnego* i *Komunikatów*, 50-60 stron *Opinii* i *Głosu* do 350 stron *Zapisu*. Pewna ilość egzemplarzy niektórych czasopism wychodzi w pięknej „bibliofilskiej” szacie. Na przykład *Puls* wydaje po ok. 50 sztuk numeru w twardej, płóciennej oprawie introligatorskiej, co wygląda trochę jak praca doktorska lub magisterska, z wklejonymi wkładkami ilustracyjnymi i zdjęciami, poprzedzianymi bibułą.

J. S.

WŁADZE ODDZIAŁÓW ZWIĄZKU LITERATÓW W POLSCE

BYDGOSZCZ: prezes — Jan Górec-Rosiński, wiceprezes — Krzysztof Nowicki, sekretarz — Alfred Kowalkowski, skarbnik — Jerzy Sulima-Kamiński, członek Zarządu — Jerzy Lesław Ordan. Siedziba Zarządu: 85-109 Bydgoszcz, Grodzka 7.

GDANSK: prezes — Andrzej Twerdochlib, wiceprezes — Stanisław Hebanowski, sekretarz — Bolesław Fac, skarbnik — Stanisław Załuski, członek Zarządu — Andrzej Zurowski. Siedziba Zarządu — 80-838 Gdańsk, Mariacka 50/52.

KATOWICE: prezes — Wilhelm Szewczyk, wiceprezes — Witold Nawrocki, sekretarz — Tadeusz Kijonka, skarbnik — Renata Zwoźniak, członkowie Zarządu — Feliks Netz i Czesław Slezak. Siedziba Zarządu: 40-010 Katowice, Warszawska 37.

KOSZALIN: prezes — Zbigniew Bieńkowski, wiceprezes — Czesław Kuriata, sekretarz — Józef Narkowicz, skarbnik — Stanisław Misakowski, członkowie Zarządu — Piotr Bednarski i Stanisław Wasyl. Siedziba Zarządu: 75-614 Koszalin, Zwycięstwa 126.

KRAKÓW: prezes — Jan Pieszczachowicz, wiceprezesi — Leszek Elektorowicz, Kornel Filipowicz, Ryszard Kłysz, sekretarz — Kazimierz Traciewicz, zastępca sekretarza — Marta Wyka, skarbnik — Wiesław P. Szymański, członkowie Zarządu — Stanisław Balbus, Tadeusz Chrzanowski, Jerzy Kwiatkowski, Maria Leńniewska, Ewa Lipska, Joanna Salamon, Marek Skwarnicki, Jan Józef Szczepański. Siedziba Zarządu: 31-123 Kraków, Krupnicza 22.

LUBLIN: prezes — Henryk Pająk, wiceprezes — Maria Bechczyc-Rudnicka, sekretarz — Zbigniew Strzałkowski, skarbnik — Tadeusz Jasiński, członek Zarządu — Józef W. Zięba. Siedziba Zarządu: 20-010 Lublin, Graniczna 9.

ŁÓDŹ: prezes — Jerzy Wawrzak, wiceprezesi — Włodzimierz Krzemieński, Władysław Orłowski, sekretarz — Jerzy Urbankiewicz, skarbnik — Honorata Chrościelewska, członkowie Zarządu — Andrzej Makowiecki, Bogdan Pasternak, Jerzy Rzymowski, Ziemowit Skibiński. Siedziba Zarządu: 90-444 Łódź, Mickiewicza 8.

OLSZTYN: prezes — Leonard Turkowski, wiceprezes — Władysław Ogrodziński, sekretarz — Klemens Oleksik, skarbnik — Maryna Okęcka-Bromkova, członkowie Zarządu — Erwin Kruk, Zbigniew Nienacki, Józef Jacek Rojek. Siedziba Zarządu: 10-549 Olsztyn, Mickiewicza 2.

OPOLE: prezes — Jan Goczoł, wiceprezes — Zbyszko Bednorz, sekretarz — Harry Duda, skarbnik — Stefan Chmielnicki, członek Zarządu — Bogusław Żurkowski. Siedziba Zarządu: 45-015 Opole, Rynek 4/8.

POZNAŃ: prezes — Czesław Chruszczewski, wiceprezesi — Egon Nagawski, Janusz Przybysz, sekretarz — Marian Orłoś, skarbnik — Andrzej Zeyland, członkowie Zarządu — Nikos Chadzinikolau, Bogusława Latawiec-Balcerzan, Czesław Michniak, Józef Ratajczak. Siedziba Zarządu: 61-705 Poznań, Noskowskiego 24.

RZESZÓW: prezes — Zbigniew Domino, wiceprezes — Jan Łysakowski, sekretarz — Zbigniew Krempf, skarbnik — Bogdan Chorażuk. Siedziba Zarządu: 35-002 Rzeszów, Okrzei 7.

TORUŃ: prezes — Stefan Melkowski, sekretarz — Zdzisław Wróbel, skarbnik — Maria Kalota-Szymańska. Siedziba Zarządu: 87-000 Toruń, Przedzamcze 11/15.

SZCZECIN: prezes — Jerzy Pachlowski, wiceprezes — Ryszard Dżaman, sekretarz — Marian Kowalski, skarbnik — Zdzisław Krupa, członkowie Zarządu — Eugeniusz Daszkowski, Stanisław Wit Wiliński. Siedziba Zarządu: 71-317 Szczecin, Łukasiewicza 8.

WARSZAWA: prezes — Wanda Żółkiewska, wiceprezesi — Jarosław Abramow, Józef Hen, Aleksander Małachowski, Włodzimierz Sokorski, sekretarze — Kazimierz Dębicki, Camilla Mondral, skarbnik — Andrzej Jarecki, członkowie Zarządu — Tadeusz Drewnowski, Krzysztof Karasek, Marian Pilot. Siedziba Zarządu: 00-079 Warszawa, Krakowskie Przedmieście 87/89.

WROCLAW: prezes — Henryk Worcell, wiceprezesi — Krzysztof Coriolan, Stanisław Srokowski, sekretarz — Ernest Dyczek, skarbnik — Henryk Wolniak, członkowie Zarządu — Tadeusz Lutogiewski, Franciszek Sikorski. Siedziba Zarządu: 50-101 Wrocław, Ratusz 26, pokój 28.

ZIELONA GÓRA: prezes — Janusz Koniusz, sekretarz — Tadeusz Kajan, skarbnik — Henryk Szyłkin, członek Zarządu — Zbigniew Ryndak. Siedziba Zarządu: 65-066 Zielona Góra, Żeromskiego 2.

ZAPROSZENIE DO SUBSKRYBCJI

STANISŁAW VINCENZ

BARWINKOWY WIANEK

Czwarty i ostatni tom eposu huculskiego
NA WYSOKIEJ POŁONINIE

Tom ukaże się w pierwszej połowie roku 1979. Stron ca 400.
Cena £ 6.00 lub \$ 15.00.

Wszyscy subskrybenci, którzy do dnia 1 lutego 1979 wpłacą co najmniej £ 12.00 lub \$ 30.00 otrzymają egzemplarz numerowany książki, a ponadto nazwiska ich będą ogłoszone w prasie oraz w liście donatorów na końcu tomu.

Zamówienia prosimy kierować do:

Poets' and Painters' Press
146 Bridge Arch, Sutton Walk,
London, SE1 8XU, Wielka Brytania.

Sąsiedzi

List do Redaktora «Kultury»

Szanowny Panie Giedroyc,

Przyjechawszy na Zachód dowiedziałem się, że Pana miesięcznik śledził z życzliwą uwagą moje książki i mój los. Szczegrze za to dziękuję Panu i Pana współpracownikom. I korzystam ze sposobności, by Panu po krótkce opowiedzieć o moich osobistych stosunkach z Polską. Chcę to zrobić dlatego tylko, że te stosunki wydają mi się bardzo charakterystyczne z punktu widzenia związków kultury polskiej z rosyjską. Polska odegrała w moim życiu rolę niezmiernie ważną. Przedstawiciele filozofii polskiej (szczególnie Jan Łukasiewicz i Kazimierz Ajdukiewicz) mieli na mnie wpływ decydujący przy wyborze kierunku moich studiów logicznych. Moje prace naukowe zaczęto najpierw drukować w Polsce. W Polsce, przed innymi krajami, przełożono moją pierwszą książkę o logice. Polscy filozofowie wspierali mnie systematycznie w okresie dwudziestu przeszło lat mojej nie łatwej pracy w dziedzinie filozofii sowieckiej: drukowali moje artykuły i recenzje z moich książek, zapraszali mnie na zjazdy naukowe, odwiedzali mnie podczas swoich pobytów w Moskwie itd. Udało im się wydać przekład polski mojej *Logiki nauki* już po ukazaniu się *Przepastnych wyżyn*. Przygotowali przekład mojej *Fizyki logicznej*, i tylko bezpośredni nacisk władz sowieckich uniemożliwił jej wydanie w Polsce. Moje pierwsze próby literackie także ujrzały światło dzienne w Polsce, w *Tygodniku Powszechnym*. I to one weszły później do *Przepastnych wyżyn*. Nawet w latach 1977-78, kiedy obcowanie ze mną nie było pozbawione niebezpieczeństw, znaleźli się Polacy pomagający mnie i mojej rodzinie moralnie i materialnie. Jeżeli to możliwe, Panie Redak-

torze, proszę na łamach *Kultury* przekazać tym ludziom w moim imieniu wyrazy głębokiej wdzięczności.

Zdaję sobie sprawę że to co powiem nie zawiera niczego oryginalnego i nowego, sądzą jednak że nie będzie zbędne podkreślenie następującej rzeczy.

Chociaż kultura polska przenikała w czasach powojennych do ZSSR w stosunkowo małych dawkach, wywierała ogromny wpływ na bardzo wielu sowieckich ludzi, w tej liczbie na mnie. Mam na myśli polski film, polską literaturę, polską socjologię i logikę, polską plastykę itd. Znam wiele osób w Moskwie, które uważnie śledziły życie polskie i reagowały na jego przejawy nie mniej ostro, niż na własne życie moskiewskie. Cieszył nas każdy akt oporu Polaków przeciw uciskowi reżymu; smucił nas każdy pogrom urządzany przez władze. Dla wielu z nas linia frontu w walce o wolność jednostki i twórczości długo przechodziła przez Polskę. Trzeba za fakt uznać to, że rosyjski ruch dysydencki bardzo wiele zawdzięcza oporowi polskiemu. Ja sam dotychczas choruję na Polskę i mam nadzieję, że Polacy potrafią obronić swoją ludzką godność, stworzą przykład do naśladowania dla moich rodaków.

Aleksander ZINOWIEW

9 września 1978

Dziesięciolecie «bratniej pomocy»

Prażanie wspominają czasy prezydenta A. Novotnego z końca lat 50-tych i aż do czasów „Praskiej Wiosny” roku 1967/68 jako złote czasy. W tych latach żyło się bowiem w Czechosłowacji względnie spokojnie i dostatnio. Ucisk polityczny zelżał pod wpływem odwilży, zapoczątkowanej przez N. Chruszczowa po śmierci Stalina.

Na ogół ludzie w Czechosłowacji są rozsądni i ostrożni, wolą nie wypływać na niepewne wody, zwłaszcza mając w świeżej pamięci wydarzenia w Polsce i na Węgrzech w 50-tych latach. Odwilż jednak zrobiła swoje. Czesi i Słowacy interesowali się żywo wydarzeniami w bratnich krajach, wykupywali polską prasę w Ośrodku Kultury Polskiej w Pradze, łowili każde słowo z Polski i zaczęli coraz głośniejszy krytykować niepraworządność i nadużycia władzy w swoim kraju. Kierownictwo partyjne i rządowe zda-

wało sobie sprawę z nastrojów ludności, a zresztą i samo zaczęło mięknąć, toteż po mału zaczęto popuszczać cugli. Ucisk polityczny zelżał, zaczęły się ciche rehabilitacje i amnestie więźniów politycznych.

A więc bez kataklizmów i większych wstrząsów kraj posuwał się nareszcie ku pewnej stabilizacji. Były wprowadzone różne niedociągnięcia i usterki, budownictwo i inne gałęzie rozwijały się słabo, ale rynek był dobrze zaopatrzone w towary konsumpcyjne i wszystkie sektory państwowe funkcjonowały. Lud mógł spokojnie żyć i korzystać z małej wprowadzonej stabilizacji, ale większej niż w innych krajach demokracji ludowej.

Pojęcia „lud” i „naród” różnią się nieco między sobą i mają trochę odrębny wydźwięk. „Lud” jest bardziej przyziemny: chce dobrze żyć, dobrze jeść i korzystać ze wszystkich dóbr materialnych. Sprawy duchowe są domeną „narodu”, który wprowadzie również chce korzystać z dóbr materialnych, ale chce być przede wszystkim wolnym i sam stanowić o porządku i ustroju w swoim kraju, toteż usiłuje uwolnić się spod supremacji innego państwa, a zwłaszcza tak źle zorganizowanego wewnątrz jak Związek Sowiecki. Następuje więc moment dziejowy, kiedy te dwa pojęcia — „lud” i „naród” — stają się jednym pojęciem, czyli pokrywają się wzajemnie. Taki moment nastąpił w Czechosłowacji w 1967 roku, a spontaniczna eksplozja wybuchła w 1968 roku. Nie wiadomo jakby wypadki te, zapoczątkowane „Praską Wiosną”, rozwinęły się w tym kraju, gdyby nie zostały brutalnie przecięte 21 sierpnia 1968 roku.

Po wielkiej czystce na wszystkich szczeblach, poczynając od aparatu partyjno-rządowego, mądry G. Husak uchwycił władzę przy poparciu Związku Sowieckiego i rozpoczął wraz z innymi, starannie przez siebie dobranymi kolaborantami, proces normalizacji i stabilizacji.

G. Husak, bojkotując uchwały ostatniego XIV-go Zjazdu KPCz, zwołanego jeszcze przez A. Dubczeka, stał się mężem opatrnościowym i dla Związku Sowieckiego, ponieważ pomógł mu w podporządkowaniu burzących się wciąż jeszcze Czechów i Słowaków, i dla samego kraju, ponieważ zdobył dużą pożyczkę od ZSSR, wprowadził kraj z chaosu i zamroził podnoszące się wciąż ceny.

Lud wprowadzie wciąż jeszcze pomrukiwał na intruzów i prywatnie czynił wstręty obywatelom radzieckim zjeżdżającym się do Czechosłowacji na zakupy pod pozorem turystyki, ale w kraju oficjalnie zapanowała nie tylko zgoda, ale i „wielka przyjaźń po wieczne czasy z ZSSR”. A więc naród został spacyfikowany.

Po całym kraju powiewają znowu czerwone flagi, wszędzie zostały rozwieszone emblematy i transparenty radzieckie. Przy każdej okazji wszyscy obywatele obowiązani są wywieszać na swoich domach sowieckie i czechosłowackie chorągiewki, a na oknach nalepiać propagandowe plakaty. Na wielką skalę został rozbudowany klub Przyjaźni Czechosłowacko-Sowieckiej przy ul. Rycerskiej, w centrum miasta Pragi i we wszystkich miastach rozwinięto filie towarzystwa. Urządza się tam różne imprezy

i wystawy propagandowe, wyświetla filmy radzieckie, które zresztą ludność bojkotuje i sale kinowe świecą pustkami.

Bojkotuje się zresztą nie tylko radzieckie filmy, ale wszystko co pochodzi od okupanta i jego namiestników — władz dzisiejszej Czechosłowacji. Ludzie przestają porządnie i uczciwie pracować. Dyscyplina pracy spadła na niebywale niski poziom. Ludzie szukają lekkiej pracy zwłaszcza urzędniczej, gdzie mogliby nic nie robić, lub robić najmniej. Do konkretnej lub ciężkiej pracy brakuje coraz bardziej ludzi. Przy tym braku rąk do pracy aparat biurokratyczno-państwowy rozrasta się w proporcjach gigantycznych, na większą nawet skalę niż to przewidział w swojej teorii Parkinson. Całe rzesze nierobów objają się po różnych urzędach. A i w sklepach lub warsztatach pracy personel urzędu sobie wolne dni pod różnymi pozorami, a ze szkodą łatwo psujących się towarów. Nikogo zresztą to nie obchodzi, bo swoją pensję pracownik lub kierownik sklepu i tak otrzyma.

Spada więc poczucie odpowiedzialności za losy kraju, ponieważ jego los został już przesądzony przez obcych, wbrew wrażliwej woli narodu. Obywatel staje się cyniczny, zamknięty w sobie i dwulicowy. Przestaje przejmować się szerszym się w kraju bałaganem i pilnuje tylko swego *piseczku* — czyli podwórka. Nie przejmuje się nawet tym, że w razie potrzeby jakichś reperacji w domu musi wynająć prywatnie robotnika, robiącego na lewo w czasie godzin pracy na etacie państwowym i z materiałów państwowych, bo wie że nie doczeka się pomocy z biura administracji miejskiej, któremu podlega jego dom. Idąc do lekarza lub dentysty obywatel niesie mu „dary”, aczkolwiek leczenie jest bezpłatne. Już teraz pudełko czekoladek lub butelka koniaku nie są dobrze widziane. Bardziej przydatna jest koperta z pieniędzmi lub bonami Tuzexu (polski Pewex).

Oczywiście, że nie wszyscy pracownicy służby zdrowia lub innych biorą łapówki, ale niestety plaga ta szerzy się coraz bardziej, bo sama konstrukcja systemu zmusza ludzi do tego. Tam gdzie jest za mało miejsc lub wąskie gardło trzeba szukać protekcji lub dawać łapówki, żeby uzyskać to, czego się chce. Ostatnio — zwłaszcza w tym roku — specjalnie zaostrzono przepisy wyjazdowe, szczególnie do krajów zachodnich. Obywatel godzinami stoi w różnych kolejkach: po zezwolenie, po wizy, po bilety itp., a czasami, nękanie piętrzącymi się trudnościami, rezygnuje z wyjazdu.

Oczywiście restrykcje te nie dotyczą ludzi w jakikolwiek sposób związanych z władzami, zwłaszcza bezpieczeństwa, lub osób wyjeżdżających służbowo — tym załatwia się wszystko od ręki.

Trudności, restrykcje, kolejki itp. dotyczą przede wszystkim zwykłego, szarego obywatela, który nie miesza się do żadnej polityki, biega po sklepach w poszukiwaniu różnych znikających lub rzadko pojawiających się towarów, wystaje w kolejkach.

Ludzie uprzywilejowani, związani z aparatem państwowym,

mają łatwiejsze życie: różne przywileje i premie, toteż w narodzie rozwija się oportunizm i karierowiczostwo. „Znikąd nie widać pomocy”, „na nas się wszyscy wykaszlali” — mówi przeciętny obywatel i stopniowo pozbywa się skrupułów, idąc na częściową lub pełną kolaborację. Tylko cienka warstwa ludzi próbuje walczyć i domaga się respektowania praw ludzkich i obywatelskich, ale od razu bywa taka inicjatywa stłamszona, opozycjoniści surowo ukarani, a współobywatele uważają ich za nierozumnych donkiszotów. Ludzie jakby zdrętwieli, zaciśnieli zęby i robią, co im się każe, a władze stają się coraz to śmielsze i bardziej wyzywające.

Dziesięć lat władze dzisiejszej Czechosłowacji eufemistycznie unikały szerszego fetowania rocznicy „powtórnego oswobodzenia kraju” w 1968 roku przez armię sowiecką. Teraz jednak, kiedy naród Czechosłowacji mocno tkwi w karchach reżymu, na polecenie Moskwy postanowiono szerzej uczcić 10-lecie „bratniej pomocy”.

Czy nie przebrała się jednak miarka cierpliwości obywateli? Zwłaszcza młodzież już traci cierpliwość i kipi wewnątrz. Czy przy tej rocznicy nie pokryją się znowu w jedną całość pojęcia „lud” i „naród”?

Relacja z Pragi

W centrali czeskiej tajnej policji STB zainstalowano wielki computer zakupiony wiosną br. we Francji, w którym gromadzone są dane dotyczące osób „podejrzanych”, ich kontaktów, zwłaszcza z dziennikarzami zachodnimi, oraz fotokopie ich korespondencji zagranicznej. Do nadzorowania czołowych dysydentów wprowadzono nowoczesną technikę. I tak np. przed domem Jaroslava Sabata, rzecznika „Karty 77”, zainstalowano kamery telewizyjne. Wokół domu Vaclava Havela policja zmontowała nowe aparaty podsłuchowe. Havel, ostrzeżony anonimowym listem jakiegoś sympatyka — może nawet z bezpieki! wykopał kabel elektryczny w ogrodzie, pociął go na kawałki i rozstał przyjacielom na pamiętkę.

Także Javel Kohout żyje w swym wiejskim domu w Sázawa pod ścisłą obserwacją. Kontrolowane są wszystkie idące do niego osoby, dziennikarzy zachodni odsyłani są do Pragi. Tajniacy ukryci w zbożu, niedaleko domu Kohouta, nie pozwolili chłopom na zbiory, gdyż utrudniłoby to im akcję (właścicielom zbóż powiedziano, że będą mogli przystąpić do zbiorów w połowie września).

W maju bież. roku Husak reaktywował „piąty wydział” urzędu bezpieczeństwa, rozwiązany po inwazji Czechosłowacji jako niepewny. W istocie oficerowie tego wydziału przestrzegali czołowych polityków Praskiej Wiosny przed groźącym im aresztowaniem, niektórych ukrywali, a wielu przetrzucili przez granicę. Latem 1969 oficerowie ci zostali aresztowani przez Rosjan

i internowani w specjalnym obozie karnym niedaleko Drezna; większość z nich trzymana jest tam do dziś.

Do zadań nowej „piątki”, która ma swą siedzibę w dawnym klasztorze kapucynów na Hradczynie, należy nie tylko ochrona wyższych funkcjonariuszy partyjnych, lecz także kontrola dostarczanych im artykułów spożywczych, które pochodzą ze specjalnego magazynu w Holeszowicach. Kontrolują oni też posiłki, jakie dla uczestników posiedzeń KC przygotowuje kuchnia hotelu „Praha”.

„Piątka” posiada specjalną sieć telefoniczną, z której nie może korzystać ani wojsko ani żaden wydział bezpieczeństwa. Centrala tej sieci telefonicznej znajduje się w Pałacu Czernina, siedzibie MSZ, jest jednak odgródzona murem od reszty pomieszczeń MSZ. Jeszcze bardziej ekskluzywnie są tzw. szare telefony, które posiadają jedynie członkowie prezydium partii oraz ambasada sowiecka.

Specjaliści z „piątki” ubezpieczają też przywódców partyjnych. Np. Husakowi w drodze z domu do biura towarzyszy codziennie 5 samochodów pancernych „piątki”, które w bocznej karoserii mają zainstalowane kamery telewizyjne.

Strach Husaka przed społeczeństwem ma charakter zgoła patologiczny i doprowadził m.in. do śmierci jego żony w październiku 1977. Będąc na urlopie w słowackim Bardejowie, Viera Husak złamała obojętność. Z powodu surowych przepisów bezpieczeństwa nie wolno jednak było wezwać miejscowego lekarza. Mimo silnej mgły helikopter straży górskiej próbował przewieźć ją do szpitala dla prominentów w Bratysławie. Przy lądowaniu doszło do katastrofy, w której zginęła Viera Husak oraz pilot samolotu. Przerażony Husak, który podejrzewał sabotaż, odmówił lotu specjalnym samolotem do Bratysławy i zdecydował się na jazdę pociągiem. Pod Kutną Horą pękł kocioł w lokomotywie, jednakże zastępcza lokomotywa nie mogła wyjechać z Brna, gdyż ruch kolejowy na całej trasie był ze względów bezpieczeństwa wstrzymany. W konsekwencji Husak dotarł do Bratysławy samochodem, w osiem godzin po śmierci żony.

Zupełnie fantastycznie brzmi historia „detronizacji” Husaka, co miało miejsce w grudniu ub. roku. Pod zmasowanym naciskiem całego biura politycznego Husak ustąpił ze swego stanowiska i przez trzy dni pozostawał „pod opieką” w domu. Dopiero na interwencję Breżniewa został przywrócony na swoje stanowisko, od tego czasu jednak jego faktyczna władza uległa ogromnemu ograniczeniu. W Pradze typuje się na następcę Husaka jego głównego przeciwnika, którym jest Jaroslav Hejna, szef czeskiej partii w Czechach.

W sowieckiej prasie

Sezon polowań w Związku Sowieckim przedłuża się: fala procesów, która rozpoczęła się w lipcu, ogarnęła i sierpień i wrzesień. W sierpniu został skazany na 5 lat zsyłki Aleksandr Podrabinek, który opracował książkę poświęconą ostatnim wypadkom wykorzystywania zakładów psychiatrycznych do walki

z dysydentami. We wrześniu sądzono amerykańskiego biznesmena Francis Crawforda — ale o nim później. Głównym oskarżonym we wrześniu były — Chiny. Sądzono je publicznie, w prasie, radio i telewizji. O procesach dysydentów, oprócz artykułu w *Prawdzie*, można było przeczytać jeszcze dwa słowa w notatce w *Literaturnej Gazecie* (nr 30), zaczynającej się od słów: „Jak wiadomo, w naszym kraju miały niedawno miejsce procesy sądowe niektórych obywateli sowieckich”. Dalej stwierdzano, że przestępców sądzi się wszędzie, np. we Francji, gdzie właśnie w lipcu sądzono autonomistów bretońskich (autor notatki — ma się rozumieć — nie podał, że skazano ich za akty terrorystyczne) — i nie ma o czym mówić. O Chinach pisano codziennie: podróż Hua Kuo-fenga po Bałkanach i Iranie obserwowano z trwożną uwagą. Z tym większą uwagą i z tym większą trwogą, że 12 sierpnia Związek Sowiecki poniósł ciężką klęskę dyplomatyczną: Chiny i Japonia podpisały — jak to określiła *Prawda* — „tak zwaną umowę o pokoju i przyjaźni”. Artykuł B. Oriechowa w *Prawdzie* (18. 8. 78) zatytułowany jest „Rzykowny krok”. Dyplomacja japońska — zauważa autor artykułu — „przez długi czas nie poddawała się próbom przykucia Japonii do antysowieckiego rydwanu”. Sytuacja zmieniła się zasadniczo „po wizycie Brzezińskiego w Pekinie, a potem w Tokio”. Wyjaśniwszy jak to się stało, że jednak pozwoliła się „przykuć” — zmusił ją do tego Brzeziński! — B. Oriechow oświadcza: „Nasz kraj nie miesza się w sprawy wewnętrzne innych krajów. Podobne wtrącanie się jest obce zasadom naszej polityki...”. Jednakże... „Ale — jak pisze B. Oriechow — treść podpisanego w Pekinie układu chińsko-japońskiego wyraźnie wykracza poza ramy dwustronnych stosunków. Oto dlaczego Związek Sowiecki nie może pozostać obojętny wobec tego wydarzenia”. I Oriechow grozi pięścią: „Jego suwerennym prawem jest przedsięwziąć w powstałej sytuacji takie środki, jakie uzna za niezbędne dla obrony swoich interesów”.

I natychmiast po podpisaniu i ratyfikowaniu tego układu Hua Kuo-feng rozpoczął swoją podróż. W codziennych komunikatach TASS'a powtarza się jedno i to samo (z powoływaniem się na zachodnią prasę): prasa zachodnia „kładzie specjalny nacisk na usiłowania Chin wciśnięcia się na Bałkany” (21. 8. 78); podróż do Macedonii została oceniona przez korespondentów „jako stawka na zaostrenie stosunków między socjalistycznymi krajami na Bałkanach” (24. 8. 78) itd. Nie ograniczając się do komunikatów TASS'a, *Prawda* ogłosiła własny komentarz, podpisany „Sprawozdawca” i zatytułowany „Krótkowzroczna i niebezpieczna polityka”. „Sprawozdawca” demaskuje „prawdziwe plany chińskich liderów”: „jest to próba zmontowania antysowieckiego aliansu, poderwania jedności państw socjalistycznych, storpedowania osiągniętego poziomu odprężenia w Europie...” (24. 8. 78).

Artykuł „Sprawozdawcy” też nie był ostatnim słowem. Zabrzmiała jak wyrok wiadomość o posiedzeniu Politbiura w sprawie sytuacji międzynarodowej, ogłoszona 27. 8. br. Jak wiadomo,

publiczne ogłaszanie decyzji Politbiura ma miejsce jedynie w rzadkich wypadkach.

Politbiuro KC KPZS sprecyzowało swój stosunek do problemów międzynarodowych po „przyjacielskim spotkaniu”, które miało miejsce na Krymie między Breżniewem a generalnymi sekretarzami kompartii: Husakiem, Honeckerem, Kadarem, Gierkiem, Ceausescu, Ziwickowem i Cedenbałem. Spotkania te miały miejsce w okresie lipca-sierpnia: Breżniew, odpoczywający na Krymie, przyjmował wasali. Raz w tygodniu na pierwszej stronie *Prawdy*, na dole, pojawiała się ta sama fotografia, zrobiona przez tego samego fotografa W. Mussaelian: stół — z lewej strony Breżniew, razem z nim nowy faworyt, sekretarz KC i kandydat na członka Politbiura, K. Czernienko, jeszcze ktoś tam, z prawa — któryś z wasali. Gdyby nie podpisy, to prawie nie sposób zorientować się kto zacz do tego stopnia wszyscy są do siebie podobni. Nad fotografią wielkimi literami: „Przyjacielskie spotkanie” — a pod tytułem tekst oświadczenia. Z jednym wyjątkiem teksty były jednakowe, kończące się słowami: „Rozmowa odbyła się w przyjacielskiej, serdecznej atmosferze i odznaczała się pełną jedynomyślnością poglądów we wszystkich omawianych sprawach”. W jednym tylko wypadku powiedziano: „Spotkanie odbyło się w szczerzej i przyjacielskiej atmosferze” — to podsumowanie spotkania z Ceausescu.

Oświadczenie Politbiura, bez wzmianki o jakiegokolwiek różnicy zdań, przedstawia sowiecką politykę jako politykę wszystkich krymskich gości, przy czym „w najbliższej i dalszej perspektywie”. Napomknienie o NATO, o „rekordowym budżecie wojskowym USA”, padło mimochodem, jako o czymś mało ważnym. Ważne jest jedno: „Politbiuro KC KPZS podkreśla poważne niebezpieczeństwo, jakie dla sprawy pokoju i socjalizmu stanowi działalność obecnych przywódców Chin”.

Z osądu polityki chińskiej przebijają gorzki żal, że „obecne kierownictwo”, „pekińscy liderzy” zrezygnowali z polityki izolacji, którą prowadzono w Chinach w latach tzw. rewolucji kulturalnej. Można więc przypuszczać, że przywódcy moskiewscy mieli nadzieję, że po śmierci Mao w Pekinie utrzymają się u władzy najbardziej radykalni jego zwolennicy. „Różne zmiany personalne w chińskim kierownictwie” — jak wyraża się *Prawda* (27. 8. 78) — okazały się widocznie dla Moskwy przykrą niespodzianką.

„Sprawa” amerykańskiego przemysłowca Crawforda jest jednym z najciekawszych spektakli, wystawionych w Moskwie w ostatnich latach (można przypuszczać, że sam Crawford, aresztowany na ulicy, przesiedziawszy dwa tygodnie w więzieniu lefortowskim i w ciągu szeregu miesięcy regularnie chodzący do KGB na przesłuchania, jest o tym innego zdania). Pewnego pięknego (!) dnia wyciągają z samochodu czcigodnego przemysłowca, przedstawiciela jak najbardziej szacownej firmy handlującej maszynami rolniczymi, i oskarżają go o fantastyczne przestępstwo: nielegalną wymianę dolarów na 20 tysięcy rubli.

Dziwnym zbiegiem okoliczności aresztowano go na drugi dzień

po zatrzymaniu w USA dwóch agentów sowieckich, schwytych na gorącym uczynku.

Na sądzie w Moskwie, w obecności korespondentów zagranicznych, Crawford łatwo udowodnił całkowitą kłamliwość oskarżenia. Ma się rozumieć dla sądu nie miało to żadnego znaczenia i Amerykanin został skazany na 5 lat łagru, no ale — jak sformułował sędzia — ponieważ Crawford wychowywał się w koszmarnych warunkach kapitalistycznych i maszyny rolnicze Harvester International, które sprzedaje, są potrzebne Związkowi Sowieckiemu, wyrok jest warunkowy. Nieszczęsny biznesmen na drugi dzień opuścił gościnną ojczyznę socjalizmu.

Spektakl ten udał się reżyserom znakomicie. Już dawno w sowieckim wymiarze sprawiedliwości zaczęto szeroko używać określenia: „dobrać przestępcę”. Na przykład, popełnione zostaje gdzieś ciężkie przestępstwo, powiedzmy gwałt czy morderstwo, wywołujące oburzenie ludności. Organy śledcze nie mogą znaleźć sprawy. Wtedy daje im się polecenie: dobrać przestępcę. Aresztuje się więc człowieka, który powinien był popełnić przestępstwo: źle pracuje, niezdyscyplinowany, nawet (co było sygnalizowane) pozwala sobie czasami na krytyczne uwagi pod adresem władzy. Dobiera się według wieku — lepiej młodych: skazanie daje większy efekt wychowawczy; no i według narodowości.

A potem „przestępcę” skazuje się na 15 lat lub na karę śmierci. Wiele opowiadań o tym można znaleźć i w prasie sowieckiej; zawsze są to opowiadania o naprawionym błędzie, o rehabilitacji. Łatwo sobie wyobrazić ilu jest niezrehabilitowanych. Francis Crawford został dobrany bardzo dobrze. Tylko firma, w której pracował, nieśmiało próbowała go bronić; inne firmy amerykańskie w Moskwie (i w USA) nie tylko nie wystąpiły w obronie kolegi, ale zaczęły przechwytywać kontrakty Harvester International.

Wielokrotnie już pisałem, że najwierniejszą podporą władzy sowieckiej jest kapitalistyczna Ameryka. Nigdy nie wystąpiło to tak jaskrawo, jak w czasie letnich miesięcy 1978 roku. Aresztowanie Crawforda odbyło się jakby na zamówienie amerykańskich przemysłowców. Był to dla nich doskonały argument w walce z nieśmiałościami próbami Cartera zastosowania wobec Związku Sowieckiego sankcji ekonomicznych. Ledwo prezydent USA założył veto na sprzedaż Związkowi Sowieckiemu komputera i oświadczył o możliwości zakazu sprzedaży sprzętu naftowego, a już do Moskwy pojechał najlepszy przyjaciel Breżniewa, amerykański milioner, kawaler orderu Rewolucji Październikowej, towarzysz Armand Hammer. 25 sierpnia był i na Krymie, a wiadomość o przyjęciu przez Breżniewa tego przyjaciela *Prawda* zamieściła na tym samym miejscu, na którym zwykle ogłasza się o „przyjacielskich spotkaniach” z komunistycznymi przywódcami. Niedługo przed wizytą milionera Hammera w ojczyźnie proletariatu korespondent *Litieraturnoj Gaziety* opowiedział o swoich z nim spotkaniach, jak również o spotkaniach z innymi towarzyszami milionerami w USA. Korespondencje (nry 31, 32

i 33) wyglądają jak *who is who* przyjaciół i obrońców interesów sowieckich w USA, przy czym korespondent wpada w zachwyty ilekroć pisze o możliwościach przyjaciół: „Aktywy spółki — 3,6 miliardów dolarów” — chodzi tu o Coca-Cola, która w czasie Olimpiady w Moskwie będzie pić wszystkich spragnionych, a już od przyszłego roku znacznie produkować w ZSSR oranżadę „Fanta”; „aktywy 82 miliardów dolarów” — to o Bank of America, który „ma ściśle powiązania z amerykańskimi organizacjami”; „aktywy powyżej 4 miliardów dolarów, a obrót sprzedaży w zeszłym roku ponad 6 miliardów” — to o towarzyszu Armandzie Hammerze, który poinformował korespondenta, że „był bardzo wzruszony tak wysoką nagrodą (orderem Rewolucji Październikowej, „który często nadają zachodnim komunistom, a którego nigdy przedtem nie otrzymał zagraniczny biznesmen”) i listem Leonida Iljicza Breżniewa. To bardzo wybitny przywódca, a jednocześnie prosty, ciepły człowiek — człowiek serca...”.

Tak o Breżniewie mówi — moim zdaniem — jeszcze tylko generalny sekretarz bułgarskiej kompartii, towarzysz Żiwkow...

Ojciec Hammera, jeden z założycieli amerykańskiej partii komunistycznej, myślał prawdopodobnie, że pomoże Republice Sowieckiej organizując rewolucję w USA. Jego syn znalazł znacznie efektywniejszy sposób pomocy. Można być przekonanym, że gdyby papie Hammerowi udało się zrobić w USA proletariacką rewolucję, to syn Hammer nigdy nie mógłby podpisać „transakcji wieku”: kontrakt o wartości 20 miliardów dolarów z udzieleniem ZSSR taniego kredytu.

Prasa sowiecka zaroila się wiadomościami o podtrzymaniu jednolitego frontu amerykańskich bankierów i przemysłowców dla kraju „dojrzałego socjalizmu”. Pod tytułem „Przemówienie, z którym byłoby dobrze, aby zapoznał się prezydent USA” *Litieraturnaja Gazieta* (nr 30) zamieściła wyjątki z wystąpienia zastępcy wiceministra handlu USA, w którym rozwinięto „kuszące perspektywy rozwoju współpracy ze Związkiem Sowieckim”. Nie jest wykluczone, że Jimmy Carter posłuchał rady *Litieraturnoj Gaziety*, przeczytał ten artykuł i pozwolił na sprzedaż ZSSR sprzętu naftowego, który jest tak potrzebny sowieckiemu przemysłowi naftowemu.

Koronnym argumentem sowieckiej propagandy dotyczącej „rozwoju współpracy USA ze Związkiem Sowieckim” jest: taka współpraca — handel ze Związkiem Sowieckim — jest potrzebna wyłącznie USA; Moskwa handluje z Waszyngtonem i czerpie stamtąd kredyty jedynie dlatego, by pomóc amerykańskiemu proletariatu i amerykańskiej gospodarce.

Związkowi Sowieckiemu dla siebie nic nie potrzeba. Kraj dojrzałego socjalizmu osiągnął już szczyty.

Sąd nad Francisem Crawfordem pozwolił zagranicznym korespondentom napisać szereg artykułów o dziwnym sowieckim rublu:

odkryli oto, że jest jedyną na świecie walutą, której w jej własnym kraju nie przyjmują za towary i usługi (widocznie dziennikarze ci nie widzieli innych krajów socjalistycznych). To, czego nie można kupić za ruble, łatwo kupuje się za dolary, marki itp. Właśnie ten dziwny fakt, dotąd kapitalizmowi nieznany, po raz pierwszy pozwoił dziennikarzom zagranicznym dojść do jedno-myślnego poglądu, że amerykański biznesmen jest niewinny. Normalnie, gdy informują o procesach w Związku Sowieckim, w ich korespondencjach błąka się cień wątpliwości: a może według ustawodawstwa tego kraju... Tym razem cudzoziemcy mieszkający w Moskwie wiedzieli na pewno: normalny człowiek (a wątpliwości co do normalności Crawforda nie miał nawet sędzia sowiecki) nie będzie kupował za dolary 20 tysięcy rubli, za które praktycznie niczego nie można kupić.

A czego nie da się kupić za ruble w Związku Sowieckim, można się dowiedzieć z artykułu w *Litieraturnoj Gaziecie* (nr 36), opublikowanego w przeddzień procesu Crawforda. Wśród wielu innych rzeczy nie można np. kupić musztardy i nici. Ale za to, chociaż wszyscy czytelnicy gazety skarżą się na brak modnych ubrań, okazuje się że zagadnieniem badania gustów kupujących oraz mody zajmują się w Związku Sowieckim 2 miliony osób. W tej dziedzinie kraj „dojrzałego socjalizmu” zajmuje pierwsze miejsce w świecie. Możliwe, że modę studuje tam więcej osób niż we wszystkich innych krajach razem wziętych (to — nawiasem mówiąc — jedno z wyjaśnień braku bezrobocia w Związku Sowieckim). Trudno nabyć i bardziej proste artykuły niż musztarda, nici czy modne ubranie. Są przejściowe trudności również z kartoflami. Ale znów *Litieraturnaja Gazieta* oświadcza, że „od przeszło pół roku napływają do Redakcji listy „o kartoflach” (nr 30). Jest to jeszcze jeden dowód prawdziwej demokracji panującej w Związku Sowieckim: każdy ma prawo dawać rady co robić z kartoflami — jak je zbierać, jak je przechowywać i jak je sprzedawać. Nie mówiąc już o tym, że w ramach dojrzałego demokratyzmu we wrześniu i październiku każdego roku miliony mieszkańców miast — od zwykłych robotników do doktorów nauk — obowiązani są jechać do kołchozów i sowchozów na kopanie kartofli. Kartofli nie będzie potem w sklepach, ale można o tym napisać do gazety.

Redaktor *Litieraturnoj Gaziety* powiedział kiedyś, że jest ona „sowieckim Hyde Parkiem”. Można w niej się poskarżyć na istniejące jeszcze, drobne braki. Po pojawieniu się skarg w gazecie, braki w zakresie kartofli, nici i musztardy stają się mniej dotkliwe. Przy tym jest nadzieja: może Armand Hammer, zamiast budować fabryki chemiczne, zechce zająć się sowiecką gospodarką rolną.

Nadzieja — jak zauważył wielki poeta rosyjski — „karmi młodych i jest pociechą dla starców”. Władza sowiecka zawsze bardzo liczyła, że nadzieję dostarczać będzie literatura. Tak też było przez długie lata, ale — jak wiadomo — niektórzy pisarze

poczuli ostatnio, że jest im w tej klatce ciasno. Mam na myśli nawet nie tych, którzy otwarcie wyrwali kraty: Sołżenicyna, Maksimowa, Siniawskiego... Tych zmuszono do opuszczenia kraju. Ale pojawili się pisarze, pozostający w ojczyźnie, piszący swobodnie i wysyłający swoje rękopisy za granicę. Wystarczy wymienić tu: W. Wojnowicza, G. Władimowa, W. Jerofiejewa, A. Zinowiewa (w sierpniu br. i on wyjechał na Zachód). Przykład tych pisarzy, powodzenie ich książek działa demoralizująco na tych ich kolegów w Związku Sowieckim, którzy zdają sobie sprawę ze swego talentu i są przekonani, że ich książki, uwolnione od ograniczeń cenzury, mogłyby mieć powodzenie. Obawiając się, że i ci pisarze (spośród utalentowanych), którzy jeszcze są wydawani przez sowieckie domy wydawnicze, tj. zgadzają się na współautorstwo władzy sowieckiej, oddadzą również swoje rękopisy na Zachód, kierownicy sowieckiej kultury zdecydowali wykorzystać technikę sowieckiego handlu.

Wyrażono zgodę na stworzenie dwóch literatur: walutowej i rublowej. Literatura walutowa to książki pisarzy wydawane jednocześnie w Związku Sowieckim i na Zachodzie, ale w różnych postaciach. Zresztą niedawno Sowiecka Agencja Literacka sprzedała jednemu z wydawnictw francuskich dwie powieści Wasilija Aksionowa, które nie otrzymały zgody na wydanie w Związku Sowieckim. Jako zasada jednak — pisarz wydaje i tu i tam. Tak np. moskiewskie wydawnictwo „Sowiecki Pisatiel” wydaje powieść Fazila Iskandera pt. „Sandro z Czechemy” (nakład bardzo niewielki — 30 tys.), a w USA ta sama powieść ukazuje się, ale ze świetnym rozdziałem o Stalinie, który sowiecka cenzura wycięła. Wychodzi w Leningradzie powieść Andrzeja Bitowa bezwstydnie okrojona a w USA jako „Puszkowski dom” w całości. Walutowym sklepem z sowiecką literaturą dla posiadaczy dolarów (w Moskwie taki sklep nazywa się „Bieriozka”), a więc taką amerykańską „Bieriozką” stało się wydawnictwo „Argis”.

Powstanie „Bieriozek” dla handlu produktami żywnościowymi, jak i powstanie „Bieriozki” dla handlowania produkcją literacką, jest dowodem kryzysu. Można tylko powitać z uznaniem pełne wydanie i „Sandro z Czechemy” i „Puszkowskiego domu” — książek zasługujących na uwagę. Sprawa polega jednak na tym, że za przywileje trzeba płacić. Jeden z „walutowych” pisarzy, Jurij Trifonow, zapłacił za pozwolenie na pobyt w Stanach Zjednoczonych, gdzie podpisał umowę na wydanie swoich książek, wywiadem udzielony *Innostrannoj Litieraturze* (nr 6 z 1978 r.). W tym wywiadzie oświadczył np., że na pytania studentów amerykańskich o „tzw. dysydentów” odpowiadał zwykle: „Jako pisarze moim zdaniem — zgina”, gdyż poza ojczyzną nie można pisać; lekceważąco wyraził się o książkach, które miały „obrzydliwy, skandaliczny, polityczny rozgłos”. Bardzo pozytywne wrażenie wyniósł Ju. Trifonow ze spotkania z naczelnym redaktorem wydawnictwa Simon and Schuster, które wydało książkę „Leonid Breżniew. Strony życia”. To samo wydawnictwo ma wydać dwie książki Trifonowa.

Być może jednak, że Ju. Trifonow płaci władzy sowieckiej i w inny sposób — w swoich książkach. W głośnej powieści „Dom na nadbrzeżu”, ogłoszonej dwa lata temu w piśmie *Družba Narodow*, i w ostatniej powieści historycznej „Stary” (*Družba Narodow* nr 3/1978). Rozmyślając o rewolucji, o wojnie domowej, o włościństwie, Ju. Trifonow ostrożnie sączy nieprawdę, wyrzuca nazwiska nie lubiane przez cenzurę i wstawia te co trzeba. Wiadomo, że gdy kasjerka w sklepie myli się przy wydawaniu reszty, to dziwnym zbiegiem okoliczności robi to zawsze na swoją korzyść; tak i Trifonow: zawsze myli się na korzyść cenzury.

Do rzędu „walutowej literatury” należą i utwory Walentina Katajewa. Przykładem tej produkcji jest jego ostatni opus „Brylantowa korona” (*Nowyj Mir* nr 6/1978). Katajew specjalizuje się we wspomnieniach: jest ostatnim kłamliwym świadkiem swoich czasów. Wszyscy inni już umarli. Taka jest widocznie sprawiedliwość losu: uczyniwszy nieśmiertelnymi utwory pisarzy, z którymi stykał się Katajew, i których sprzedawał (Majakowski, Pasternak, Mandelsztam, Olesza) — los dawno ich zabił, pozostawiając przy życiu człowieka, którego książki znikną wraz z nim. Nie znam, co prawda, zamiarów losu, który dla dania fałszywych świadectw zachował człowieka opiewającego Stalina, Chruszczowa i Breżniewa. Nie jest wykluczone, że właśnie na jego wspomnieniach obecne pokolenie będzie opierać swój obraz minionych lat XX-go wieku.

W każdym razie bardziej uczciwe (jeśli tu można w ogóle mówić o uczciwości) wydają mi się utwory „rublowej literatury”. Nie są wydawane na Zachodzie, za to w ojczyźnie drukowane są w milionowych nakładach. Nie mądrząc się, piszą co im każą, to co jest dzisiaj potrzebne. Jeden z wybitniejszych mężów stanu naszych czasów, marszałek Idi Amin Dada, dał — nie podejrzewając tego — najlepsze określenie realizmu socjalistycznego. Nakazał zmienić nazwę „syfilis” na „chorobę dobrej nadziei”. Żeby mieszkańcy Ugandy nie krępowali się chodzić do lekarza. 50 lat temu, w Moskwie, namawiano do leczenia chorób wenerycznych, rozpowszechniając plakat: Syfilis nie jest hańbą, a nieszczęściem. No, ale to było jeszcze przed socrealizmem. Dziś — jak słusznie zauważył marszałek Amin Dada — syfilis stał się chorobą dobrej nadziei.

Tak w przybliżeniu pisze Piotr Proskurin w drugiej części ogromnej powieści pod tytułem „Imia twoje” (tytuł pierwszej brzmiał prosto i skromnie „Sud'ba”). Jeśli idzie o treść tej powieści wystarczy powiedzieć, że „Imia twoje” — to naturalnie imię narodu, ale też i imię Stalina, reprezentującego najlepsze cechy narodu.

A przedtem ta choroba nazywała się syfilis.

Adam KRUCZEK

O konieczności współpracy

Na zakończenie letniego semestru UWU (Ukr. Wolny Uniw.), w środę 30 sierpnia 1938 roku, odbył się wieczór autorski polskiego poety T. Karpowicza. Poniżej zamieszczamy Wstępne Słowo Rektora, który omówił celowość i znaczenie podobnych wieczorów dla ukraińskiego i polskiego społeczeństwa. Po przemówieniu prof. Janiwa scharakteryzował sylwetkę gościa prof. dr Bohdan Osadczuk, a następnie wystąpił sam autor, określając zasady, jakimi kieruje się w swojej twórczości; również odczytał sporo swoich wierszy lirycznych, pochodzących z różnych okresów.

Jeden z utworów poety („Studium ciszy drzewa”) przełożył W. Lesycz (*Suczastnist'* z listopada 1975); wiersz ten został na wieczorze odczytany. Obecni serdecznie witali i żegnali gościa, dołączając się do życzeń rektora.

Redakcja

Rzadko kiedy zdarza się, by radość przy otwarciu akademickiego wieczoru była równie wielka, jak w dniu dzisiejszym. Rzecz w tym, że za najbardziej szlachetne zadanie Uniwersytetu uważam odpowiedzialne służenie prawdzie, oraz upominanie się o sprawiedliwość i szczęśliwszą przyszłość dla ludzkości. I właśnie temu zadaniu mają służyć nasze wieczory, poświęcone przyjaźni między narodami — zarówno już zaprzyjaźnionymi uprzednio, jak — przeciwnie — skłóconymi w przeszłości. Ukraiński Wolny Uniwersytet ma już sporo takich wieczorów za sobą. Przed trzema miesiącami odbyło się w uniwersyteckiej auli i uczyniło wielkie wrażenie ukraińskoczeskie spotkanie w związku z otwarciem wystawy współczesnych czeskich grafików. Wieczór otrzymał artystyczne obramowanie: pewien wirtuoz i kompozytor w jednej osobie grał utwory czeskiego muzyka (z towarzyszeniem izraelskiego emigranta z Baku). Przemawiał organizator wieczoru, jeden z najstarszych naszych wykładowców — dziś wiceprezes emigracyjnego Pen-Clubu. Skomentował wystawę współpracownik i redaktor radia. Wszyscy oni byli Czechami, a tylko ja miałem wstępne słowo, jako gospodarz. Atmosfera wieczoru była tak przyjemna, że osoby, które brały w nim udział utrzymują odtąd przyjacielskie kontakty intelektualne; jednym z najcenniejszych podarunków, jakie kiedykolwiek otrzymałem, była kompozycja na skrzypce wirtuoza Panduli, oraz łańciski wiersz jego małżonki.

Oczywiście, UWU, który działał w Pradze przez 25 lat, dzięki dalekowzrotnej polityce jego założyciela, prezydenta T. Masaryka, musi wykazywać się wdzięcznością, więc czeskie wieczory w UWU — było ich wiele — mają swoją tradycję. Mieliśmy poza tym wieczór ukraińsko-bułgarski, oraz ukraińsko-żydowski, a także gościliśmy specjalnie serdecznie polskiego profesora-filozofa z Otawy, Wojciechowskiego, zaś już w tym roku inżyniera Kozłowa.

skiego, ponadto miała u nas wykłady, poświęcone polskiej współczesnej prozie, polonistka, Jadwiga Maurer, z Kansas University w Stanach Zjednoczonych. Wszystko to świadczy, że chętnie gościmy przedstawicieli polskiej kultury i życia duchowego, gdyż byłoby tragiczne, gdyby rzymska maksyma o historii, która jest nauczycielką, miała okazać się nieprawdziwą; gdybyśmy pamiętali wyłącznie wyrządzone krzywdy, zapominając o tym wszystkim, co na łączy i ma doprowadzić do lepszej przyszłości na tle duchowego rozwoju Europy, do przyszłego gospodarczo-politycznego zjednoczenia.

Kto rozjątrza rany, sieje zło! Nie znaczy to, że wszystko jest już dobrze, że zgadzamy się na obecny stan rzeczy, ale byłoby zbrodnią, gdybyśmy pracę nad odbudową naszych odnowionych państw mieli zaczynać od tego, czym zakończyła się ostatnia, jakże nieszczęsna, wojna: krwią, łzami, cierpieniem przesiedlonych, wzajemnymi oskarżeniami i resentymentami. Byłoby zbrodnią, gdybyśmy zechcieli wykorzystać przyszły chaos przy zmianach na europejskim Wschodzie dla uderzenia nożem w plecy tego, kto w danej chwili okaże się słabszy. Wtedy dziejowa Nemezis zemściłaby się na nas, jak mściła się tyle razy, za Andruszów, za Rygę, ale także za wywołane nimi resentymenty, które wprawdzie wynikły ze wspomnianych smutnych faktów historycznych, z politycznego krótkowidztwa, ale po dziś dzień mrozą krew w żyłach wydarzeniami, podyktowanymi nieubłaganą zemstą.

Wszelkie możliwe niesprawiedliwości należy wyrównywać jedynie we wspólnych rozmowach, ale nie w walce, jak wolni z wolnymi, jak równi z równymi, na podstawie układów między naszymi suwerennymi rządami, czy też legalnego wypowiedzenia się narodów. A na razie — jeżeli chcemy osiągnąć nasz cel — musimy sobie wzajemnie pomagać we wspólnej, przeciągającej się walce — bez ukrytych myśli, bez chytrłości i podstępnych wybiegów, z poszanowaniem ustalonych, istniejących obecnie terytorialnych rozgraniczeń. Ten ideał jest jeszcze daleki od urzeczywistnienia, daleki od powszechnego uznania, od popularności, i niejednemu z nas wypadnie doświadczyć na sobie gorczy rozczarowania i zarzutów od najbliższych. Ale czy mamy się tego lękać? Przecież historia na pewno zapisze na żelaznych tablicach wszystkie szlachetne porywy. Któż, jeżeli nie intelektualiści, ma iść pierwszy, przekładając drogę dobrej sprawie — Zmartwychwstaniu ludzkiego Ducha; idzie się do tego krzyżową drogą własnych ofiar i rozczarowań, ale z wielką wizją szczęścia nadchodzących pokoleń. Mając taki cel na uwadze, Ukraiński Wolny Uniwersytet ma drzwi szeroko otwarte dla każdego gościa, który podziela nasze stanowisko, i każdy będzie mógł u nas swobodnie wypowiedzieć swoje poglądy i przekonania, pod warunkiem, że nikt nie urazi innych niebacznym słowem.

Sądzę, że na intelektualistach leży ta powinność nie tylko dlatego, iż właśnie na nich ciąży największa odpowiedzialność za przyszłość ich narodu. Polski wieszcz pragnął zdobyć władzę

dusz; nasz prorok uważał za monarchę więźnia, któremu wypalono piętno na skórze. Jeden wiecznie tęsknił, żywiąc się stęchłym chlebem wygnania i cierpiąc za miliony; drugiemu nie wolno było pisać i malować tylko dlatego, że ponad wszystko ukochał wolność i godność człowieka. Ale właśnie poprzez cierpienie intelektualistów najłatwiej dochodzą do zrozumienia dusz bliźnich i potrafią zdobywać się na wzajemny szacunek. A wzajemny szacunek może zrodzić się tylko na zasadzie wzajemnego poznania się, sięgnięcia do źródeł, do samych głębin życia duchowego. Pragnąłbym, aby Ukraiński Wolny Uniwersytet stał się także dla polskiej elity miejscem wzajemnego poznania się i zrozumienia. Dzisiejsze spotkanie uważam za milowy kamień na tej drodze. Mamy zaszczyt witać wśród nas jednego z przedstawicieli ducha współczesnej Polski: awangardowego poetę, dramaturga, eseistę, filozofa, krytyka i badacza literatury, oraz pedagoga. Nikt lepiej, niż właśnie Tymoteusz Karpowicz, nie potrafi przedstawić współczesnych tendencji, panujących wśród tego polskiego pokolenia, które wyrastało w haniebnym warunkach przekłętą zniewolenia, z nadzieją na szczęśliwszą przyszłość własnych rodaków i wszystkich ludzi dobrej woli. Wszyscy oni zdążają do własnego, sprawiedliwego celu, bowiem prawda jest niepodzielna, a Królestwo Boże urzeczywistni się na ziemi dopiero wtedy, gdy odpowiednio zwiększy się ilość ludzi, rozumiejących niepodzielność prawdy, dobrze życzących swym sąsiadom, chętnych do udzielania im pomocy, a nie zachowujących się obojętnie i bezczynnie. Ale do tego potrzeba zaufania, wytworzonego w ciągu dziesięcioleci. Twórzmy to zaufanie już dziś!

Karpowicza, jako poetę, przedstawi nam i określi jego miejsce we współczesnej polskiej literaturze nasz kolega Osadczyk, a ja pragnę jedynie jak najserdeczniej powitać Drogiego Gościa, tym serdeczniej, że obu nas łączą węzły wspólnego dążenia do piękna, wypowiedzianego celnym słowem, odkrywającym najgłębsze tajemnice naszych dusz. Zdaję sobie sprawę, że w dobie obecnej należy przywrócić placówkom naukowym tradycyjne miejsce w świecie, w którym obecnie materia zwycięża ducha, a nowoczesna cywilizacja technokratyczna zabija ludzkie uczucia i porywy. W naszych czasach należy przywrócić równowagę wartości duchowych i materialnych, jakże charakterystyczną dla prawdziwego humanizmu, więc niezmiernie się cieszę, że bieżący wakacyjny semestr, tę naszą szarą pracę kończymy poetyckim akcentem, który uzupełnia krytyczną myśl twórczą intuicją, pozwalając na szerszy, lżejszy, swobodniejszy oddech. Czuję się szczęśliwy, że — aby się to stało — znaleźliśmy kogoś tej miary, co Karpowicz, jeden z najpierwszych w szeregach jego pokolenia.

Jednak na naszą radość kładzie się cień melancholii — kolega Karpowicz porzuca Niemcy za kilka tygodni, więc ten autorski wieczór będzie bodaj jego ostatnim występem w Europie. Oczywiście, jesteśmy zadowoleni, że to właśnie nam przypada zaszczyt żegnać go publicznie w imieniu europejskich przyjaciół i życzyć wszystkiego najlepszego na nowym stanowisku profesora polonis-

tyki na uniwersytecie w Illinois, w centrum amerykańskiej Polonii, gdzie obejmie placówkę kierownika studiów przyszłych doktorów polonistyki. Życzymy mu, aby potrafił zaszczyć swoim nowym wychowankom te szlachetne ideały, które tu podsumowaliśmy. Być może, kiedyś w przyszłości, przy odwiedzinach Chicago potrafię mu się odwdziżyć za ten jego wieczór w Monachium odpowiednim wieczorem w jego Instytucie. Na razie pragnę, jako trwałą pamiątkę jego wizyty i występu u nas wręczyć mu w darze jedno z naszych najcenniejszych wydawnictw: dwutomowy album z reprodukcjami rzeźb naszego monachijskiego mistrza, Hryhora Kruka, właśnie, aby podkreślić niepodzielność dążeń do piękna i prawdy, jako symbolicznej jedności nauki i sztuki.

Bardzo się cieszę, że nasz wieczór spotkał się z pozytywną reakcją zaproszonych, którzy, nie zważając na dzień pracy, odeszli się na nasz apel. Znaczący to, że ideały, jakim pragniemy służyć, nie są obce licznym osobom, kierującym naszymi wspólnotami. Rzecz prosta, witam moich rodaków, którzy, jak zawsze, nie zawiedli i raz jeszcze zsolidaryzowali się z inicjatywą UWU, ale przede wszystkim witam przedstawicieli polskiej kolonii w Monachium, którzy zechcieli do nas przyjść. Myślę, że w przyszłości przyjdą na wieczór, na którym będziemy w stanie w analogicznej formie zaprezentować, choćby fragmentarycznie, naszą twórczość, albo jeszcze lepiej: że kiedyś urządzimy wspólny wieczór ukraińsko-polskiej twórczości na wygnaniu, wieczór, w którym wezmą udział ci, którzy przebywają w Monachium i ci, którzy będą mogli do Monachium bez trudu przyjechać. Spodziewam się, że będzie to dalszy krok na drodze, której wprowadzić dziś nie zainaugurowaliśmy, ale ją planowo, w przekonywujący sposób prowadzimy dalej!

(Przełożył Józef Łobodowski)

Wołodimir JANIW

Kronika niemiecka

Zachodniemiecki pisarz, Günther Grass, założył *Fundację Nagrody im. Alfreda Döblina*. Döblin (1878-1957) był epikiem, nowelistą, a także dramaturgiem, współzałożycielem ekspresjonistycznego czasopisma *Der Sturm* (Buzza). W 1924 roku odwiedził nasz kraj i napisał książkę pt. *Podróż do Polski*. Lata 1933-1945 spędził na emigracji. Jako majątek fundacji stanowi suma 200 tys. marek wpłacona przez Grassa. Roczna nagroda będzie wynosić 20 tys. marek, za dotąd nie publikowane dzieło prozy literackiej, dzieło naukowe o literaturze lub dzieło historyczne. ■ Wychodzący w Bonn dziennik *Die Welt* ogłosił obszernie fragmenty felietonu Stefana Kisielewskiego pt. *Mój przedostatni odjazd* (*Kultura*, nr 7/8, 1978) ■ Na *Kato-*

lickim Uniwersytecie Lubelskim uruchomiono komputerowy ośrodek obliczeniowy, dzięki *Fundacji im. Alexandra von Humbolta*, która ofiarowała amerykański komputer firmy DEC: 11/34. Ośrodek służy badaniom i obliczeniom naukowym dla socjologów, psychologów i historyków. Wykorzystywany jest również przez administrację KUL'u (listy płac, sprawy personalne itp.). ■ W ub. roku Polska sprzedała w Republice Federalnej buty za sumę 18 mln. marek, choć roczny kontyngent opiewa na 9 mln. (tak wyglądają w praktyce zachodniemieckie ograniczenia w imporcie polskich towarów!). Obuwie jest sprzedawane bez napisu *made in Poland*. Stanisław Lasocki, dyrektor firmy *Skorimpex* w Düsseldorfie: „Na własną markę jeszcze nas nie stać...”. ■ Opozycja chadecka w *Bundestagu* żąda od gabinetu koalicyjnego Schmidta i Genschera zachowania priorytetów od dawna uznawanych w zachodniemieckiej polityce zagranicznej. Chrześcijańscy demokraci precyzują swe poglądy następująco: ścisły sojusz z USA, konieczność nieustępliwego kursu wobec Związku Sowieckiego i zbliżenia z Chinami oraz przyspieszona integracja europejska. Te priorytety, zdaniem opozycji, nie są przestrzegane w polityce obecnego rządu. Od pewnego czasu mnożą się doniesienia prasowe na temat aktywności wpływowej grupy lewicowych socjaldemokratów, którzy rzekomo byliby gotowi rozluźnić więzy z NATO (lub nawet wystąpić z *Przymierza Atlantyckiego*) i nawiązać ścisłą współpracę polityczną ze Związkiem Sowieckim. Według *International Herald Tribune*, Egon Bahr, architekt bońskiej *Ostpolitik*, ma być fanatykiem zjednoczenia Niemiec „za każdą cenę” i widzi realizację połączenia obu państw w oparciu nie o Waszyngton, lecz o Moskwę. Zdaniem *Daily Telegraph* jest to program „prowadzący do finlandyzacji RFN i innych krajów zachodnioeuropejskich”. ■ Telewizja zachodniemiecka w II programie wyświetliła długometrażowy film telewizyjny pt. *Męczennik*; w roli dr. Korczaka wystąpił aktor L. Grenn. W klinice dziecięcej Uniwersytetu w Würzburgu odsłonięto tablicę pamiątkową ku czci dr. Janusza Korczaka. ■ Głośna książka Kazimierza Moczarskiego *Rozmowy z katem*, została wydana nakładem *Droste Verlag* w Düsseldorfie. Przekładu dokonała Margitta Weber. W tym samym wydawnictwie ukazał się już czwarty z kolei zbiór dowcipów — zebranych, opracowanych i przetłumaczonych przez Aleksandra Drożdżyńskiego. Książka nosi tytuł *Das verspottete Tausendjährige Reich* (Wyszydzona 1000-letnia Rzesza). ■ W Gdańsku rozpoczęły się zdjęcia do filmu *Błaszany bębenek* w reżyserii Volkera Schlöndorfa (RFN), według głośnej książki Günthera Grassa pod tym samym tytułem. Powieść Grassa została odrzucona przez peerelowską cenzurę, ponieważ w jednym z fragmentów książki autor zarzucił *Armii Czerwonej* bezsensowne zniszczenie Gdańska w momencie kiedy niemiecki *Wehrmacht* nie stawiał już oporu w tym mieście. ■ Od pewnego czasu można dostrzec pierwsze oznaki kontaktów i współpracy polskich organizacji niepodległościowych w RFN z najnowszymi przesiedleńcami z Polski. Ostatnio, dzięki inicjatywie prezesa bawarskiego okręgu *Zjednoczenia Polskich Uchodźców w Niemczech*, Eugeniusza Pietraszewskiego, zorganizowano wycieczkę do *Muzeum Polskiego* w Rapperswilu. W wycieczce wzięła udział grupa przesiedleńców z Polski, obywateli niemieckich. Nareszcie polskie organizacje niepodległościowe w RFN zaczynają rozumieć, że kontakty z najnowszymi przesiedleńcami z Polski są konieczne, ponieważ stanowią ważny fragment polsko-niemieckiego dialogu. Czy młodzież polonijna w Wielkiej Brytanii, Francji i innych krajach zachodnich nawiąże również kontakty ze swoimi niemieckimi rówieśnikami w Republice Federalnej, którzy jeszcze wczoraj byli obywatelami PRL?... ■ W Bonn obradowało polsko-niemieckie forum młodzieżowe. Z polskiej strony w spotkaniu uczestniczyli wyłącznie nominaci odkomenderowani przez *Federację Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej*. Liberalny dziennik *Stuttgarter Zeitung* komentuje: „Czterdziestu młodych Polaków, którzy przybyli na to spotkanie, nie miało dosta-

tecznej swobody ruchów, by móc wypełnić pokładane w nich przez stronę niemiecką nadzieje. W dyskusji trzymali się zbyt sztywno dyrektyw rządu w Warszawie. Kto oczekiwał, że cztery dni obrad ustalą, jakieś projekty i plany spotkań między młodzieżą polską i niemiecką, był co najmniej zawiedziony. Polscy delegaci uparcie starali się o to, aby na czoło wysuwać problemy wielkiej polityki. Stale wisiała groźba znuzenia uczestników niekończącymi się deklaracjami". ■ Zachodniemiecki minister do Spraw Rodziny, Młodzieży i Służby Zdrowia — pani Antje Huber, wezwała władze PRL do przeprowadzenia rozmów na temat porozumienia o wymianie młodzieży oraz zezwolenia większej liczbie młodych Polaków na składanie wizyt w Republice Federalnej Niemiec (przed dwoma laty weszła w życie umowa o współpracy kulturalnej między Polską a RFN!). Min. Antje Huber powiedziała, że więcej młodych Polaków powinno przyjeżdżać do RFN, aby wyrobić sobie własną opinię o sytuacji i ludziach. Wizyty nie powinny się ograniczać jedynie do młodzieży zrzeszonej w oficjalnych organizacjach. Antje Huber dodała, że rząd RFN gotów jest przeznaczyć dodatkowe poważne fundusze na rzecz wymiany młodzieży między PRL a RFN, ale że musi to być oparte na zasadzie wzajemności, ponieważ obecnie więcej młodzieży z RFN składa wizyty w Polsce niż Polaków w Republice Federalnej. ■ Poznański *Przegląd Zachodni* opublikował kompletną listę przekładów utworów pisarzy zachodniemieckich wydanych w Polsce w latach 1949-1977. Wykaz zawiera 211 pozycji. W tym samym okresie czasu w Republice Federalnej wydano ok. 480 książek autorów polskich. ■ Henryk Kulczyk, przewodniczący zachodniobermberskiego Komitetu *Popierania Budowy Centrum Zdrowia Dziecka*, przekazał 15 tys. marek jako kolejny dar na rzecz Centrum. ■ Firma *Daimler-Benz* przekazała 100 tys. marek na fundusz *Centrum Zdrowia Dziecka*. Jest to już kolejny dar tej firmy. W czerwcu br. Centrum otrzymało luksusowy autobus typu *Mercedes MBO 309*. Wpłynął również czek na kwotę 5 tys. marek od M. Bulka, właściciela firmy *IVG* we Frankfurcie nad Menem. ■ Fundacja koncernu *Robert Bosch GmbH* postanowiła przekazać do *Centrum Zdrowia Dziecka* 100 tys. marek. ■ W Kolonii odbyła się uroczystość wręczenia *Orderu uśmiechu* mieszkańcowi Hanoweru dr. Erichowi Borchardtowi za wniesienie poważnego wkładu na fundusz budowy *Centrum Zdrowia Dziecka*. Ceremonią odznaczenia kierował członek młodzieżowy *Kapituły Orderu* — Andrzej Pieniak. Z Republiki Federalnej przekazano dotąd ok. 10 mln. marek na fundusz budowy *Centrum Zdrowia Dziecka*. Suma ta stanowi ok. 70 % wszystkich zagranicznych wpłat dewizowych na ten cel. ■ W kolońskiej oficynie wydawniczej *Diebig Druck Verlag* ukazał się album pt. *Lodz — die Stadt der Völkerbegegnung im Wandel der Geschichte* (Łódź — miasto współżycia narodów w okresie przemian historycznych). Album zaopatrzony w kilkaset ilustracji i odpowiednie teksty wydał Peter Nasarski przy współpracy Alberta Heise, Eugena Ihle i Adolfa Kargela.

Andrzej J. CHILECKI

Kronika białoruska

Nowojorska gazeta *Bielarus* w nr 253 zamieściła zdjęcie fotograficzne obozu koncentracyjnego „o zastrzyżonym reżymie” w Mińsku przy ul. Apanskiego (nazwisko ważnego czekisty). Na terenie obozu, oprócz baraków dla

więźniów, znajduje się duża fabryka mebli i szpital dla więźniów z całej Republiki Białoruskiej. Według informacji niedawnych emigrantów z Mińska w obozie tym znajduje się przeszło dwa tysiące więźniów. ■ Według sprawozdania amerykańskiej Komisji Rządowej do Spraw Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie z Białoruskiej SSR wyemigrowało w ciągu ostatnich 8 lat na Zachód 4.420 osób, w tym 3.978 Żydów. ■ W swoim czasie w *Kalendarzu białoruskim*, wydawanym przez Białoruskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne w Białymstoku, został opublikowany obszerny artykuł Aleksandry Bergman o znanej w drugiej połowie lat dwudziestych na Białorusi Zachodniej masowej lewicowej organizacji politycznej — Białoruskiej Włóściańsko-Robotniczej Hromady. Autorka charakteryzuje w nim działaczy Hromady — Bronisława Taraszkiewicza, Symona Rak-Michajłowskiego, Piotra Miatła i Piotra Wałoszyna jako „odważnych działaczy włóściańskich, świadomych wartości swej działalności politycznej”, ale pomija milczeniem fakt, że wszyscy oni ponieśli śmierć w łagrach sowieckich. Niedawno w PRL ukazała się w osobnym wydaniu monografia tejże autorki o założycielu i przywódcy Hromady, Bronisławie Taraszkiewiczu.

Wł. BRYLEWSKI

BIBLIOTEKA « KULTURY »
TOM 195 — JULIUSZ MIEROSZEWSKI

MODELE I PRAKTYKA

Str. 244.

Cena F. 20,00.

TOM 269 — JULIUSZ MIEROSZEWSKI

MATERIAŁY DO REFLEKSJI I ZADUMY

Str. 256.

Cena F. 40,00.

Kronika kulturalna

Ilość, która nie chce przejść w jakość

— UWAGI O ŚWIATOWYM KONGRESIE SOCJOLOGICZNYM

Dziewiąty Światowy Kongres Socjologiczny (Uppsala, 14-19 sierpnia 1978 r.) zgromadził ok. 4-ch tysięcy uczonych z całego świata, w tym pokazną ilość z Europy Wschodniej: około setki z ZSSR, ponadto 90-ciu z Polski itd. Jest to osiągnięcie liczne wprost zawrotne, w porównaniu z kilkoma setkami z pierwszych kongresów po drugiej wojnie światowej. Jednakże powodzenie tych kongresów wiąże się nie tyle z ich jakością naukową, ile z ogromnym wzrostem ilości socjologów. Ta nowa kadra potrzebuje światowej trybuny, z której mogłaby przemawiać do siebie nawzajem i do opinii publicznej. Zasadniczy temat obecnego kongresu — drogi rozwoju społecznego — bardzo nadaje się do wspomnianego wyżej celu.

Poza czterema sesjami plenarnymi zdecydowana większość obrad toczyła się w około dwudziestu grupach roboczych, dwunastu sympozjach, kilkunastu sesjach specjalnych, około trzydziestu grupach doraźnych oraz trzydziestu kilku komitetach badawczych. Kongres został pomyślany jako przede wszystkim okazja do spotkań niewielkich zespołów ludzi, których łączy wspólnie zainteresowanie. Stąd m.in. rozrzucono poszczególne sesje po całym mieście, co znacznie utrudniło sytuację ludzi o różnorodnych zainteresowaniach nie mających wcale ochoty na pozostawanie tylko w ramach jednej wąskiej specjalności.

Na kongresach socjologicznych coraz większą rolę odgrywają względy natury taktyczno-dyplomatycznej, spychając — niestety — na dalszy plan, znacznie przecież istotniejsze w tym przypadku, względy natury intelektualnej. Jest to niemałą „zasługą” delegacji sowieckiej, która występuje jako zwarta reprezentacja państwowa i stara się obstawić wszystkie ważniejsze pozycje. Poziom referatów sowieckich jest z reguły załosny, często nawet poniżej poziomu propagandy masowych środków przekazu; wynika to nie tylko ze słabego dotąd kontaktu socjologii sowieckiej

z zachodnią, ale chyba głównie z klimatu zależności i daleko posuniętego oceniania, w jakim żyją sowieccy socjologowie. Podobnie zresztą przedstawia się sprawa socjologów wschodnio-niemieckich, czeskich, słowackich, rumuńskich i bułgarskich. Socjologowie polscy i węgierscy zdecydowanie odbijają na lepsze od reszty; ich referaty są zrozumiałe dla uczonych zachodnich, nawiązują do dorobku światowego i coś do niego wyraźnie wnoszą.

Ogromna ilość referatów, wygłaszanych pośpiesznie jeden za drugim, nie sprzyjała pogłębionej i wszechstronnej dyskusji. Zresztą i same referaty nieraz nie były dostatecznie przygotowane i dobrane. Prawdopodobnie w większości przypadków przyjmowano po prostu wszystko, aby dać autorom pretekst do przyjazdu subwencionowanego przez ich zakłady pracy lub przez fundacje. Trudno było tego uniknąć na kongresie tak masowym, odbywającym się co cztery lata, a przy tym dającym socjologom znakomitą okazję do wzajemnych spotkań. Jednakże traci się wówczas wiele na ogólnym poziomie i klimacie obrad.

O ile socjologia lewicowo-radykalna ciągle jeszcze ma bardzo znaczny wpływ, zwłaszcza w Wielkiej Brytanii, to na kongresie znaczenie jej było mniejsze, niż można się było spodziewać. Przemówienie inauguracyjne ustępującego prezesa Międzynarodowego Towarzystwa Socjologicznego, Toma Bottomore'a, utrzymane było w tonie nadspodziewanie bardzo liberalnym, podkreślającym różnorodność dróg rozwoju społeczno-gospodarczego. Przemówienie to z pewnością nie było w smak delegacjom z Bloku sowieckiego, które swego czasu wydatnie poparły wybór Toma Bottomore'a. Negowanie historycznej konieczności przechodzenia z „niższych” do „wyższych” stadiów rozwojowych wraz z socjalizmem państwowym, jako formą doskonalszą od innych i prowadzącą następnie do „najdoskonalszej” formacji komunistycznej, musi być dla komunistów kamieniem niezgody.

Przy całej obecnej dyskusyjności masowego kongresu socjologicznego jako zasady, daje on niewątpliwie okazję różnym orientacjom i kierunkom do choćby ujawniania się. Tak np. współcześnie bardzo rosnące na Zachodzie zainteresowanie kwestią humanizacji pracy znalazło swój wyraz w szeregu sesji poświęconych poszczególnym aspektom tej humanizacji. Koledzy skandynawscy mieli okazję podzielenia się swymi bogatymi doświadczeniami w organizowaniu autonomicznych grup roboczych, we wzbogacaniu zakresu zadań powierzanych pracownikom, doksztalcaniu personelu kierowniczego przedsiębiorstw w zakresie psychologii społecznej stosunków pracy itp.

Ważną jest rzeczą, że na świecie mnoży się ilość badań porównawczych o charakterze międzynarodowym — i to właśnie znalazło wyraz na kongresie w postaci szeregu referatów. Socjologowie polscy razem z socjologami fińskimi dokonali analizy struktur społecznych. W PRL i w Finlandii (właśnie nakładem PWN w Warszawie ukazała się książka z podsumowaniem tej analizy). A. Podgórecki z S. N. Eisenstadtem mieli na Kongresie

dwuczęściową sesję, poświęconą analizie porównawczej szeregu społeczeństw na świecie. Na różnych sesjach referaty miały nastawienie wyraźnie porównawcze. Stopniowo utwierdza się przekonanie, że trzeba wyjść poza analizę poszczególnych społeczeństw i szukać cech odmiennych i wspólnych społeczeństw, które dają się porównać ze sobą pod tym czy innym względem. Nie wystarczy tu oczywiście analiza czysto ilościowa, w której usiłuje się sprowadzać do wspólnego mianownika zjawiska wyrwane z kontekstu społeczno-kulturalnego. Niewątpliwie, cywilizacja zachodnia rozprzestrzeniła się bardzo szeroko we współczesnym świecie i z tej perspektywy nastąpiło pozorne upodobnienie się wielu zjawisk. Jednakże nie uprawnia to do pominięcia, lub co najmniej częściowego zlekceważenia zasadniczej, historycznie ukształtowanej identyczności danego społeczeństwa, gdy chcemy zrozumieć rolę danego zjawiska w całokształcie życia zbiorowego i rozwoju społecznego. Ta ważna sprawa znalazła swój wyraz w wypowiedziach wielu uczestników kongresu. Np. na końcowym posiedzeniu plenarnym C.A.O. van Nieuwenhuijze mówił o społeczno-kulturalnej identyczności Arabów, jako punkcie odniesienia analiz świata arabskiego.

Stan socjologii niewątpliwie zawsze odzwierciedla stan umysłów i, jeśli można sądzić na podstawie kongresu, to stan ten nie musi być najlepszy jeżeli mnóstwo tego, co tam powiedziano, było po prostu powtarzaniem rzeczy poprzednio znanych, mnożeniem danych, ale bez nowych wyjaśnień, a nawet wręcz powtarzaniem w sposób dość mglisty i ogólnikowy tego, co zawiera prasa codzienna. Żyjemy chyba w epoce wielkiego braku nowych spojrzeń na rzeczywistość społeczną, jeśli tak wielu ludzi kurczowo trzyma się klasyków, cytuje na każdym kroku Marksa i Webera, lub uprawia zbieractwo faktów w gruncie rzeczy mało ciekawych, których nikt potem nie scala w jakieś wyraźne całości poznawcze. Na kongresie panował wyraźny niedosyt globalnych analiz i diagnoz, które wybiegały poza problemy, na temat których poprzednio czytaliśmy już czy słuchali. Prawda, że w naukach społecznych trudno odkryć coś naprawdę nowego. Z drugiej strony jednak rosnąca komplikacja współczesnych problemów aż prosi się o wnikliwą dyskusję o tym, co dzieje się we współczesnym świecie. Takiej właśnie dyskusji brakowało na kongresie, którego sens ograniczył się właściwie do przeglądu bieżących prac socjologów, jak gdyby wielki rozwój światowego rynku socjologicznego już sam przez się stanowił dorobek myśli społecznej!

Ludzie współcześni bardziej chyba poszukują nowych religii aniżeli nowych naukowych interpretacji świata. Upadek tradycyjnej religijności na Zachodzie jest wyraźny i postępuje naprzód, podczas gdy równolegle rośnie zainteresowanie naukami społecznymi, jako oparcia dla racjonalnego poznania i rozumienia podstawowych zjawisk. Jednakże ten pęd do nauki ma w wielu przypadkach charakter samo-oszukiwania się, gdy odpowiedź na zadane pytanie jest z góry określona doktrynalnie.

W referatach przedstawionych z pozycji lewicowo-radykalnych zdecydowanie zaznaczył się dogmatyczny punkt widzenia, nie dopuszczający argumentacji przeciwnej, skierowany do ludzi już z góry przekonanych, a odstraszaający ludzi o innym spojrzeniu na rzeczywistość. Socjologii zawsze grozi rozbitcie na poszczególne sekty nietolerujące się wzajemnie. Socjologia czysto empiryczna w swoim założeniu miała przeciwdziałać temu niebezpieczeństwu przez odniesienie do faktów wymiernych, ale sama stała się czymś w rodzaju sekty odrzucającej wszystko, czego nie da się zmierzyć. Wiele referatów wygłoszonych na Kongresie nie miało ze sobą powiązań, mimo że dotyczyły podobnych lub nawet identycznych przedmiotów.

Od socjologa można i należy oczekiwać, poza wszystkim innym, również gruntownej wiedzy historycznej, geograficzno-statystycznej i kulturalnej. Przy lepszej znajomości tych dziedzin mniej byłoby na kongresie referatów powierzchownych i banalnych, zdradzających pogoń za tym co modne i egzotyczne, a mających przynieść autorowi poklask kolegów po fachu. Dublowanie przez socjologów wiedzy dostarczanej przez środki masowego przekazu co najmniej tak samo nie ma sensu jak mnożenie pseudo-przyczynków do pseudo-teorii. W swoim czasie Stanisław Andrecki obnażył nicość socjologii opartej na sztucznej terminologii i wielce skomplikowanym formułowaniu zdań, w których brak jakiegokolwiek głębszej treści. Im więcej adeptów ma światowa socjologia i im wyraźniej krystalizują się w niej rozmaite grupy interesów, tym bardziej grozi jej znieprawienie. Potrzebuje ona, bardziej niż kiedykolwiek, ludzi o wymiarze moralno-zawodowym Stanisława Ossowskiego, takich którzy mieliby na widoku coś więcej niż uprawianie za cudze pieniądze aktualnie modnych badań, pisanie pokupnych książek o krzykliwych tytułach, podróżowanie z jednej konferencji na drugą i organizowanie międzynarodowych klik ludzi popierających się nawzajem. Refleksje nad losem współczesnych społeczeństw są sprawą zbyt poważną, aby nie troszczyć się o jakość ludzi zawodowo uprawiających analizę zjawisk społecznych.

W Polsce socjologia jest dziś czymś zupełnie innym niż w dobie Ossowskiego. W latach siedemdziesiątych władze obficie sypnęły pieniędzmi na badania socjologiczne, które za Ossowskiego były w sytuacji Kopciuszka. Jednocześnie podjęto szerszą akcję wprowadzenia „swoich” ludzi i wypychania z socjologii tych, którym partia nie ufała. Tylko częściowo była to kwestia natury polityczno-ideologicznej. W dużym stopniu poszczególne kliki wewnątrz partii wypychały swoich awansowiczów na nowokreowane stanowiska. Być socjologiem stało się wygodne, a nawet opłacalne, zwłaszcza gdy było się w dobrych stosunkach z biurokratai, decydującymi o przydziale funduszy, o planach wydawniczych, wyjazdach zagranicznych itp. Mimo tego masowego napływu kadry partyjnej do socjologii poziom prac socjologicznych nie spadł do poziomu sowieckiego czy czeskiego, a serwilizm nie stał się zjawiskiem dominującym. Nastrój wśród polskich

socjologów jest krytycznie wyczekujący, i to bez względu na to czy należą do partii, czy nie; co więcej — wśród jawnie deklarującej się opozycji jest cały szereg socjologów. Nawet prace, pisane z pozycji zdecydowanie marksistowskich, są o wiele lepsze w Polsce, niż w pozostałych krajach Bloku sowieckiego. Niektórzy krajowi socjologowie mówią o upadku polskiej socjologii, ale wydaje się to dużą przesadą, zważywszy że w granicach dopuszczonych przez cenzurę ukazuje się jednak sporo ciekawych prac. Czego tam rzeczywiście brakuje, to autentycznej dyskusji, która stałaby się bodźcem do podejmowania nowych kierunków badawczych. Działy recenzyjne polskich czasopism socjologicznych są słabe, książki wybierane są raczej przypadkowo, nie ma polemiki między autorami i recenzentami — jest wprost nie do pomyślenia, aby ktoś odważył się zrecenzować krytycznie książkę kogoś z luminarzy.

Dla polskich socjologów ten kongres światowy nie mógł być czymś budującym; zwłaszcza że koledzy zachodni z reguły nie kwapili się nawet poddać choćby pod dyskusję niedorzecznych tez moich dogmatycznych kolegów po fachu ze Wschodu. O ile godzono się na braki świata kapitalistycznego, to nawet nie ośmielano się podawać w wątpliwość rzekomych osiągnięć sowieckiego socjalizmu. Uległość i naiwność zachodnich kolegów w stosunku do partyjnych socjologów ze Wschodu wprost rzucała się w oczy i budziła niesmak. W tych warunkach nie mogło nawet być mowy o dyskusji na temat poszanowania praw obywatelskich. Delegacja sowiecka słusznie mogła być dumna ze swoich osiągnięć, tym bardziej że, jak się wydaje, socjologom zachodnim obecnie bardziej zależy na pozyskaniu łask w Moskwie, niż stronie przeciwnej na współpracy z Zachodem.

A. K.

Chcąc umożliwić udział w kongresie niezależnym socjologom, Szwedzkie Towarzystwo Socjologiczne zaprosiło imiennie kilkunastu polskich socjologów, którzy nie mogli liczyć na wysłanie ich przez władze polskie w ramach oficjalnej delegacji. Większość z nich otrzymała odmowy na swe podania o paszport, m.in. Jakub Karpiński, Andrzej Celiński, Marek Tabin, Stanisław Barańczak, Aldona Jabłowska, Stefan Amsterdamski i inni. Jedyne trzy osoby spoza oficjalnej delegacji mogły przybyć na kongres: socjolog religii z Akademii Teologii Katolickiej, prezes Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie, prof. Andrzej Święcicki, usunięta z Uniwersytetu Warszawskiego za podpisanie kilku dokumentów opozycyjnych mgr Mirosława Grabowska oraz metodolog socjologii z Uniwersytetu Warszawskiego mgr Ireneusz Krzemiński.

Józef Jarema

Myślałem, że już nigdy o Kapistach pisać nie będę, bo dyskusja o ich roli w „czasach przedhistorycznych” teraz stała się już piłą. Bo studium o nich Jacka Woźniakowskiego „Czy należy mieć wstręt do kapistów” zawiera ocenę według mnie definitywną, ustawiając ten ruch w historii malarstwa polskiego pewnej epoki.

A przecie jak nie wrócić do tego tematu, gdy się tylko co ukazała świetna monografia Marii Sperling i Christian'a Laprette o Józefie Jaremie — Jaremie który był zapłonym energią, entuzjasmu i pomysłów grupy w okresie „heroicznym” w Krakowie a potem w Paryżu.

W 1930 roku odwiedziłem na wsi Gertrud Stein. Była wtedy uważana za papieżycę malarstwa, ogromny jej portret, dziś sławny, malowany przez Picassa, i szereg mniejszych płócien Picassa i Matisse'a wisiały w jej paryskiej pracowni-salonie. Przyjaźniła się z tymi artystami wtedy, gdy nikt ich jeszcze nie znał.

Interesowała się m.in. i naszą grupą, kupiła u nas dwa obrazy.

Już w małym aucie, w którym mnie wiozła do siebie ze stacji, zacząłem jej opowiadać naturalnie o kapistach. Nagle przerwała mi z pewnym zniecierpliwieniem „Pan ciągle mi mówi o kapistach. Kiedy nareszcie się rozpadniecie? Przecie artysta znaczy dopiero wtedy, kiedy jest sam”.

Dziś, przeglądając tom poświęcony Józefowi Jaremie, myślałem o słowach Gertrud Stein. Jakże miała słusność. Czy można dziś wspólnym *izmem* połączyć Cybisa, Potworowskiego, Waliszewskiego, Nachta, Rudzką-Cybisową, Strzałeckiego i mnie. Czy w ogóle tzw. kapizm istnieje? Po tak przedwczesnej śmierci Waliszewskiego, po rozsypce naszej grupy od Polski do Anglii i Francji, po tym wszystkim co przeżyliśmy jako ludzie i jako malarze? Została wierna przyjaźń i wspólna wiara w sens autentycznie bezinteresownego malarstwa. Ale to, co się dziś nazywa kapizmem wolałbym nazwać cybizmem, ale to duży temat, do którego może kiedyś wrócę.

Co łączy z cybizmem i jego malarstwem — które się w dużej

mierce wyrzekło waloru w imię koloru (przeklęty, który nic nie płaci) — z malarstwem Potworowskiego na przykład, którego przede wszystkim lata angielskie przeistoczyły w wielkiego malarza, gdzie wpływy abstrakcji czystej, wpływy Bacona stworzyły jedyne w swoim rodzaju świetne malarstwo, a również od Cybisa odrębną postawę malarską.

Najbliższą Cybisa była i zawsze jest Rudzka-Cybisowa, której się nieraz robi krzywdę widząc w niej jedynie westalkę kapizmu i jego stokrotnie powtarzanych dogmatów. Prawdą o niej najważniejszą jest to, że ona doszła do pewnej wysokiej muzyki koloru, pracując zawsze *sur nature* (słowa Cézanne'a) i osiągnęła taką bliską natury i taką jednocześnie szlachetną transpozycję, że mimowoli przychodzi na myśl Berthe Morisot, której walory w dziejach impresjonizmu należą do najczystszych.

A Jarema? Co go łączy malarsko z tym, co u nas dziś nazywa się kapizmem? Chyba jedno — miłość koloru i wielka wobec jego gry czujność, która u niego przemawia gwałtowniej poprzez abstrakcyjne uproszczenie.

Przeglądając świetne reprodukcje tej książki mimo woli chciałoby się powiedzieć, że to świat koloru wesołego, jarmarku koloru, który bije w nas z siłą naprawdę malarską. Ale pisać o jego malarstwie nie będę. Mój stosunek do abstrakcji wielokrotnie omawiałem i jestem najdalszy od manichejskiej wyłączości abstrakcjonistów. Może porównując jego malarstwo z moim widzieć można najwyraźniej jakeśmy — według życzenia Gertrud Stein — się rozpadli.

Chcę zatem tylko zaznaczyć, co książka ta jeszcze zawiera: szereg wspomnień o nim, przede wszystkim przyjaciela François Gachot, ze wstępem znanego krytyka Pierre Courthion i nawet paru słowami jeszcze jednego papieża malarstwa abstrakcyjnego, Michel Seuphora. Ale nie na tym koniec. Poza pierwszorzędnymi reprodukcjami obrazów mamy wiele rysunków figuratywnych Jaremy. Patrzę na nie z żalem i prawie z irytacją, tak mi się podobają i tak mi żal, że zamknął się w klatce abstrakcjonizmu.

Mamy również teksty do teatru Jaremy. „Agnieszka”, którą tak zachwycaliśmy się w Akademii krakowskiej, historię powstania w Krakowie teatru Cricot, którego głównym twórcą był Jarema, poza tym śledzimy również w tej książce jego namiętność społeczno-artystyczną, której był nie tylko wierny, ale wierzył w nią z zawsze nowym przekonaniem, że ta właśnie organizacja oczyści sztukę od spryciarzy i spłyciarzy i że tak sztuka nie tylko sama się odrodzi, ale świat przemieni.

Nie myślę wcale ironizować pisząc o jego w tej dziedzinie szlachetnej naiwności, właśnie takie namiętne oddanie akcji społeczno-artystycznej jest zapewne potrzebne i ono właśnie, targając tego tura od lat na wszystkie strony, może przyspieszyło jego śmierć niespodzianą.

Nie można było dać piękniejszego hołdu, jak ta książka, dziełu i życiu tego gladiatora sztuki.

Józef CZAPSKI

MARIA SPERLING I
CHRISTIAN LEPRETTE

JAREMA

Przedmowa Pierre Courthion

Artykuły i świadectwa Michel Seuphor'a, François Gachot'a, Jacques Lepage'a, Józefa Czapskiego, Guy Rohou, Michelangelo Conte'a i Michel Gaudet'a.

Tom zawiera 208 stron formatu 240 × 320 w tym 24 reprodukcje kolorowe i 50 reprodukcji czarnych.

Cena F. 150 plus porto.
Skład główny:

KSIEGARNIA POLSKA W PARYŻU
123, BD SAINT-GERMAIN, 75006 PARIS.
Tel.: 236-04-42.

DZIAŁALNOŚĆ BIBLIOTEKI POLSKIEJ W LONDYNIE W ROKU 1977

I. STAN ZBIORÓW

Stan zbiorów własnych skatalogowanych przedstawia się następująco:

- 91.614 dzieł (tytułów) polskich lub obcojęzycznych, dotyczących spraw polskich;
- 1.784 skrypty;
- 557 rękopisów;
- 210 atlasów i map;
- 1.084 nut i śpiewników;
- 127 płyt gramofonowych;
- 37.917 fotografii;
- 11.571 exlibrisów.

Kolekcja czasopism obejmuje ponad 4.500 tytułów periodyków polskich i obcych, z czego ok. 400 otrzymywanych bieżąco. W ciągu roku przybyło 475 nowych tytułów (wliczając w to i pojedyncze egzemplarze, ofiarowane do zbiorów, natomiast bieżących jedynie kilkanaście). Czasopisma krajowe o tematyce obejmującej zakres nauk ścisłych, technicznych i medycznych są z reguły — po upływie roku — przekazywane do Biblioteki Brytyjskiej w Boston Spa, gromadzącej periodyki z tych działów.

Około 10.000 tomów czeka na sprawdzenie, posegregowanie, wyłączenie dubletów, włączenie książek potrzebnych do księgozbioru, oraz na skatalogowanie. Praca ta może i musi odbywać się stopniowo.

II. WPŁYWY W ROKU 1977

W ciągu 1977 roku zakupiono do zbioru 59 książek za ok. £150. Utrzymano prenumeratę ważniejszych czasopism krajowych i obcojęzycznych sławistycznych. Większość periodyków i wydawnictw krajowych otrzymano w drodze darów i wymiany. Podobnie też wiele redakcji i wydawców emigracyjnych zaopatrywało Bibliotekę bezpłatnie w swoje wydawnictwa.

W roku 1977 Biblioteka otrzymała ogółem w darach:

— od ofiarodawców emigracyjnych: 5.587 książek, 2.526 broszur i ok. 2.000 egz. czasopism;

— od ofiarodawców krajowych: 692 książki i ok. 1.100 egz. czasopism.

Ponadto otrzymano m.in. 19 skryptów, 289 fotografii, kilkanaście klisz, 124 exlibrisy, jak również rękopisy, katalogi wystaw, programy, pocztówki, odbitki prac naukowych itp.

III. OFIARODAWCY

...Wydawnictwa krajowe otrzymywano w drodze wymiany lub jako dary, przysyłane przez biblioteki, uniwersytety, wyższe uczelnie, instytuty, towarzystwa naukowe (ok. 100 instytucji) oraz osoby prywatne. W zamian za to Biblioteka przekazała do Kraju 1.135 książek i 709 egzemplarzy czasopism.

XVIII. SPRAWOZDANIE FINANSOWE BIBLIOTEKI

Budżet Biblioteki wynosił w roku 1977 — £13.792.59 [nie licząc kosztów utrzymania lokalu, światła, podatków miejskich (*rates*) itp., pokrywanych przez POSK]. Na Polski Fundusz Biblioteczny zebrano £7.173.39. Za świadczenia i usługi dla innych instytucji otrzymano £1.142.73. Ze sprzedaży dubletów, wydawnictw własnych itp. dochód wyniósł £397.46. Wpływy ze sprzedaży broszury W. Zaleskiego „Dorobek gospodarzy Polski Odrodzonej 1918-1939”, wyd. staraniem dr. Wł. i B. Zaleskich — £100. Skończyła się natomiast dotychczasowa dotacja Uniwersytetu Londyńskiego (*School of Slavonic and East European Studies*), która nie została przedłużona na dalszy okres.

Ci co odeszli

Żywobycie i śmierć Pawła Łyska

Rak zubożył literaturę emigracyjną o jeszcze jednego pisarza. 15 lipca br. zmarł w Stanach Zjednoczonych w Huntington, L.I., Paweł Łyszek, „Polak i góral-Słazak”, jak głosi nekrolog podpisany przez brata, *osiem* siostr i bratanka, którego do siebie ściągnął i wykształcił. Rodzeństwo było jeszcze liczniejsze — wiem o dwu jeszcze braciach, z których jeden zginął ścięty toporem w więzieniu moabickim w Berlinie w roku 1940, a drugi — przed kilku laty — w wypadku samochodowym w Kraju. Że zaś na gospodarstwie ojcowskim w Jaworzynce nie przelewało się, trudno się dziwić, że Łyszek z goryczą wspominał „chłodne i głodne lata dzieciństwa”. A przecież ów rodzic, jeden z modeli bohatera „Twardego żywobycia Jury Odcesty”, umożliwił Pawłowi, jednemu z synów i to nie najstarszemu, ukończenie gimnazjum, aby „zapewnić [mu] lepsze życie i lepszą przyszłość” — miał „lepszy cel” i to dążenie do awansu społecznego, zdobytego własnym wysiłkiem, potrafił wszczepić dzieciom.

Paweł rozpoczął edukację w lokalnej szkole powszechnej w Istebnej, a kontynuował ją w gimnazjach w Cieszynie, Wilnie i Krakowie. Rozdział wileński (5 i 6 klasa) był szczególnie ważny: księża Misjonarze na Soboczu przygarnęli zdolnego góralczyka, gdy groził mu koniec nauki szkolnej. Potem Kraków i egzystencja podobna do opisanej przez prof. Pigionia w „Z Komborni w świat”. (Dlatego może Profesor z żywym zainteresowaniem śledził początki działalności pisarskiej Pawła i w „Przy granicy” widział „murowanego klasyka” literatury ludowej). Wojna przerwała studia polonistyczne na UJ połączone z pracą pedagogiczną. Aresztowany na Śląsku przez Gestapo zbiegł przez Słowację na Węgry i dalej przez Jugosławię dotarł do wojska polskiego we Francji na krótko przed ewakuacją do Wielkiej Brytanii. Dwa tomy wspomnień: „Z Istebnej w świat” (1960) i „Poszło na marne” (1965) są, jak określił to Florian Śmieja, „pamiętnikiem szeregowca” malującego nam podszewkę [wojennego] eposu.

Władysław Pobóg-Malinowski wyczytał w niej „prawdę o pokoleniu wzrastającym w warunkach własnego wolnego państwa”. Nie pozbawiony pikanterii jest szczegół, że na wydanie owych dwu tomów autor wypłacił londyńskiemu wydawcy B. Świderskiemu po dwa tysiące ciężko zarobionych dolarów...

Poznałam Łyska w Bibliotece Polskiej w Londynie a następnie, co jest szczegółem biograficznym pewnej wagi, liczyłam go do grona moich słuchaczy na kursie pedagogicznym zorganizowanym przez prof. Tadeusza Sulimirskiego dla PKPR-zystów na wzór angielskich *refresher courses* dla zdemobilizowanych nauzczyli. Wykładałam gramatykę opisową, zatrzymując się dłużej na najlepiej opanowanym przeze mnie dziale — dialektologii. Jako temat jednej z „klasówek” dałam napisanie krótkiego wspomnienia lub opowiadania w gwarze wsi lub okolic miasta rodzinnego. Efekt był piorunujący. Rozpisali się szeroko nawet najbardziej ospali słuchacze. Kilka tekstów udało mi się umieścić w *Polsce Walczącej* przy pełnej zrozumienia pomocy Tymona Terleckiego. Paweł Łysek przecenił zapewne znaczenie tego ćwiczenia — nie zapomniał go jednak, pisząc do mnie 19 kwietnia 1971, po wydaniu dwu pierwszych tomów trylogii beskidzkiej: „Pomyśleć, że to wszystko rozpoczęło się od wypracowania powojennego, na które Łaskawa Pani (*sic!*) zechciała zwrócić uwagę”. (To: „Łaskawa Pani” wymienia się w nagłówkach listów na „Zacna”, „Roztomiła” — a ostatnie, niestety, „Czcigodna”...). Jest to nieścisłe, bo przypadkiem wykryłam, że przed 1939 napisał dwa opowiadania o Cyganach: koniokrądzwie, obiorze króla itp. Teksty ich przepadły w czasie wojny.

Wspomnienia wojenne miały wartość dokumentu, nie zapowiadały jednak pisarza z prawdziwego zdarzenia i może nawet zraziły niektórych czytelników *in spe* do lektury „Przy granicy”. A to był właściwy debiut, a zarazem pożegnanie z okresem terminatorskim Łyska. Pisał tę książkę po kilkunastu latach pobytu w Stanach, ukończeniu studiów z zakresu historii i bibliotekarstwa, jako *assistant professor* nowojorskiego Queens College. Uderza w niej przede wszystkim wzorowa kompozycja. Schemat jej zdradzają tytuły trzech części: „radosnej”, „bolesnej” i „chwałebnej”, odpowiadające częściom różańca. Drobne ich ogniwa porównywać by można do ziaren różańca przesuwanych kolejno palcami, przedmowa ostrzega jednak znacząco: „Ta książka nie jest do pobożnego czytania” i odsłania „życie, jakim je widział (autor), proste — może raczej prostackie — rubasne, prymitywne, może jeszcze starotestamentowe, nawet pogańskie, ale szczerze w wyrazie ową szczerością wprost brutalną”. I podpis: Ks. dr Stanisław Bełch, asystent kościelny „Veritasu” (wydawcy książki). Z niebezpieczeństwa takiego odczytania „Przy granicy” zdawał sobie sprawę autor i dlatego grzechy bohaterów opowieści i te z komór i te z pól i lasów ukazane są we wzorowej oprawie oburzenia starszych i wyrzutów sumienia młodych grzesznic.

Książka przynosi zbeletryzowany opis roku obrzędowego w rodzinnych stronach autora tj. w Beskidzie śląskim, w zawężeniu do trzech wsi: Istebnej, Jaworzynki i Koniakowa, tuż przy granicy dzielącej państwa, ale nie starodawne wspólne zwyczaje. Część druga, „bolesna” przesuwają się poprzez Zaduszki do Matki Boskiej Gromnicznej i przynosi dwa opisy śmierci starych góralek oraz relację o tragicznej przeprawie przez „zieloną” granicę młodego Antka, wędrującego na wesele przyjaciela. Jest w niej także smutna opowieść o Janku, który runął ze skrzypkami do spienionego potoku zwabiony na kładce przez „utopce”. I jak żebraczka Chajtula „poszła do niebiczka”. Część trzecia „chwałebna” mówi o bohaterskiej postawie górali beskidzkich w czasie okupacji i kończy się wykazem nazwisk ofiar terroru na zbiorowej mogile na cmentarzu w Istebnej.

„Przy granicy” pisał Łysek obmyślonym przez siebie „sposobem” to znaczy zasadniczo językiem literackim zabarwionym regionalizmami; gwara występuje w dialogach i tekstach piosenek. W praktyce ogarnia to jednak większość tekstów i utrudnia czytanie tej i dalszych książek Łyska tym wszystkim, którzy aprobują wtręty gwarowe w „Chłopach” Reymonta i „Na Skalnym Podhalu” Tetmajera, ale nie mogą ich przełknąć u Orkana czy Vincenza. Tracą na tym niewątpliwie, bo gwary są nieocenionym łącznikiem ze staropolszczyzną i szeroko pojętym folklorem. Tak się jednak smutnie układa, zwłaszcza na Emigracji, że miłość do tradycji ludowych wyładowuje się w baletowych kostiumach i tańcach „Mazowsza” czy „Śląska”, a załamuje na granicy tekstów piosenek. Nie bez gorczy myślę, że gdy dzieło „żywobycia” Pawła Łyska dostąpi ułaskawienia w PRL-u opowiadania jego staną się librettami widowisk i słuchowisk, tracąc zawarty w nich sens epicki.

Po ogniwie pierwszym — „Przy granicy” — zachęcony dobrymi recenzjami Łysek wydał „Twarde żywobycie Jury Odcesty”, opowieść o gaździe spod Istebnej, dokument przemian społecznych, dokonujących się nie tylko w Beskidzie. Przez książkę przepływa nurt epicki. Takich gaźdów nie spotyka się już gromadnie pod górą Baranią i skończyło się już takie owczarowanie-gazdowanie. Jura, domorośli filozof, zgnębiony złożonością świata, był już zapewne „ostatnim”, jak przystoi bohaterom epickich opowieści. Epicka jest też intencja odtwarzania obrazów życia, odchodzącego w nieodwracalną przeszłość i przekazania rzetelnego i pełnego obrazu dawnego obyczaju.

Trzecim ogniwem cyklu beskidzkiego jest „Marynka, cera gajdosza” (kobziarza), „służka u bogatego siedłoka na Zaoziu”, opowieść wydana w roku 1973, powtarzająca w wersji odmienionej obraz „szkubaczki” (skubania pierza), swatów, wesela i poprawin. Jest to najpogodniejsza z książek Łyska, równie popularna jak „Twarde żywobycie”, powszechnie znane przynajmniej z atrakcyjnego tytułu!

Kilkakrotne odwiedziny stron rodzinnych odświeżyły i wzbogaciły repertuar przysłów, pieśni i realiów śląskich. Na ich pożywe

wyrósł ostatni tom śląskich opowiadań: „Jano i jego zbójniczy kamraci”, najbardziej vincenzowski, najgłębiej sondujący związki chrześcijaństwa z podglebiem pogańskim. Sam autor pisał do mnie (4. I. 1977) o swojej nowej książce, poprzedzonej rozległą lekturą literatury, o „tę etnograficzno-socjologicznym, historycznym [...]”, wszystkich aspektach życia człowieka beskidzkiego. [...] Pracując nad zbójnictwem w Beskidach i na Słowacji, zebrałem z wielkim trudem sporo materiału tak historycznego jak legendarnego zawartego w opowieściach i piosenkach dotyczących życia „szumnych chłopców zza buka”, jak zbójników w Beskidzie nazywano. I tak powstał „Jano i jego zbójniczy kamraci”.

Na rok przed tym listem podzielił się Łysek zwięźle podaną wiadomością o przebytej właśnie operacji i diagnozie: rak kiszki. „Jak długo da mi Bóg pożyć, o tym wie tylko Opatrzność”. W kilka miesięcy potem, systematyczny i przewidujący, przysłał autobiografię z dopiskiem: „Może przyda się na jakieś podzwonne”. O pracy nad „Janem” donosił: „Począłem’ tę książkę w prawdziwych boleściach, bo większa część została napisana na łóżu szpitalnym, a reszta po powrocie ze szpitala. Każde poruszenie się lub zgięcie przy maszynie do pisania, powodowało boleści brzucha, tak że musiałem siedzieć prawie że 'na baczność'. No, ale dzięki Bogu rzecz jakoś skończyłem”. Nie dożył jednak ukończenia następnej książki, opowieści o zbójnikach, którzy przyłączyli się na Rusi Zakarpackiej do grupy Mikoły Szuhaja. Dzielił się ze mną wiadomościami o postępie prac do ostatnich tygodni życia, a w liście z 6 grudnia roku ubiegłego pisał: „Zbliżają się Godnie Święta i tu człowiek, zamiast się tym cieszyć, to się smuci, bo może będą to Święta ostatnie! Mój Boże, a tak wiele pomysłów snuje mi się w głowie: tyle by się jeszcze chciało zrobić, napisać, przeczytać, z tylu ludźmi spotkać, by choć się pożegnać, a tu nici żywota już są pod nożycami Parek: już nimi manipulują, już szukają, którą nić przeciąć pierwszą, a którą się jeszcze pobawić, by potem z tym jeszcze większym cięciem, ją przerwać. Ale człowiek choć ma czas przyglądać się tej tragicznej zabawie i widzieć na własne oczy, jak się to odbywa”... „Człowiek mija i to coraz prędzej”.

W czerwcu br. przeszedł czwartą poważną operację, a po powrocie do domu, na trzy tygodnie przed zgonem, napisał do mnie na maszynie długi list, dzieląc się wrażeniami z dokładnego przeczytania moich „Szkiców”. O stanie zdrowia jest w nim tylko krótka aluzja. Potem, po długich tygodniach milczenia, przysłała spóźniona wiadomość o zgonie w dn. 15 lipca w Huntington (Long Island). Prawdopodobnie zmarł w wybudowanym przez siebie „Beskid Ranch” na wzgórzu otoczonym lasem przypominającym mu rodzinne strony. Tak o nim pisał: „pół jochu trawnika i joch piasku”, „mam i parę drzewek owocowych, których trzeba strzec w zimie przed dzikimi głodnymi królikami, a latem i jesienią przed wiewiórkami i inną gawiedzią, która szturmuje na zielone jeszcze a potem dojrzałe jabłka. Ze smakuja im tylko pestki, więc nagryzają owoc do połowy, i tak

niszczą nasz mały sad”. Tak właśnie rak drążył jego zdrowy góralski organizm.

Niepodobna pominąć milczeniem paraliterackiej działalności Pawła Łyska jako profesora Queens College of the City University of New York. W roku 1973, jak pisze jego amerykański biograf dr med. Jan J. Danek, „wprowadził pełny program wykładów i zajęć z zakresu języka polskiego oraz wykłady polskiej literatury emigracyjnej, *creative writing* oraz dział tłumaczeń z języka polskiego na angielski”. Tam właśnie uczniowie jego przetłumaczyli „Przy granicy”, wydane przed kilku miesiącami w Oficynie Poetów i Malarzy pt. „At the Border” z przedmową prof. Thomasa E. Birda i posłowiem pisarza śląskiego Władysława Oszełdy. Z tym samym prof. Birdem zainicjował „The Queens Slavic Papers”, których tom I-szy wypełniły artykuły o „Polish literature in exile”, rzecz bez precedensu. Po przejściu na przedwczesną emeryturę (z powodów zdrowotnych) dom w Huntington „służył jako przemiła sala wykładowa dla grup studentów, wiernych swemu kochanemu profesorowi, który prowadził dla nich specjalne zajęcia”. Emigracja doceniła jego zasługi, przyznając mu kilka nagród (m.in. Fundacji Kościelskich w Genewie i Jury *Wiadomości*) a w roku 1976 Polsko-Amerykańskie Towarzystwo Lekarskie „Medicus” odznaczyło go złotym medalem Tysiąclecia Polski, jako „dobrego syna Polski, wybitnego pedagoga i wielkiego humanistę”. Był nim *usque ad finem*.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

7 września 1978

PRZEMIANY

PISMO POLSKIEJ PARTII SOCJALISTYCZNEJ
Wydaje Komitet Główny PPS w Niemczech.

ARTYKUŁY, OPINIE, WIADOMOŚCI I OCENY Z KRAJU.

Ukazuje się od roku 1974 raz na dwa miesiące.

Prenumerata roczna razem z przesyłką DM 15,00 lub równowartość.

Przesyłka lotnicza do USA i Kanady — dopłata DM 10,00

Do Australii — dopłata DM 15,00.

Cena numeru pojedynczego (16 str.): DM 1,00, podwójnego: DM 2,00

Zamówienia prosimy kierować:

T. PODGÓRSKI — 8 MÜNCHEN 40, UNGERERSTR. 47.
W. GERMANY

Wołanie na puszczy

W sprawie reklamy

Polska wymaga reklamy. Pisałem już o tym i nadal to twierdzę, choć w ocenie co jest, a co nie jest dobrą reklamą różnię się na pewno zasadniczo od nieszczęsnych propagandzistów Polski Ludowej. Moim banalnym zdaniem najlepszą propagandą w świecie posiadającym jeszcze wolność słowa i dyskusji jest prawda — cała, kontrowersyjna z natury i złożona prawda o faktach — nie zaś wymyślone i w wiele figowych listków zaopatrzone, a mimo to naiwne i nieprawdopodobne tezy, szerzone przez przeróżnych Broniarków, Stefanowiczów, Janiszewskich, Krasickich, Winiewiczów, Rolickich, Osmańczyków, Głębińskich, Albinowskich, Górnickich, Ramotowskich *e tutti frutti*. Polska bądź co bądź więcej ma mieszkańców niż Szwecja, Dania, Norwegia, Finlandia, Islandia czyli wszystkie kraje skandynawskie razem wzięte, historię ma niezwykłą, położenie też, jest jedynym jednolicie a żarliwie katolickim krajem w bloku komunistycznym, słowem — na jaki taki rozgłos i reklamę zasługuje. Tymczasem o Polsce w zachodnim świecie ludzie nie wiedzą absolutnie nic, lub też — co gorsza — przechowują stare na nasz temat bajki i stereotypy. Magnetofonowa, śmiesznie samochwalcza „propaganda” Broniarków i Stefanowiczów z jednej strony, rzewne a mdłe, anachroniczne chłopomaństwo „Cepelii” i instytutów „polskiej kultury na obczyźnie” z drugiej, wreszcie szerzony przez niechętnych zagraniczników obraz Polaków, szlacheckich szowinistów, tępych nacjonalistów i antysemitów z trzeciej — a w sumie mur bzdury, niewiedzy i międzynarodowej głupoty, którym otoczony jest nasz biedny kraj ściśle i bez luk, mur budowany zapamiętałe z zewnątrz i od wewnątrz. Głupstwo rozum zjadło, zaiste!

Przez ten mur czasem się coś jednak przedrze. Tak na przykład niedawno ukazała się po niemiecku (wydawnictwo Kaiser-Grünewald) książka Andrzeja Micewskiego „Katholische Gruppierungen in Polen”, będąca historią PAX'u i „Znaku” na

przestrzeni ostatnich lat trzydziestu. Wetknąłem tę książkę (choć nie zawsze się z nią zgadzam — na tym właśnie polega demokracja) wielu cudzoziemcom i rezultat był wręcz nadspodziewany: oświadczyli jednomyślnie, że z pracy Micewskiego dowiedzieli się o Polsce więcej niż ze wszystkich innych publikacji ostatnich lat czterdziestu razem wziętych, że na miejsce obrazu jakiegoś upokarzającego, martyrologicznego pustkowi, w którym bezkarnie panuje terror i błędzą białe niedźwiedzie, ujrzeli żywą krainę żywych ludzi, gdzie nawet w okresie stalinizmu ścierały się intensywne a głębokie prądy ideowe i namiętne patriotyczne ambicje polityczne. Ubolewano tylko, że książka ukazała się jedynie na obszarze niemieckim, pytano o wydanie anglo-amerykańskie, zaś na wiadomość o przygotowywanym wydaniu polskim (paryska „Libella”) prosiło mnie o nadesłanie wycinków z prasy krajowej, jako że książka tak sumiennie i głęboko traktująca o niezwykle istotnych problemach i fragmentach życia narodo-wego wywoła na pewno w Polsce ogromne zainteresowanie, falę dyskusji, kontrowersji, uzupełnień. Z absolutnym za to niedowierzaniem przyjmowano moją odpowiedź, że książka w ogóle do kraju nie dotrze, będzie przez władzę zbojkotowana, nikt się o niej nie dowie (chyba z *Wolnej Europy*), dobrze jeszcze, jeśli Autora nie spotkają szykany czy przykrości za to, że ośmielił się na własną rękę powiedzieć coś do sensu i przypomnieć sprawy minione... Uznano mnie, jak zwykle, za niepoważnego maniaka — tak to święta prawda wydaje się czasem dziwaczna i nieprawdopodobna. Święty Mroźku, zmiłuj się nad nami!

Inny przykład, a los jego bardziej jeszcze jest żałosny, to praca Władysława Bartoszewskiego o okupacji „1859 dni Warszawy”. Książkę wydał Instytut „Znak” w Krakowie po przeróżnych interwencjach cenzury. 30.000 egzemplarzy znikło z księgarń po paru dniach, drugiego wydania zabroniono, potem z kolei zabroniono pisanie o niej (patrz „Dokumenty cenzury”). Tymczasem, gdyby któryś z naszych „propagandyistów” miał zielonawe choćby pojęcie o rzeczywistej propagandzie, to książkę Bartoszewskiego wydano by na koszt państwa we wszystkich językach — opłaciłoby się to Polsce bardziej, niż utrzymywanie przez sto lat za granicą Broniarków, Głębińskich, Kołodziejczyków i Albinowskich!

Jeszcze dziwniejsze były losy rewelacyjnej książki Kazimierza Moczarskiego „Rozmowy z katem”. Rzecz tę, wbrew elementarnemu zdrowemu sensowi, przetrzymywano w wydawnictwie latami, nie pozwalając też na wydanie jej za granicą (a zgłaszała się... Niemcy). W końcu jednak, po śmierci na różne sposoby zadrażonego Autora, rewelacyjne to świadectwo przebiło się jakoś, stając się w końcu *best-seller'em*. Ale to rzeczywiście przypadkiem i wbrew najlepszej negatywnej woli naszych szefów „propagandy”. Wbij zęby w ścianę!

Dziwne to sprawy, jeszcze dziwniejsze ich tło. Komuniści w ogóle nie lubią historii i to historii... własnej. Nie wolno np. u nas pisać o twórcach Polski Ludowej, o Bermanie, Mincu,

Zambrowskim, Mazurze, Wolskim, Spychalskim, Gomułce, Cyrankiewiczowi, o Bierucie zaś tylko z rzadka i tajemniczo. Manifest Lipcowy to druk niecenzuralny, publikowany czasem w fragmentach. Znikli zupełnie Rokossowski, Radkiewicz czy Różański, Kasman, Korczyński, Józwiak czy Alster, nigdy nie było całej masy ludzi i konfliktów, a także dat w rodzaju 1956, 1968, 1970, 1976. Podobnie zresztą jak u Wielkiego Brata, gdzie dziś nie ma Trockiego, Zinowiewa, Kamieniewa, Tuchaczewskiego, Blüchera, Berii, Chruszczowa, Mołotowa, Kaganowicza i setki innych. Nie ma i już — po prostu nie istnieli!

Skąd bierze się ta historyczna „dyskrecja”, czy ze skromności? Raczej chyba nie. Myślę, że z dwóch względów: pierwszym jest obawa o osłabienie władzy — nie należy przypominać ludziom, że ktoś był, ale się zbył, bo zaczną snuć refleksje o przyszłym losie obecnych Nieśmiertelnych; a druga rzecz — obawa przed odpowiedzialnością, bo jeśli ktoś był na górze a potem go potępiono, wniosek z tego, że i dziś można by... Milcz serce!

W istocie w ustroju naszym każdy władca czy autorytet zostaje w końcu wykopany, potępiony lub ukarany, ale raczej nie za to, co w istocie złego zrobił. Na ogół unika się wyszczególniania listy istotnych win — wyjątek stanowił sławny referat Chruszczowa.

Ponieważ zawodowo zajmuję się rzeczami bezużytecznymi i nierealnymi, zastanawiałem się o co np. oskarżyłbym Gomułkę, gdyby ukonstytuował się jakiś narodowy Trybunał Stanu, rozpatrujący jego winy. A oto główne punkty oskarżenia: a) Prześladowanie po wojnie AK'owców i członków innych patriotycznych organizacji (zarzut o zabójstwa, sfingowane procesy i wykonane wyroki śmierci można by ewentualnie wycofać, jako że wykraçało to chyba poza kompetencje Gomułki a i sam w końcu padł ofiarą tego procederu); b) Dopuszczenie do zniszczenia drobnej wytwórczości, rzemiosła i usług na poniemieckich Ziemiach Zachodnich; c) Zainicjowanie z pobudek pozaekonomicznych budowy huty „Warszawa”, deficytowej i bezsensownie ograniczającej rozwój miasta ku północy oraz zanieczyszczającej powietrze, zatykającej płuca stolicy. To by były winy oskarżonego Gomułki Władysława (vulgo „Wiesław”) sprzed jego niezamierzonego odsunięcia i aresztowania, które będzie zresztą policzone na jego korzyść. A oto winy z okresu 1956-1970: a) Sabotowanie koniecznej dla kraju międzynarodowej współpracy gospodarczej; b) Uniemożliwienie (przez niewiedzę i brak kwalifikacji) rozwoju turystyki, usług, hotelarstwa, komunikacji; c) Powołanie dyletantów na kluczowe stanowiska w państwie i gospodarce (Kliszko, Tokarski, Strzelecki, Jaszczuk i wielu innych); d) Zmarnowanie przez rozmyślny, złośliwy sabotaż 1000-letniej rocznicy Państwa Polskiego: międzynarodowe uroczystości łącznie z planowaną wizytą Papieża w Częstochowie utrwalić mogły właściwy obraz Polski w świecie na wiele dziesiątków lat; e) Dopuszczenie do haniebnej i kompromitującej Polskę na długo emigracji ludzi pochodzenia żydowskiego; f) Wzięcie bez sprzeciwu (ba, z entu-

zjazmem nawet) udziału w rosyjskiej napaści na Czechosłowację 1968; g) Wygłaszanie przemówień, które ośmieszały Polskę kompletnie. *Et ceatera.*

Na korzyść oskarżonego Gomułki Władysława zalicza się zdobycze Października 1956 (rezygnacja z kolektywizacji rolnictwa, ukrócenie gwałtów Bezpieczeństwa, wypuszczenie z więzień wielu ludzi, w tym i Prymasa Polski), aczkolwiek trudno stwierdzić komu w istocie zawdzięczać należy te zdobycze i jaki był w nich udział oskarżonego. Biorąc pod uwagę wszelkie okoliczności sprawy, a także kompletny brak jakiegokolwiek skruczy ze strony oskarżonego Gomułki Władysława, sąd orzeka...

Marzenia, marzenia! Żadnego procesu nie będzie, choć wyrzucanie było, jest i będzie — tak toczy się nasz świat, tyle że bez reklamy — po cichu. W demokracji odchodzi się na emeryturę z honorem — w antydemokracji w zapomnienie idzie się bez honoru, z utajonym kopniakiem. To już lepszy jest los nas, opozycjonistów, bo choć nas wylewają, pozostajemy sobą. Biedne komuchy drogo potem płacą za swój okres władzy — płacą niesławą i zapomnieniem. A swoją drogą kraj bez współczesnej historii to tylko puste miejsce na mapie — i jakże tu robić mu reklamę?

I można też zapytać, przed kim właściwie, dla kogo i którejdy ma być realizowana ta reklama? Kraje, gdzie istnieje wolna prasa, książka, radio, telewizja, gdzie toczy się publiczna dyskusja a *publicity*, czyli właśnie reklama, ma ogromne znaczenie polityczne, są dziś na świecie w mniejszości. Na miliardowych połaciach globu, w Chinach, Związku Sowieckim, środkowowschodniej Europie od Łaby do Bugu, w Wietnamie, Kambodży, Indonezji, Korei północnej, Albanii, wielu krajach Afryki etc. etc. nie ma prasy (zastępuje ją powielany pod wielu tytułami biuletyn rządzących partii), nie ma opinii, bo nie ma informacji, nie ma dyskusji ani konkurencji, nie ma reklamy poza reklamującą się nieustannie władzą, słowem jest absolutnie, ale to absolutnie inaczej niż w Paryżu, Londynie lub Nowym Jorku. Stara teza Mao Tse-tunga o podziale globu na „miasta” i „wsie” sprawdza się tu nieoczekiwanie; wschodni socjalizm buduje wielką, głąchą, zamkniętą wieś, kapitalizm, będący już w mniejszości, lubi zgiełk, konkurencję i sensację — ale własną. Nasuwa się więc pytanie, kto właściwie ma kogo reklamować: mniejszy większego?! I w zasadzie po co, skoro nic z tego dla podzielonego świata nie wynika? „Zbrodnia wymaga reklamy” — to był tytuł starej angielskiej powieści sensacyjnej. Może i wymaga, ale na Zachodzie — na Wschodzie nie. I to mało istotna zbrodnia, bo na przykład „Mein Kampf” Hitlera długo był niedostrzegany i nie miał żadnej reklamy, zrobiły mu ją dopiero maszerujące tam i sam poprzez graniczne szlabany zmotoryzowane oddziały ze znaną piosenką na ustach: „*Die Strasse frei den braunen Batalionen*”, przy czym droga owszem, raczej była wolna. A dzisiaj? Jeżdżąc po Europie Zachodniej bardzo trzeba uważać, aby nie stuknąć się o graniczny szlaban, bo tuż tuż, o miedzę od

Wiednia czy Kopenhagi zaczyna się niezmiernie, a ściśle odgraniczona Strefa Milczenia I Niewiedzy. Czyż potrzebuje ona reklamy, czy słoń w menażerii potrzebuje reklamy?!

Mimo to, choć „Europa” tak się skurczyła, pozostała sama dla siebie wielkim miastem, toteż my, prowincjusze z socjalistycznej wioski snobujemy się jeszcze (stary, przedwojenny nałóg!) na zachodnią reklamę: łechcąc nas, gdy o nas piszą w Paryżu lub Londynie, „źle czy dobrze, aby z nazwiskiem”, jak mawia kolega Koźniewski. Z satysfakcją dowiedziałem się, że paryski Plon wydał książkę Gerarda de Villiers z serii „S.A.S.”, zatytułowaną „Le printemps de Varsovie”. Autor, ukrywający się pod tym nazwiskiem, pisze polityczno-sensacyjne trillery; bohaterem jest wspaniały agent C.I.A. austriacki ksiądz Malko Linge, który przynosi się z kraju do kraju (chodzi przeważnie o kraje raczej dzikie) i załatwia tam Amerykanom (?! — mój Boże, czyż oni chcą jeszcze coś załatwić?!) najniebezpieczniejsze sprawy, romanując przy okazji ze wszystkimi możliwymi lub niemożliwymi paniami. Książki te są rozrywane, Gerard de Villiers ma bowiem niezwykle poczucie aktualności i działa błyskawicznie, umieszczając akcję zawsze w takim punkcie globu, gdzie niedawno wydarzyła się jakaś brutalna draka polityczna. Wystarczy zresztą przytoczyć parę tytułów: „Dossier Kennedy”, „A l'Ouest de Jerusalem”, „Les trois veuves de Hong-Kong”, „Les pendus de Bagdad”, „Massacre à Amman”, „Mort à Beyrouth”, „Kill Henry Kissinger”, „Roulette cambodgienne”, „Furie à Belfast”, „Guépier en Angola”, „Le trésor de Negus”, „Mission impossible en Somali” etc. I wszędzie niezła rzekomo znajomość faktów, topografii terenu i nazw ulic, wszędzie po parę zdań w języku danego kraju, bowiem niezwykłony agent C.I.A. (gdzie te czasy i marzenia, mój Boże!) zna wszelkie mowy dzikich narodów, polską też.

Rzuciłem się więc na „Wiosnę w Warszawie” jak mucha na świeże guano. Jest to bujda piramidalna, aż dech zatyka. Mamy tu potężną organizację „dysydentów”, działającą też po kościołach i związaną z grupą „Znak” (!), na czele jej stoją m.in. Wanda Michnik (zmiana płci?!), a także demoniczny prowokator Roman Ziolk, który jest zarazem sławionym przez prasę (?!) bohaterem AK i utajonym założycielem partii komunistycznej, którą to partię założył nie tylko z Marcelim Nowotką, Mołojcem i Finderem (bądź co bądź brawo za informację!) lecz również z niejakim Katinem i panią Maryzią Rutkieswiz. Dysydemtom przeciwstawia się straszliwa tajna policja, która bez przeszkód torturuje i morduje ludzi, zamrażając ich żywcem w stawie i wrywając im zęby. Dysydentów broni za to zajadle warszawska placówka C.I.A. oraz Ambasada Amerykańska, wywołując ich w końcu charterowym samolotem z Okęcia za granicę (gdybyż to „der kleine Moritz” wiedział, jak Amerykanie w Warszawie trzęsą się ze strachu przed najłżejszymi kontaktami ze środowiskiem „dysydentów”, aby tylko nie urazić władz oraz Wielkiego Radzieckiego Sojusznika! Mój Boże!).

W Warszawie zimno jest w dodatku jak na biegunie, zaludnia ją zaś tłum nędznie ubranych i stale pijanych ludzi, polujących nieustannie na dolary (małe sprostowanie: ludzie w Warszawie ubrani są wcale nieźle, w myśl poszlacheckiej zasady „zastaw się, a postaw się”, pijani bywają, owszem, o co walnie się stara drenujący złotówki państwowy monopol, również dolar staje się obowiązującą walutą dzięki usilnym staraniom tychże władz). Wszędzie leje się wódka WYROBOWA i słychać okrzyki „NAZ DROWIE”, zwłaszcza dzieje się to na „wielkiej arterii handlowej” zwanej Krakowskie Przedmieście, zaś na Bazarze Różyczego były ksiądz nazwiskiem Jacisk Mikoławska sprzedaje za dolary kilogramy kawioru, stanowiącego mimo wszystko ulubiony przysmak Polaków.

Bujda bujda, ale czyta się, boć Autor chyba był w Warszawie ze trzy dni, mocno zmarzył lecz popracował, coś niecoś się dowiedział, tyle że sporo pokręcił, ale jak na garbatego w Krainie Dzikich to i tak wcale nieźle, szkoda zresztą, że nie trafił na mnie, bo za parę dolarów powiedziałbym mu, w którym kościele i konfesjonale ukrywa się ksiądz, będący eklezjastycznym łącznikiem między masową lecz prześladowaną organizacją „Znak” a podziemną armią dysydentów oraz nie za pięć doliców, ale za trzy kupiłbym mu bilet na film Wajdy „L'Ordre de marbre” (!).

Tak jednak czy owak reklamę mamy niegorszą od Etiopczyków, Somalijszyków i Angolczyków. Źle czy dobrze, aby z nazwiskiem (choćby przekręconym). Mamy też reklamę w innej książce, w romansie Josette Bruce „OSS 117 joue la polonaise” (Presse de la Cité). Tutaj również znakomici agenci amerykańscy penetrują bez większych przeszkód Warszawę (ciągle te marzenia!) ścierając się z chińskimi porywaczami oraz francuskimi handlarzami narkotyków. „Gdy Sobieski był sułtanem...”.

Reklama jest dźwignią handlu, a reklamę ma każdy taką, jaką sobie zapracował. Nie chcemy Bartoszewskiego, Micewskiego, Moczarskiego — to mamy Gerarda de Villiers i panią Bruce. Każdemu według jego zasług a natura nie znosi próżni. Sam chciałeś, Grzegorz Dyndało a ukarany za sabotaż nie będziesz.

Czego sobie nie życzę.

KISIEL

Trzeba przeczytać wstęp Georges Pillement do tej książki i starannie obejrzyć reprodukcje obrazów Kosmowskiego, aby sobie wyobrazić kim jest ten człowiek: Polak, żołnierz ostatniej wojny, biorący potem udział w polskiej grupie *résistance* we Francji, które całe życie — tak po zakończeniu działań wojennych jak i przed wojną — poświęcił malarstwu.

Józef CZAPSKI

Książki

Piękna książka *

„...je ne suis qu'un pauvre impressionniste” — „Dajcie mi spokój, jestem tylko biednym impresjonistą”. Tak miał powiedzieć Bonnard, kiedy ze zgorzaniem go pytano dlaczego nie dołącza do rewolucji kubistycznej. Bonnard był mądry, Bonnard szedł swoją, naprawdę swoją drogą. Wykorzystał, jak przeważnie my wszyscy, kierunki abstrakcyjne ale nie odstąpił nigdy od swego widzenia. Myślę o tym patrząc na piękną książkę z 52 kolorowymi reprodukcjami obrazów Ernesta Kosmowskiego. Kosmowski jak Bonnard wykorzystał prądy, które w naszej epoce dotknęły nas wszystkich, ale pozostał wierny sztuce, która swe korzenie czerpie z impresjonizmu i postimpresjonizmu, aż po wielkiego Bonnarda. Ta zawsze żywa u Kosmowskiego tradycja stworzyła malarstwo zadziwiająco, powiedziałbym, szczęśliwe nie tylko malarsko ale po ludzku, uczuciowo. Jego obrazy robią nie raz wrażenie szybkiej ilustracji, są znów inne — o wiele głębiej przepracowane. W tym artyście, który tu we Francji znalazł i przyjaciół i wyznawców francuskich, znać przecie, że długie lata żył w kolebce impresjonizmu, w Honfleur. Przecie tu żył i malował Boudin, pierwszy nauczyciel Moneta, o którym Corot powiedział, że jest królem niebios, które tak pięknie malował.

Wyszliśmy chyba z czasów, czy zaczynamy wychodzić (?) kiedy panowało przekonanie, że każdy artysta musi coś nowego *wy-myślić*, co by nie było podobne w niczym do przeszłości; dziś może zaczynamy naprawdę rozumieć, że tradycja malarska ma znaczenie. Obrazy Kosmowskiego bliskie abstrakcji mają również tę samą gamę szlachetną, ale wpływ kubizmu ograniczył się tu przedej do pewnego rodzaju stylizacji. Osobiście zdaje mi się, że obraz nazwany „L'estuaire” z 1963 roku daje najwyższe pojęcie wysokiego gatunku tego malarstwa.

* Georges Pillement, *Enest Kosmowski*. Str. 63 i 1 nlb., 52 reprodukcje kolorowe. Wyd. Ed. Visages du Monde, Paryż, 1978.

Nadesłane nowości wydawnicze

- „Kamię Was tym, czym sam żyję”. Ojcowie Kościoła komentują ewangelie niedzielne roku A. Opracował ks. Marek Starowieyski, przedmowa ks. Kardynał Gabriel Marie Garonne. Str. 399 i 1 nlb. (Wyd. Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, seria „Ojcowie żywi”, t. I. Kraków, 1978; cena zł. 76).
- MALIŃSKI (Mieczysław, Ks.). *Chodzący po morzu*. Str. 250 i 2 nlb. (Wyd. Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, Kraków, 1977; cena zł. 60).
- ŚWIEŻAWSKI (Stefan). *Człowiek i tajemnica*. Str. 282 i 2 nlb. (Wyd. Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, Kraków, 1978; cena zł. 76).
- Vademecum*. Dokumenty, relacje, informacje i statystyki opracował Jan ze Sztokholmu. Str. 46 (powieści). (Wyd. „Jedność”, Sztokholm, 1978; cena zł. 10 lub Krs 5).
- Puls nr 1*. Nieregularny kwartalnik literacki. Str. 71 i 1 nlb. Łódź, 1977. Redagują: Jacek Biezein, Tomasz Filipczak, Witold Sułkowski, Tadeusz Walendowski. (Wyd. przez Wydawnictwo „Jedność” w Sztokholmie jako pozycja nr 11 w serii „Polski Samizdat”; cena zł 50 lub dol. 4,50, Krs. 20).
- Liga Niepodległości Polski — Walny Zjazd 14-15 styczeń 1978 r.* Str. 36. (Wyd. Główny Komitet Wykonawczy Ligi Niepodległości Polski w Londynie).
- PORAY-WOJCIECHOWSKI (Witold). *Passaty i sztormy*. Fragmenty pamiętnika, wiersze. Przedmowa Leon Koczy. Str. 68 i 4 nlb. (Wyd. nakładem Autora, Glasgow, 1978).
- BEDNARCZYK (Czesław). *Rosocha*. Wiersze. Str. 47 i 1 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1978).
- Välkommen till Sverige*. Str. 83. Teksty w języku polskim przeznaczone dla Polaków przyjeżdżających do Szwecji. (Wydanie V — Stowarzyszenia Wolnych Polaków w Szwecji, Grupa Kontaktowa Polskiego Ruchu Demokratycznego przy współpracy Östeuropeiska Solidaritetskommittén).
- PILLEMENT (Georges). *Ernest Kosmowski*. Album ze wstępem G. Pillement o życiu i twórczości artysty; 53 reprodukcje kolorowe obrazów z lat 1940-1977, reprodukcje afiszów i rysunków. Str. 63 i 1 nlb. (Wyd. Editions Visages du Monde, Paryż, 1978).
- DABROWSKI (Richard, dr). *Les maladies de civilisation*. Str. 205 i 3 nlb. (Wyd. Editions du Rocher, Paryż, 1978).
- Un philosophe traite de l'explosion du savoir*. Rozmowa z Jerzym Wojciechowskim przeprowadzona przez Derk Kinnane, opublikowana w *Informations UNESCO* No 73 (1978), str. 6-11. (Wyd. Organisation des Nations Unis pour l'éducation, la science et la culture, Paryż).
- SHNEIDERMAN (S. L.). *The River Remembers*. Str. 192. (Wyd. Horizon Press, New York, 1978; cena dol. 8,95).

DO PRENUMERATORÓW « KULTURY »

W związku ze stałą podwyżką cen we Francji nasza sytuacja staje się coraz trudniejsza, gdyż koszty druku, papieru, porta i opakowania wzrastają co rok o 30 %. I dlatego co rok musimy podwyższać prenumeraty, wiedząc, że nie wszystkich naszych Czytelników na to stać, ale nie mamy innego wyjścia. Zresztą nawet te podwyżki nie zawsze nam pomagają. Na skutek kilku dewaluacji dolara, które miały miejsce zaraz po ogłoszeniu nowych cen, ostatnio zaś na skutek katastrofального spadku dolara, nie osiągamy równowagi ceny frankowej. (Np. w Kanadzie za 35 dolarów otrzymaliśmy mniej niż wynosiła prenumerata przed dwoma laty, a przy dol. 40 otrzymujemy zaledwie F. 150,00 zamiast F. 160). Co prawda część Prenumeratorów dopłacała nam powstałą różnicę, za co serdecznie im dziękujemy. Redakcje pism francuskich są w tym szczęśliwym położeniu, że mogą ceny prenumerat i pojedynczych egzemplarzy zmieniać nawet co tydzień mając gros odbiorców we Francji. U nas sprawa przedstawia się zupełnie inaczej. *Kultura* rozchodzi się w ok. 60-ciu krajach, więc takie zmiany są niemożliwe. Nasi przedstawiciele, ze zrozumiałych względów płacą nam okresowo większe sumy — w rezultacie dewaluacji od lat tracimy wiele na prawie każdym czeku. Taka sama sytuacja jest jeśli idzie o prenumeratę *Zeszytów Historycznych*. Na pewno byłoby sprawiedliwiej gdyby wszyscy opłacali prenumeraty we Frankach Francuskich, ale praktycznie jest to bardzo trudne do wykonania. Zdajemy sobie sprawę, że w niektórych krajach, jak np. w Szwajcarii, w przeliczeniu na Franki prenumerata jest wyższa niż w innych krajach, ale tak jak nie mogliśmy, ze stratą dla nas, przewidzieć spadku dolara, tak samo nie mogliśmy przewidzieć wzrostu wartości F. Szw.; gros prenumeratorów płaci z góry za rok i nasz „zarobek” nie był tak wielki jakby się to mogło wydawać. W całej Europie ceny abonamentów na zagranicę są o 20-25 % wyższe niż w kraju wychodzenia — a my liczymy tylko efektywne porto.

W obecnej chwili ustaliśmy ceny prenumerat na rok 1979 jak następuje:

KULTURA

We Francji: Prenumerata roczna F. 170,00; półroczna — 90,00.

Za granicą: Prenumerata roczna — F. 180,00; półroczna — F. 95,00.

Cena numeru pojedynczego — F. 17,00.

Cena numeru podwójnego — F. 28,00.

ZESZYTY HISTORYCZNE

Prenumerata roczna — F. 160,00.

Prenumerata dla prenumeratorów *KULTURY* — F. 140,00.

Cena zeszytu — F. 40,00.

W listopadowym numerze podamy ceny w poszczególnych krajach, z tym, że gdyby w dalszym ciągu następowały dewaluacje będziemy musieli odpowiednio ceny rewaloryzować.

REDAKCJA

Humor krajowy

- Czego dowiódł kosmiczny lot Hermaszewskiego?
- Że łatwiej oderwać się od ziemi niż od Związku Radzieckiego...

- Dlaczego w Polsce jest tak źle?
- Bo zaszła pomyłka w zarządzeniu: zamiast walki z alkoholem zarządzono walkę z zagrychą...

- Dlaczego od tylu lat mówi się w Warszawie o regulacji Wisły i jak dotąd niczego nie zrobiono?
- Bo ogromnie trudno jest sięgnąć dna nie odrywając się od koryta...

- Jakie powstanie było dla Polski najtragiczniejsze?
- Powstanie Związku Radzieckiego!

- Jaki jest ideał lojalności wobec Partii?
- Kupować *Trybunę Ludu* za dolary...

- Jaki jest szczyt rozrzutności?
- Podłożyć komuś świnie...

- Jaka jest różnica między „Kolumbijką” (mieszanka kawy kolumbiskiej z kawą zbożową) a bombą neutronową?
- Nie ma żadnej. Jedna i druga niszczy człowieka — filizanka zostaje...

W tramwaju warszawskim awantura. Starszy, dystyngowany pan krzyczy: „Pan nie wie, kto ja jestem! Jestem kierownikiem sklepu mięsnego!”. — Stojący obok pasażer zwraca się do towarzysza: „To znany profesor uniwersytetu. Tylko że ostatnio cierpi na manię wielkości!”.

Kapitalizm, Socjalizm i Komunizm umówili się w kawiarni. Kapitalizm i Komunizm przyszli na czas, Socjalizm się spóźnia. Wreszcie wpada zady-
szani i tłumaczy, że musiał stać w kolejce po szynkę.

— Przepraszam, a co to jest kolejka? — zapytał Kapitalizm.

— Chwileczkę — przerwał mu Komunizm — co to jest szynka?

W Warszawie mówią, że karna ekspedycja członków ambasady sowieckiej zdemolowała — za karę — komputer w Urzędzie Planowania. Doszła bowiem do ambasady wiadomość, że gdy Gierek zadał komputerowi pytanie jak wyjść z kryzysu bez podwyżek i awantur — bezczelny mózg elektronowy buczał przez 69 sekund i wydał wyrok: zniszczyć wszystkie mosty kolejowe na Bugu!...

Podobno w czasie wizyty Gierka u zmarłego papieża Pawła VI — papież powiedział mu, że za wszystkie dowody dobrej woli Kościoła powinien wybudować w Polsce przynajmniej jeden nowy kościół.

— Najchętniej — odparł Gierek. Ale pod wezwaniem świętego Leonida.

— Proszę bardzo — zgodził się papież. — Tylko że o relikwie musicie się już sami postarać...

...I ciągle czekamy...

Zebrała Zofia HERTZ

NOWOŚĆ

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 296 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT CZTERDZIEŚTY PIĄTY

Zawiera m.in. prace: G. Jaworowskiego — *Nieznana relacja o grobach katyńskich*; A. Zielińskiego: *Korespondencja z Jerzym Stempowskim*; Ks. inf. T. Skalskiego: *Garstka wspomnień z mego życia (I)*; M. Krzepakowskiego — *Wspomnienia dziennikarza z czasów okupacji (Wilno 1939-1941)*; *Historyczne wywiady sprzed 40-tu laty* (prof. Olgierd Górka, poseł Z. Dreszer); Z. S. Siemaszki — *Stanisław Szabunia*; „*Nothing but Honour*” J. K. Zawodnego (Zbiorowa recenzja: Jan Ciechanowski, St. Korboński, Jan Nowak, Andrzej Pomian); RECENZJE, POLEMIKI, LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 35,00.

KRAJ — BLOK WSCHODNI

10-8-78

Od 1. 8. br. polscy turyści zmotoryzowani płacą koszty ewentualnych napraw samochodu w dewizach, a nie jak dotychczas w złotychkach. Koszty te bowiem obciążają obecnie konto dewizowe właściciela pojazdu; na wypadek przekroczenia konta, następuje uprzednia blokada dewiz. ■ Trudności w przemyśle chemicznym PRL. W wielkich zakładach są przerwy w pracy, jak np. w Azotach w Puławach i Wytwórni Tworzyw Sztucznych w południowej Polsce, spowodowane brakiem importowanych odczynników. Są trudności w przemyśle obuwniczym, spowodowane brakiem surowca. ■ W ZSSR w 1977 roku sprzedano około 1,5 miliona książek autorów polskich. Największą popularnością cieszą się klasycy: Kraszewski, Sienkiewicz, Prus i Orzeszkowa, z pisarzy współczesnych: Iwaszkiewicz, Putrament, Lem i Żukrowski. Chętnie jest kupowana także literatura przygodowa.

15-8-78

Port w Kołobrzegu rozbudowuje się. Powstają trzy nowe nabrzeża przygotowane do przyjmowania statków typu Ro-Ro. Pogłębione zostanie wejście do portu tak, że będą tu mogły zawijać statki do 150 m. długości, a moce przeładunkowe portu z obecnych 400 tys. ton na przełomie lat 70-tych i 80-tych wzrosną do miliona ton rocznie.

25-8-78

Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego PZL w Mielcu ma uruchomić produkcję, łącznie z amerykańską firmą „Piper”, nowego samolotu wielozadaniowego. ■ Według prasy krajowej najczęściej nielegalnych transakcji walutowych dokonuje się w Warszawie, w Łodzi, w Krakowie i na Wybrzeżu. Wartość tych operacji tylko w samej Warszawie obliczana jest na 10 mln. dolarów rocznie.

30-8-78

W Warszawie zmarł, w wieku 69 lat, Zygmunt Dziarmaga-Działyński, jeden z czołowych działaczy ONR przed wojną, a PAX'u po wojnie.

1-9-78

W Polsce odkryto w Lubstowie, woj. komińskie, nowe złoża węgla brunatnego o grubości około kilkudziesięciu metrów. Kaloryczność tego złoża jest znacznie wyższa od wszystkich dotychczas eksploatowanych w Polsce. ■ W Konkursie literackim na książkę-reportaż o ZSSR, rozpisany przez Książkę i Wiedzę w Warszawie, nie przyznano pierwszej nagrody, a jedną z dwóch nagród drugich otrzymała Anna Strońska za pracę „Nikt nie wysiada w Pietuszkach” oraz Zdzisław Domino za „Czas do domu chłopaki”. ■ Wyniszczenie zwierzyny w Polsce: w sezonie 1976/77 na 4.452 łosie, odstrzelono 860, na około 3,5 mln. zajęcy odstrzelono 590 tys., na 960 tys. bażantów upolowano 341 tys. Odstrzał kuropatw rośnie znacznie szybciej niż pogłowię tego gatunku. Na 64 tys. dzików odstrzelono ponad 45 tys. Wpływy dewizowe polskiego łowiectwa wyniosły około 20 mln. dolarów. ■ Redaktorem *Zapisu* został na miejsce Wiktora Woroszyńskiego Jacek Bocheński. ■ W Kaliszu zorganizowano międzynarodowy obóz językowy pod auspicjami UNESCO. 80 uczniów szkół średnich doskonalili tam znajomość języka rosyjskiego i literatury sowieckiej. ■ W Warszawie mówi się, że w PRL jest przygotowywany program wielkiej kampanii propagandowej

na polską emigrację zachodnią. Kampania ma służyć do zachęcenia emigrantów do intensywniejszego nabywania polskich towarów, a z drugiej strony ma zachwalać eksport wewnętrzny, jako najtańszą formę pomocy dla ludzi w Kraju. Idzie tu o zwiększenie zakupów dewizowych tzw. paczkowych darów dla rodzin. Mówi się też o fatalnej sytuacji aprowizacyjnej w wielu rejonach i miastach Związku Sowieckiego. Braki tam przybierają rzekomo proporcje wręcz niesamowite i grozi głód. ■ Nowa wersja Katynia. Na jednym ze spotkań nauczycieli gimnazjalnych z czynnikami partyjnymi padło zapytanie, co robić w sprawie Katynia, o który stale dopytują się uczniowie. Nauczyciele otrzymali następujące wyjaśnienie: zbrodnia ta dokonana została rzeczywiście w 1940 roku, ale zrobiły to ukraińskie oddziały, mszcząc się za prześladowania, których przedmiotem byli Ukraińcy w Polsce sanacyjnej. ■ Ciągłe półśrodki — w PRL podniesiono ceny skupu mleka o gr. 50 więcej za litr. Powszechne przekonanie rolników: ta podwyżka nie odegra żadnej roli jeśli idzie o zwiększenie hodowli krów. Jednocześnie Państwowa Komisja Cen podniosła cenę mączki ziemniaczanej z zł. 9,50 za kg, na zł. 15,00. Również ceny owoców i warzyw poszły ogromnie w górę. ■ Prasa krajowa donosi o ogromnych trudnościach przy odbiorze ziarna i lnu. Tysiące ciężarówek i ciągników czekają całymi dniami na odbiór. Świadczy to o kompletnej dezorganizacji central skupu.

5-9-78

Nakładem ukraińskiego wydawnictwa „Dnipro” ukazał się I-szy tom dzieł Prusa w języku ukraińskim. Całość obejmie pięć tomów. Są to pierwsze przekłady Prusa na język ukraiński.

14-9-78

Zmarł w Warszawie, w wieku 80 lat, Zenon Kosidowski, pisarz i eseista, m.in. autor „Opowieści biblijnych”.

15-9-78

Życie Gospodarcze podaje na podstawie czerwcowego spisu pogłowia o złej sytuacji na odcinku hodowli bydła. Pogłowiu wzrosło jedynie o niecały 1 % w porównaniu z marcem 1977 roku, a w indywidualnych gospodarstwach chłopskich nawet zmalało. ■ Ambasador PRL w Londynie, Artur Starewicz, został odwołany. Na jego miejsce przychodzi Jan Bisztyga, który w roku 1972 był wiceministrem Spraw Zagranicznych, a od 1975 roku na placówce w Atenach. A. Starewicz ma przejść do Instytutu Spraw Międzynarodowych w Warszawie na miejsce p. Dobrosielskiego.

ZACHÓD — EMIGRACJA

15-8-78

Tegoroczną nagrodę pisarską Stowarzyszenia Polskich Kombatantów przyznano prof. Wacławowi Jędrzejewiczowi za „Kronikę życia Józefa Piłsudskiego”, wydaną przez Polską Fundację Kulturalną w Londynie. ■ Skarb Narodowy w Londynie w roku 1977 zebrał 43,493.95 funtów, zaś Fundusz Pomocy Robotnikom w Polsce tenże Skarb Narodowy zebrał 28,468.00 funtów.

19-8-78

Na skutek coraz większej ilości fikcyjnych małżeństw ze Szwedami, zawieranych dla uzyskania prawa pobytu i pracy w Szwecji, mieszane małżeństwa są obecnie coraz surowiej kontrolowane. Ostatnio wydano ze Szwecji Polkę, która zawarła małżeństwo płacąc Szwedowi za to pewną sumę.

25-8-78

Paryski *Canard Enchaîné* podaje, że w Rzymie przed samym *conclave* doszło do bardzo ostrego starcia między Kardynałem Wyszyńskim a węgierskim Kardynałem László Lekai. László Lekai uchodzi za gorącego zwolennika polityki wschodniej Watykanu i entuzjastę posunięć arcybiskupa Casaroli. Starcie miało miejsce w czasie rozmowy na temat sytuacji Kościoła w Europie Wschodniej, spadku powołań na Węgrzech i zaniku autorytetu kleru w społeczeństwie węgierskim.

2-9-78

Zmarł nagle w samolocie, w drodze z Londynu do Genewy, dr Zygmunt Zawadowski w wieku 79 lat. Do chwili wybuchu wojny w 1939 roku był zastępcą Komisarza Generalnego w Gdańsku, następnie radcą poselstwa w Hiszpanii i w Portugalii, *chargé d'affaires* ambasady RP w ZSSR, długoletnim posłem RP w Libanie, a w ostatnich latach był ministrem Spraw Zagranicznych emigracyjnego rządu w Londynie.

5-9-78

Zmarł nagle w czasie audiencji u Papieża prawosławny metropolita Nikodem. Była to postać bardzo kontrowersyjna i opozycja rosyjska twierdziła, że współpracuje on bardzo ściśle z KGB, a nawet że ma rangę pułkownika NKWD.

7-9-78

Zmarł, w wieku 72 lat, ks. prałat Juliusz Stanisław Janusz, naczelny kapelan Oddziałów Wartowniczych i Technicznych przy armii amerykańskiej w Niemczech Zachodnich. Był ponadto proboszczem polskiej parafii w Mannheim.

9-9-78

Staraniem Federacji Uchodźstwa Polskiego w Szwecji odbył się w Sztokholmie koncert Renaty Bogdańskiej i Marii Drue z Londynu. Federacja zorganizowała ponadto w Sztokholmie dwa odczyty prof. Wiktora Sukiennickiego. ■ Roman Szandrowski, pracownik szwedzkich fabryk samochodowych Volvo, otrzymał nagrodę w wysokości 63 tys. koron za trzy projekty udoskonalenia pomp ropnych, używanych do ochrony samochodów osobowych od korozji.

15-9-78

Według obliczeń zachodnich zadłużenie PRL wynosiło na dzień 1 marca 1978 12,8 miliardów dolarów. 20 % tego zadłużenia dotyczy RFN. 72-76 % wszystkich wpływów dewizowych z eksportu PRL idzie na spłatę oprocentowania zaciągniętych pożyczek. To tłumaczy eksport „za wszelką cenę” i drastyczne ograniczanie importu na odcinkach najważniejszych dla gospodarki narodowej (zboże, pasza itp.).

23-9-78

Na zamku rapperswilskim miał miejsce „Dzień Polski w Rapperswilu”. M.in. odbyło się publiczne inauguracyjne posiedzenie Rady Polskiej Fundacji Kulturalnej „Libertas” w Rapperswilu.

Podajemy do wiadomości zainteresowanych, że w dn. 14 października br. odbędzie się w Londynie uroczysty komersz filistrów Korporacji „Polonia” z okazji 150-lecia Konwentu.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

15 lipca br. w Huntington zmarł, w wieku 64 lat, Paweł Łysek, znany pisarz. ■ Departament Stanu zwołał konferencję przedstawicieli organizacji polsko-amerykańskich i wybitniejszych działaczy polonijnych. Mają być cztery podkomisje: sprawy gospodarcze, humanitarne (sprawa obrony praw człowieka), wymiany kulturalnej oraz środków masowego przekazu (radio i publikacje).

KRONIKA KANADYJSKA

Wiele dyskutuje się obecnie o przyszłości Kanady, co jest jak najbardziej uzasadnione jej problematyką wewnętrzną. Ruch separatystyczny w prowincji Québec jest jednym z elementów kryzysowej sytuacji, ale inne też są poważne. Zarówno oficjalne czynniki federalne jak i prowincjonalne oraz społeczne wręcz wzywają społeczeństwo do publicznej debaty na temat przyszłości kraju. Na terenie uniwersytetu w Ottawie odbyła się w dniach 22-27 sierpnia br. konferencja na temat „Kształtowanie przyszłości: Kanada w globalnym społeczeństwie”. Została ona zorganizowana przez Canadian Association for Futures Studies, Canadian Association for the Club of Rome, Centre for Policy and Management Studies, Economic Council of Canada, Institute of Research on Public Policy oraz Science Council of Canada, to jest przez instytucje publiczne i ośrodki prywatne. Na sfinansowanie tej konferencji została udzielona pomoc rządowa. W konferencji udział wzięli zarówno przedstawiciele świata akademickiego jak gospodarce, społecznego i politycznego. Jednym z dwóch przewodniczących komitetu organizacyjnego był prof. Jerzy A. Wojciechowski, który wziął również udział w dyskusji na sesji poświęconej problemom środowiskowym: człowiekowi w środowisku.

KRONIKA SZWEDZKA

Naprężone już od dawna urzędowe stosunki szwedzko-polskie, wywołane dyskryminacją obywateli szwedzkich polsko-żydowskiego pochodzenia, weszły w stadium krytyczne po wydaleniu z Polski byłego szwedzkiego wicepremiera i przywódcy stronnictwa liberalnego, Per Ahlmarka. Dramatyczne to zajście miało miejsce 30. 8. br. Ahlmark, obecnie poseł do parlamentu i przewodniczący szwedzkiego Państwowego Instytutu Filmowego, miał rewizytować polskiego ministra pracy oraz nawiązać oficjalny kontakt z dyrektorem Polskiego Instytutu Filmowego. Ahlmark zabrał ze sobą dwóch obywateli szwedzkich polsko-żydowskiego pochodzenia, Jacka Jakubowskiego i Borysa Fogelmana, którzy mieli występować w Polsce w charakterze tłumaczy. Ahlmarka wpuszczono natychmiast, natomiast kontrola paszportowa zatrzymała jego towarzyszy. „Jeżeli ich wydalicie, to możecie i mnie wydalic” — oświadczył Ahlmark. W formie nader niegrzecznej kazano mu opuścić Polskę tym samym samolotem, którym przyjechał. Należy tu dodać, że polscy urzędnicy paszportowi zdawali sobie doskonale sprawę kim jest i w jakim celu przybył do PRL.

Ahlmark zatelefonował z Kopenhagi do Sztokholmu, żądając zerwania umowy bezwizowej z Polską. W tym samym dniu zebrała się Rada Ministrów, po czym ambasador PRL został wezwany do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i doręczono mu stanowczy protest. Skandaliczne zachowanie się

kontroli granicznej na lotnisku warszawskim i dyskryminacja obywateli szwedzkich polskiego pochodzenia dominowały przez kilka dni w prasie, w radio i w telewizji. Większość pism domagała się wypowiedzenia umowy bezwizowej, skoro strona polska jej nie dotrzymuje, jak nie dotrzymała obietnicy danej premierowi szwedzkiemu Fälldinowi. Gierek zapewnił go w swoim czasie, że w każdym poszczególnym wypadku rząd szwedzki zostanie powiadomiony o powodach niewpuszczenia do Polski obywateli szwedzkich. Fälldin wystąpił w telewizji po zajęciu z Ahlmarkiem, dając wyraz swemu zdziwieniu i oburzeniu. Dodał jednak, że „wypowiedzenie umowy bezwizowej nie jest chwilowo aktualne”. Zdaniem opinii szwedzkiej świadczy to, że rząd woli na razie posługiwać się metodami bardziej łagodnymi w powstałym zadrażnieniu. Oburzenie szwedzkiej opinii wzrosło jeszcze bardziej po nieprzejeźdźnej odpowiedzi rządu PRL, który nie raczył nawet wyrazić swego ubolewania z powodu wydalenia Ahlmarka (co jest w podobnych wypadkach zwyczajem międzynarodowym). Gdy Fälldin stwierdził w telewizji, że postępowanie strony polskiej nie jest zgodne ani z umową polsko-szwedzką ani z duchem układów w Helsinkach, rząd PRL odpowiedział że ma suwerenne prawo odmówić wjazdu do Polski osobom niepożądanym, narażającym na szwank interesy PRL. Dziennikarze szwedzcy dowiedzieli się potem w Warszawie, że na liście osób niepożądanych figuruje tylko „trzysta nazwisk z trzech tysięcy obywateli szwedzkich polsko-żydowskiego pochodzenia”. Rząd szwedzki jednak tej listy dotychczas nie otrzymał. Dodać tu należy, że w bardzo wielu wypadkach nie wpuszczano do Polski ludzi, którzy w ogóle w Szwecji nie zajmują się polityką i nie są zaangażowani w jakimkolwiek życiu społecznym. Komentarz do postępowania władz polskich znaleźć można w wypowiedzi wiceministra Józefa Czyrka, który oświadczył korespondentowi *Svenska Dagbladet*, że incydent z Ahlmarkiem „wyraźnie utrudnił dojście do porozumienia ze Szwedami”, zwłaszcza wobec „niesłychanych wystąpień prasy szwedzkiej”; i że „to co ma miejsce w Szwecji stanowi obrazę całego narodu polskiego”.

O ile mi wiadomo, w tym dość jednolitym chórze prasy szwedzkiej, potępiającej dyskryminację całej grupy obywateli szwedzkich, znalazł się tylko jeden zgrzyt. Radykalny wieczorny dziennik Związków Zawodowych *Aftonbladet* ogłosił oświadczenie prezesa PPS w Szwecji, inżyniera Jerzego Janczaka, według którego „postępowi opozycyjni Polacy uważają, że Ahlmark mówił głupstwa, że urządził zwykłą harcerską hecę... Niebezpieczną jest rzeczą mieszać ze sobą dwie tak różne sprawy jak umowa bezwizowa i odsyłanie ludzi z granicy... Układ wizowy jest dobry, dzięki niemu 100 tys. Polaków mogło odwiedzić Szwecję. Radykalne opozycyjne koła w Szwecji są bardzo zaniepokojone wypowiedzią Ahlmarka”. Aby nie wprowadzać czytelników w błąd, chcielibyśmy stwierdzić, że inżynier Jerzy Janczak nie może przemawiać w imieniu większej ilości kół radykalnych i postępowych (jak je nazywa). Koło PPS w Sztokholmie liczyło do niedawna zaledwie kilkunastu członków, a po wystąpieniu kilku (lub przejściu do socjaldemokracji szwedzkiej) pozostało ich mniej niż dziesięciu. Umowa bezwizowa ma niewielki wpływ na ruch turystyczny z Polski do Szwecji, gdyż i tak każdy Polak po powrocie do PRL musi oddać swój paszport i w wypadku kolejnej podróży starać się na nowo o jego wydanie. Przwrócenie wiz pozwoliłoby natomiast Szwecji kontrolować do pewnego stopnia ruch turystyczny. Każdy wyjeżdżający otrzymywałby wówczas druzek, wyjaśniający na jakich warunkach może pozostać w Szwecji, co zapobiegłoby wielu zawodom, wydatkom i niekiedy ludzkim tragediom. I być może zredukowałoby chociaż częściowo napływ elementów nieuczciwych, kryminalnych i agenturalnych, które w ostatnich trzech latach tak bardzo przyczyniły się do poderwania dobrej niegdys opinii uchodźcy polskiego w Szwecji.

SPROSTOWANIA

W czerwcowym numerze *Kultury* z bież. roku (nr 6/369), w dziale „Wydarzenia miesiąca” na str. 140 zamieściliśmy — według danych, które otrzymaliśmy z Kraju notatkę o śmierci Witolda Dąbrowskiego. Obecnie dowiadujemy się, że Witold Dąbrowski miał w chwili śmierci lat 45, a nie 48, że na walnym zebraniu ZLP występował przeciwko wszystkim kolegom, którzy uczestniczyli w represjach, a nie jedynie przeciwko partyjnym, oraz że jego śmierć była śmiercią naturalną.

W związku z notatką w „Wydarzeniach miesiąca” w *Kulturze* nr 5 z 1978 roku, gdzie podano informację, iż Zarząd Główny Polonii Kanadyjskiej jest inicjatorem budowy pomnika katyńskiego w Toronto, p. dr E. W. Kozorowski prostuje, że on był inicjatorem tego projektu.

REDAKCJA

Listy do Redakcji

Fredrikstad, 12 lipca 1978.

Szanowny Panie Redaktorze!

Czytając *Kulturę* nr 6/369 byłem bardzo zdziwiony i zarazem zaskoczony, że moje nazwisko znalazło się na liście ofiarodawców na komitet ROPCiO. Ja ze swej strony muszę przyznać, że na ten cel żadnych pieniędzy nie wysyłałem i jednocześnie nie życzę sobie aby ktoś inny posługiwał się moim nazwiskiem, obojętnie jakiego celu to dotyczy.

Ja, jako osoba żyjąca w kraju wolnym i demokratycznym, chcę mieć swobodę nienaruszalności i ten przywilej, który wyłącznie mnie upoważnia do używania mego nazwiska i decydowania na jaki cel ja ofiaruję.

Ja jeszcze raz podkreślam, że Z. Bilicz z Fredrikstad (Norwegia) nie posłał żadnych pieniędzy na ROPCiO.

Łączę wyrazy poważania,

Sigmund BILICZ

ODPOWIEDZI REDAKCJI

A. S., *Polska*. — Wiersze Pani męża nie nadają się do druku.

M. A., *Israel*. — Pani opowiadanie wydaje nam się bardzo słabe.

PARACELSUS, *Polska*. — Z wierszy Pana nie skorzystamy.

MONACHIJCZYK, *Monachium*. — Nie zamieszczamy anonimów, a tym bardziej o posmaku antysemitycznym.

N. N., *Londyn*. — Nie zamieszczamy anonimów. Zresztą ten list mógłby się ukazać pod prawdziwym nazwiskiem. Tak gwałtowny atak na artykuł Z. Ossowskiego pt. „Sytuacja jest nijaka” i obrona rzeczywistości krajowej na pewno nie wywołałyby zastrzeżeń cenzury PRL.

P. J. SZCZ., *RFN*. — Pana listu do Redakcji (który naszym zdaniem grzeszy nadmiernym optymizmem jeśli idzie o sytuację Polonii w RFN) nie zamieścimy, gdyż mamy zamiar w najbliższej przyszłości zamieścić obszerną analizę tej Polonii.

St. Ch., *Göteborg*. — Każde pismo ma swoją politykę redakcyjną i drukuje materiały, które mu odpowiadają. Inaczej to byłby śmietnik. Nie mieszajmy pojęcia demokracji z odrzuceniem artykułu do druku.

E. K., *Kopenhaga*. — Pana listu nie zamieścimy. Dyskusje na temat „legalizmu” wydają nam się jałowe.

Dokumenty

AMERYKAŃSKI KONGRESMAN W OBRONIE PRAW CZŁOWIEKA W POLSCE

Za zgodą kongresmana Franka Annunzio ogłaszamy poniżej w tłumaczeniu na polski i w pełnym brzmieniu jego wymianę listów z Departamentem Stanu.

Kongresman Annunzio wysunął się na czoło członków obu Izb Kongresu w swych wystąpieniach w obronie opozycji w Polsce. Syn emigrantów włoskich, urodzony w Chicago zasiada w Izbie Reprezentantów od 1964 roku i był wybierany do Kongresu siedmiokrotnie, za każdym razem znaczną większością. Annunzio nie potrzebuje ubiegać się o głosy polskie, lecz kierując się obowiązkiem lojalności wobec swych polskich wyborców broni spraw polskich i Polonii z tą samą energią z jaką występuje w obronie Amerykanów pochodzenia włoskiego. Jako ekspert od spraw imigracyjnych przyczynił się walcnie do obalenia kwot imigracyjnych dyskryminujących emigrację z Polski i innych krajów Europy Wschodniej. W ostatnich miesiącach szczególną uwagę poświęca działalności opozycji w Polsce i represjom policyjnym.

3 kwiecień, 1978.

WP Cyrus Vance
Sekretarz Stanu
Departament Stanu
Washington, D.C. 20520.

Drogi Panie Sekretarzu:

Jak się dowiaduję komunistyczny rząd polski wybrał sobie czas po wizycie Prezydenta Cartera, aby brutalnie tłumić działalność na rzecz obrony praw ludzkich, prowadzoną przez społeczeństwo polskie. Według różnych doniesień Prezydent zamierza udzielić Polsce kredytów sięgających 500 milionów dolarów; byłbym więc wdzięczny gdyby Pan i Prezydent wzięli pod uwagę wstrzymanie tych kredytów do chwili, gdy rząd polski zaniecha tej bezwstydnego działalności, która stanowi totalne pogwałcenie Końcowego Aktu Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie.

Według doniesień, które do mnie dotarły, policja koncentruje intensywną akcję na dwóch głównych kierunkach: na tzw. „Latającym Uniwersytecie”, który działa pod auspicjami Towarzystwa Kursów Naukowych i na robotnikach, którzy wydają łącznie pismo *Robotnik* albo biorą udział w działalności Komitetu Samoobrony Społecznej KOR.

O ile mi wiadomo, polski „Latający Uniwersytet” powstał w ub. roku z inicjatywy dysydenckiego Studenckiego Komitetu Solidarności. Rozpoczął semestr wiosenny od publicznego oświadczenia wydanego w dn. 12 lutym i podpisanego przez 62 uczonych i pisarzy. Sygnatariusze postawili sobie za cel „zaspokojenie potrzeby głębszej i pełniejszej wiedzy zwłaszcza w dziedzinie nauk społecznych i humanistycznych”. Program 13 wykładów

obejmuje głównie literaturę, historię Polski współczesnej i problemy współczesnego świata. Uczeni wędrują po całym kraju od miasta do miasta. Wykłady odbywają się w prywatnych mieszkaniach wobec słuchaczy, których liczba sięga do 120 studentów.

Zostałem poinformowany, że semestr rozpoczął się od wykładu w Warszawie na temat „ideologii społecznych i politycznych od rewolucji francuskiej do drugiej wojny światowej”. Władze zareagowały energicznie od samego początku. Jak informują agencje zachodnie w ciągu pierwszego tygodnia zaarrestowano co najmniej 19 osób. W kilku wypadkach policja siłą wtargnęła do prywatnych mieszkań, gdzie odbywały się zebrania. Tam, gdzie nie zastosowano się do nakazu rozejścia się, użyto gazu łzawiącego. Granaty z gazem łzawiącym użyte w zamkniętych, małych zatłoczonych po brzegi pomieszczeniach spowodowały w niektórych wypadkach uszkodzenia oczu i ciężkie poparzenia. Kilkunastu studentów wywleczono siłą na ulicę i ciężko pobito. Adam Michnik, jeden z wykładowców i przywódca młodych dysydentów, był zatrzymywany pięciokrotnie, dwukrotnie ciężko pobity, fałszywie oskarżony jako narkoman i zagrożony morderstwem, jeżeli nie poniecha swojej działalności. W celu odstraszenia uczestników od uczęszczania na wykłady studentów fotografowano przy wejściu i sprawdzano legitymacje; tych którzy zostali zatrzymani poddawano godzinnym przesłuchaniom, znieważano i grożono wydalaniem z uniwersytetu albo represjami wobec rodzicom. Wykładowcom grożono utratą pracy. W niektórych wypadkach studenci i wykładowcy karani byli grzywnami od 600 do 3.000 zł. Osoby, które udostępniły mieszkania „Latającemu Uniwersytetowi” spotykały się z groźbą wyrzucenia ich z mieszkań. W większości wypadków osoby zatrzymane zwalniano po jednym albo dwóch dniach „kuracji”, lecz aresztowano ponownie tam, gdzie próby zastraszenia zawiodły. Dwie osoby, aresztowane w dn. 22 lutego w Sopocie (małe miasto nad Bałtykiem), Władysław Borusewicz i Stanisław Śmigiel doprowadzeni zostali do sądu w kajdanach. Borusewicz skazano na 14 dni a Śmigiel na 6 dni aresztu za „chuligaństwo”. Po 14 dniach, 6 marca Borusewicz postawiono ponownie przed sądem, który skazał go dodatkowo na 14 dni. Borusewicz wykladał we własnym mieszkaniu w chwili, gdy policja wyważyła drzwi i wrzuciła do środka granaty z gazem łzawiącym.

Zostałem poinformowany, że robotnicy, którzy współpracowali przy ogłaszaniu i kolportowaniu swego pisma *Robotnik* stali się przedmiotem podobnych represji. „Komitet Samoobrony Społecznej” wydał w dn. 21 stycznia oświadczenie wyliczające wypadki zatrzymania, pobicia ofiar i prób rekrutowania aresztowanych jako donosicieli milicji. Wyliczone zostały również inne szkody i represje. Odpis oświadczenia załączam do Pana informacji.

Wszystkie te akty fizycznego i moralnego zastraszenia stanowią pogwałcenie obowiązujących w Polsce praw oraz międzynarodowych układów i deklaracji, podpisanych przez komunistyczny rząd polski. Będę więc bardzo wdzięczny, Panie Sekretarzu, jeśli Pan sprawdzi powyższe zarzuty, zawiadomi mnie czy odpowiadają prawdzie i poinformuje, jakie kroki nasz rząd podejmuje oficjalnymi kanałami dyplomatycznymi, by wyrazić nasze głębokie zaniepokojenie w tej sprawie. Ponownie wzywam Pana do rozważenia możliwości wstrzymania kredytów handlowych dopóki nie będziemy mieli dowodów, że komuniści w Polsce zaczynają okazywać szacunek dla praw jednostki i jakąś troskę o podstawowe godności człowieka.

Z poważaniem,

Frank Annunzio
Członek Kongresu

WPan Frank Annunzio
Izba Reprezentantów

2 maj, 1978.

Drogi Panie Annunzio:

Sekretarz Stanu polecił mi odpowiedzieć na list Pana z 3 kwietnia w sprawie wystąpień władz polskich przeciwko dysydenckim intelektualistom. Dotarły liczne doniesienia, że milicja w niektórych miejscowościach wystąpiła przeciwko wykładowcom „Latającego Uniwersytetu”. Nie ulega wątpliwości, że w wyniku akcji ze strony milicji doszło do pożałowania godnych incydentów, i że pewni przywódcy dysydentów zostali zatrzymani i według różnych relacji zmaltrretowani.

Do wydarzeń tych doszło w połowie lutego kiedy „Uniwersytety” podjęły swoją działalność. Nic nie wskazuje na to aby istniał tu związek z wizytą Prezydenta w grudniu ub. roku. Jak nam wiadomo, osoby zatrzymane zostały zwolnione i nie mamy żadnych dalszych doniesień, by ekscesy policyjne nadal trwały. Aczkolwiek za wcześnie byłoby powiedzieć jaki będzie los „Uniwersytetów”, według naszych wiadomości dysydenci kontynuują działalność w innych dziedzinach, utrzymują swoje publikacje, eisząc się tolerancją ze strony reżymu w zakresie, który zadziwia nawet samych dysydentów.

Prezydent Carter w czasie pobytu w Polsce demonstrował swe poparcie dla szerzenia szacunku dla praw człowieka. Departament Stanu, nasza ambasada i konsulaty w Polsce obserwują uważnie rozwój wydarzeń i od czasu do czasu wyrażają swoje poglądy wobec przedstawicieli władz polskich. Aczkolwiek opisane przez Pana incydenty budzą nasz niepokój — byłoby przedwczesne twierdzić, że stanowią one jakiś trend. Nie widzimy przekonujących dowodów, aby doszło w Polsce do nawrotu do ostrzejszego kursu wewnętrznego. Ostatnie nominacje na wysokim szczeblu wskazują raczej, że reżym pragnie kontynuować swoją dotychczasową, stosunkowo tolerancyjną politykę.

Cenimy Pana zainteresowania w tych sprawach, rozumiemy troskę, którą Pan wyraża i mamy nadzieję, że będzie Pan nadal przekazywał nam istotne informacje, które mogą do Pana docierać.

Z poważaniem,

Douglas J. Bennet, Jr.

Podsekretarz Stanu do Spraw Kongresu

WP Douglas J. Bennet, Jr.
Podsekretarz Stanu do Spraw Kongresu
Departament Stanu
Pokój 7261
Waszyngton, D.C. 20520

11 maj, 1978.

Drogi Panie Bennet:

Dziękuję Panu za list z 2 maja w odpowiedzi na moją poprzednią korespondencję w sprawie naruszeń praw ludzkich w Polsce

Pisze Pan w swoim liście, że „do wydarzeń tych doszło w połowie lutego, kiedy 'Uniwersytety' podjęły swoją działalność”. W związku z tym pragnę podkreślić, że naruszenia praw ludzkich trwają nadal, i że bynajmniej nie ograniczyły się do kilku incydentów w lutym. Załączam do Pana wiadomości sporą ilość wycinków prasowych w tej sprawie noszących, jak Pan zauważy niedawne daty. Wspomina Pan także, że „byłoby przedwczes-

nie twierdzić, że istnieje jakiś trend”. Byłbym więc bardzo zobowiązany, gdyby Pan zechciał mnie zawiadomić czy Pana Departament jest poinformowany o trwających nadal szykanach i represjach w Polsce.

Władze komunistyczne w Polsce okazują niewątpliwie znacznie więcej respektu dla praw ludzkich swoich obywateli aniżeli inne państwa komunistyczne, lecz należy to przypisać heroicznej odwadze i niezłomnemu oporowi społeczeństwa polskiego, jak również obawom rządu przed odcięciem pomocy amerykańskiej. Bądź co bądź Polska jest jedynym krajem komunistycznym, któremu zaofiarowaliśmy około 500 milionów dolarów w postaci kredytów handlowych.

Kończąc nalegam usilnie, by Departament Stanu rejestrował ściśle działalność polskich władz komunistycznych jeśli chodzi o poszanowanie praw ludzkich i wykorzystując pomoc handlową ofiarowaną Polsce domagał się stosowania do zasad poszanowania podstawowej godności ludzkiej i wolności jednostki.

Z poważaniem,

Frank Annunzio
Członek Kongresu

2 czerwiec, 1978.

Drogi Panie Annunzio:

Cenimy Pana stałe zainteresowanie sprawą praw człowieka w Polsce, którego przejawem jest Pana ostatni list z 11 maja. Departament Stanu stara się iść za rozwojem wydarzeń w Polsce, związanych ze sprawą praw człowieka. Otrzymujemy informacje od naszej ambasady, od osób przyjeżdżających z Polski lub jadących do Polski, czerpiemy je z prasy i od osób, które, jak Pan, interesują się nimi. Jesteśmy Panu wdzięczni za dostarczone informacje.

Wiemy o wypadkach odmowy paszportu, wspomnianych w załącznikach do Pańskiego listu, i staramy się pomóc we właściwy sposób. Sprawa odmowy wizej polskim Żydom przebywającym w Szwecji dotyczy także Żydów amerykańskich, którzy wyjechali z Polski w latach sześćdziesiątych i mają te same doświadczenia. Od chwili, gdy sprawa ta poźną jesienią doszła do naszej wiadomości — podejmowaliśmy ją wielokrotnie na różnych szczeblach w rozmowach z Polakami.

Jeśli chodzi o dysydentów ogólny obraz jest w dalszym ciągu złożony. Od chwili mego listu z 2 maja dowiedzieliśmy się o różnych pozytywnych wypadkach; przykładem jest jawna debata nad praktykami cenzury na Zjeździe Literatów w Katowicach, gdzie czterech ogólnie znanych dysydentów zostało wybranych do władz Związku. Mamy także raporty mówiące, że wprowadzone poprzednio ograniczenia życia kulturalnego zostały usunięte po mianowaniu nowego ministra kultury. A równocześnie trwają szykany wobec czołowych dysydentów.

Na przykład Adam Michnik został zatrzymany po raz dziewiąty i ponownie zwolniony. Ponadto mamy doniesienia, że pewna ilość wykładowców popierających działalność dysydentów została albo zwolniona, albo przeniesiona.

Przedstawiciel Departamentu wygłaszając swoje uwagi na niedawno otwartej sesji Polsko-Amerykańskiej Rady Gospodarczej podkreślił naszą troskę o poszanowanie praw człowieka. Wezwaliśmy do postępu w dziedzinie swobody poruszeń i powitaliśmy z zadowoleniem debatę wśród intelektualistów. Przy innej okazji, inny urzędnik w prywatnej rozmowie z przedstawicielem polskiej ambasady przypomniał naszą troskę o zachowanie wolności słowa

w Polsce i skrytykował sposób, w jaki traktowani są dysydenci w rodzaju Adama Michnika.

W tych i innych naszych wystąpieniach mamy na celu zademonstrowanie naszego zainteresowania dalszym rozwojem swobody wypowiedzi w Polsce w pozytywnej atmosferze, jaka otacza nasze stosunki.

Wspomina Pan o udzieleniu przez nas pół miliarda dolarów kredytu handlowego. Chodzi tu o kredyty towarowe udzielane przez prywatne przedsiębiorstwa, które związane są z zakupami płodów rolnych. Pożyczki te są spłacalne w ciągu trzech lat i udzielane na 6%. Używane są głównie na zakup zboża i pasz. Uważamy, że korzysta z nich bezpośrednio ludność polska, której dotkliwie dają się we znaki braki artykułów żywnościowych. Sądymy ponadto, że udzielanie takich kredytów w jakiejś skromnej mierze ułatwia Polsce okazanie większej elastyczności w zagranicznych stosunkach gospodarczych i zachęca ją do kontynuowania związków z Zachodem. Jesteśmy przekonani, że społeczeństwo polskie popiera tę politykę i wierzymy, że kredyty służą nie tylko gospodarczym, ale innym ważnym celom.

Pragnę Pana zapewnić, że nadal obserwujemy wydarzenia w Polsce i ważmy różne nasze interesy i cele w stosunkach z tym krajem. Cenimy Pana zainteresowanie i poparcie. Może Pan uznać za właściwe przekazanie Pana troski ambasadzie polskiej? W każdym razie mamy nadzieję, że będzie nam Pan w dalszym ciągu przekazywał ważne informacje dotyczące tej sprawy.

Z poważaniem,

Douglas J. Bennet, Jr.

Podsekretarz Stanu do Spraw Kongresu

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI,
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 21 267.
Dépôt Légal: 4^e Trimestre 1978.

| PRZEDSTAWICIELSTWA | Egz. poj. | Prenumerata | |
|--|-------------------------------------|---|--|
| | | 1/2-roczna | roczna |
| AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002 | | R. 18,00 | R. 35,00 |
| ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25 | F. 15,00 | F. 85,00 | F. 160,00 |
| AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013 | \$ A 3,75 | \$ A 18,00 | \$ A 35,00 |
| AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762 | F. 15,00 | F. 85,00 | F. 160,00 |
| BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 218-69-23 | F.B. 150,00 | F.B. 850,00 | F.B. 1 600,00 |
| BRAZYLIA : prosimy o przesyłanie czeków do adm. „Kultury” | \$ US 3,75 | \$ US 18,00 | \$ 35,00 |
| DANIA : O.T. ZALEWSKI, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd .. | F. 15,00 | F. 85,00 | F. 160,00 |
| FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu | F. 15,00 | F. 80,00 | F. 150,00 |
| HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, Tel. (01184) 14073, Postgiro 1379176 | Fl. h. 8,50 | Fl. h. 50,00 | Fl. h. 90,00 |
| KANADA : Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tél. (514) 465-2362; B. Krauski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiastowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7 | \$ Can. 4,00 DM 8,00 F. 15,00 | \$ Can. 21,00 D.M. 50,00 F. 85,00 | \$ Can. 40,00 D.M. 85,00 F. 160,00 |
| NIEMCY : St Mikicluk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1. | | | |
| NORWEGIA : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss | | | |
| SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 .. | F.S. 8,50 | F.S. 50,00 | F.S. 90,00 |
| SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6. | K.S. 15,00 | K.S. 85,00 | K.S. 160,00 |
| U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co. 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009, Tel. 475-8886. L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8868; Ada Dziewanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172; J. Konopacki, 27437 Detroit Rd, Cleveland, Ohio, 44145. Tél. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, Tel 284-6271; V.B. Kwast, 9055 East Lee St., Tucson, AZ 85715, Tel. 896-2128; M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234; F. Orzechowski, Book, 2036 Chestnut str., Philadelphia, Pa 19103. | \$ US 3,75 | \$ US 18,00 | \$ US 35,00 |
| POLONIA, Bookstore, 2886 Milwaukee Ave., Chicago, Il. 60618, tel. (312) 469-2554; R.J. Sas-Babczynski, 776 N. Van Ness Av. apt. 1, Los Angeles, Cal. 90038, tel. (213) 463-1817; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich, 48211 | \$ US 3,75 | \$ US 18,00 | \$ US 35,00 |
| W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 86 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210 | £stg. 1.85 | £stg. 10.00 | £stg. 19.00 |
| WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27., Tel. 75-67-241 | F. 15,00 | F. 85,00 | F. 160,00 |

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 160; półroczna — F. 85.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 2,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 293 — SERIA „BEZ CENZURY”
RYSZARD KRYNICKI

NASZE ŻYCIE ROŚNIE

Wiersze

Wybór poezji młodego wybitnego poety krajowego.

Str. 104.

Cena F. 25,00.



TOM 294 — SERIA „BEZ CENZURY”

PPN

Wybór artykułów Polskiego Porozumienia Niepodległościowego zawiera:

- *Program i oświadczenia Polskiego Porozumienia Niepodległościowego w Kraju.*
- *Teksty problemowe:* Tradycja niepodległościowa i jej wrogowie; Kościół i katolicy w Polsce Ludowej; Myśli o dzisiejszej ojczyźnie; Czy dialog z władzą jest możliwy?; Przeciwnicy systemu; Rachunek naszych słabości; Stan moralny społeczeństwa; Program dla polskich rodzin; Pijaństwo w Polsce.
- *Poradnik społeczny:* Obywatel a Służba Bezpieczeństwa; O zdobywaniu wiadomości.
- *Prace indywidualne:* Prognozy Chochoła.

Str. 160.

Cena F. 35,00.



TOM 295 — SERIA „BEZ CENZURY”
JACEK KUROŃ

ZASADY IDEOWE

Str. 90.

Cena F. 20,00.